

ANTTI TUOMAINEN

**KOPALIŠMY
SOBIE GROB**

THRILLER

O książce

Płatny zabójca, dziennikarz na tropie wielkiej afery, rozpadająca się rodzina, mordowani członkowie zarządu spółki i kopalnia w Laponii wypluwająca toksyczne sekrety, które mogą ich wszystkich zniszczyć.

Styczniowy mróz sprawia, że życie w Helsinkach zwalnia. Ale nie w przypadku Jannego Vuori. Jego życie wyraźnie nabiera tempa. Po pierwsze, pojawia się ojciec, który zniknął przed trzydziestu laty; po drugie, otrzymuje anonimowy e-mail, który budzi w nim – dziennikarzu z krwi i kości – potrzebę tropienia. Potrzebę tak silną, że Janne jest gotowy zaryzykować utratę najbliższej osoby, a nawet własnego życia.

ANTTI TUOMAINEN

KOPALIŚMY SOBIE GRÓB

Z fińskiego przełożyła
Edyta Jurkiewicz-Rohrbacher



Wydanie elektroniczne

ANTTI TUOMAINEN
(ur. 1971 r. w Helsinkach)

Fiński pisarz, autor pięciu powieści kryminalnych, których tłumaczenia ukazały się w 27 krajach. Zanim poświęcił się karierze literackiej, pracował w agencjach reklamowych jako copywriter. Debiutował w 2006 r. Międzynarodowy rozgłos przyniosła mu wydana w 2011 r. powieść ***Uzdrowiciel***, która zdobyła tytuł Najlepszej Fińskiej Powieści Kryminalnej i była nominowana do prestiżowej skandynawskiej Nagrody Szklanego Klucza.

Czarne jak moje serce jest właśnie filmowane przez fińskiego producenta Making Movies LTD.

anttituomainen.com

Tego autora

UZDROWICIEL
CZARNE JAK MOJE SERCE
KOPALIŚMY SOBIE GRÓB

Tytuł oryginału:
KAIIVOS

Copyright © Antti Tuomainen 2015
All rights reserved
Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Edyta Jurkiewicz-Rohrbacher 2017

Redakcja: Katarzyna Kumaszevska

Zdjęcie na okładce: Riccardo Bresciani/Stock Snap

Projekt graficzny okładki: Katarzyna Mieszka

ISBN 978-83-6578-119-2

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Ewa Szałańska, 88em.eu

Spis treści

CZĘŚĆ I. NIKIEL

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16

CZĘŚĆ II. OŁÓW

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9

10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26

CZĘŚĆ III. ZŁOTO

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12

Podziękowania

Przypisy

Dla mojego ojca

*Bieźymy bez troski w przepaść, skoro
pomieściliśmy przed sobą coś, co nam nie
pozwała jej spostrzec*.*

Blaise Pascal

CZĘŚĆ I
NIKIEL

Nareszcie krew zaczęła krążyć szybciej.

W pieszczocie gorącej wody równo napierającej na całą zanurzoną w niej sylwetkę. Jakby trafił na kogoś potężniejszego, kto znał jego wnętrze i wiedział, jak się nim zająć, jak je przytulić i ogrzać. Wyprostował krótkie, grube nogi. Wanna miała idealną długość. Napiął masywne uda i zaokrąglone łydki. Rozluźnił mięśnie. Woda sprawiała, że ciało stawało się nieważkie, spowalniała ruchy. W wieczór jak ten, po całym dniu wystawiania na mrozie, miał prawo zanurzyć się w oparach kąpieli.

Na zewnątrz śnieżycy szła w zawody z wiatrem, styczniowe zimno i ciemność wysysały całe życie. Przed chwilą Pirjo wpakowała chłopców i sprzęt hokejowy do samochodu i odjechała. Po raz pierwszy od dawna cały dom należał do niego.

Poruszył prawą ręką i podrapał się po klatce piersiowej.

Oparł głowę o krawędź wanny i zamknął oczy.

Niestety, zdarza się, że z zamkniętymi oczami widzi się więcej. Wydarzenia minionego dnia i ich uczestnicy przelatywali za zasłoną powiek jak w chaotycznym skrócie wiadomości. Z pewnością oznaka stresu.

Otworzył oczy. Cała ta presja, wszystkie decyzje, które trzeba było szybko podjąć i wdrożyć w życie niezależnie od tego, że ktoś go w duchu przeklinał. A zawsze się taki ktoś znalazł.

Otarł pot z czoła. Gorąca woda niemal paliła mu skórę. Popatrzył w kierunku okien, na których zdążyła się osadzić cienka warstwa pary. Na ganku paliło się światło, więc przez parę widział padający śnieg. Było w tym coś hipnotyzującego i uspokajającego.

Może niektórzy w końcu zrozumieją, że nie tylko oni zawsze mają rację i muszą mieć ostatnie słowo. Może...

Obok okna przemknęła wyjątkowo gruba masa śniegu, zaraz za nią na parapecie rozprysła zmarznięta pecyna śniegu, jakby ktoś upuścił słoik pełen ziarenek pieprzu.

Śnieg po pachy, pomyślał. Odwrócił głowę i zobaczył coś, co uspokoiło go jeszcze bardziej niż śnieg. Białe kafelki i ciemnoszare fugi. Czystość i jasność wzoru, jego regularność i powtarzająca się logika. Jakie to piękne, jakie praktyczne. Największe osiągnięcia ludzkości.

O czym to on myślał? Ach tak... decyzje. Podejmowanie decyzji. Ludzie, którym nie podobały się jego decyzje. Tak to było. Kiedy czegoś chciał lub gdy chciał coś osiągnąć...

Sypialnia...

Jakby ktoś wepchnął wtyczkę do gniazdka.

Czyżby ktoś jeszcze był w domu? Raczej nie.

Tylko szum wiatru w wentylacji i fale śniegu na oknach.

Leżał nieruchomo, po chwili woda też się uspokoiła. Właśnie to jest najlepsze w kąpeli. Zatrzymał się, jakby znalazł się poza czasem lub w jego samym środku, gdzie wszystko się zagęszczało. Znów zamknął oczy. Wdychał powietrze małymi, lekkimi porcjami. Stare powietrze na zewnątrz, świeże do środka.

Jakby ktoś nadchodził.

Nie brzmiało to dokładnie jak kroki, ale jednak coś... ktoś.

Widział wykafelkowaną ścianę, a w szparze między framugą a drzwiami odcinał się fragment garderoby. Znów usłyszał wycie wiatru w przewodach. Pewna myśl kompletnie go zelektryzowała.

Porażenie prądem oznacza płynący przez ciało strumień prądu. Porażenie to bardzo mylące słowo. Ma się wrażenie, że prąd poraża, uderza i ucieka. Ale to nieprawda. Prąd płynie. Taka jest przecież zasada. Przepływając przez ciało, prąd wypala bolesne rany, zakłóca pracę serca, napełnia płuca wodą i dusi.

Prąd zmroził mu serce, wypalił rozbuchanym płomieniem organy wewnętrzne. Rozsadził mu żyły, przeciął nerwy i zmiądzzył mięśnie.

A on trząśł się i drzął. Woda pryskała i chlapała.

Zaraz potem nastąpił... cudowny spokój. Trudno było powiedzieć, gdzie kończy się jego ciało, a zaczyna woda. Kołysali się razem niczym złani ze sobą.

Obok okna przemaszerował śnieżny posąg. Śnieg pokrywał go
niczym rdza.

Do: Janne Vuori <janne.vuori@gloshelsinki.fi>

Od: Ból daje info <bol.daje.info@gmail.com>

Temat: Suomalahti

Drogi Janne,

przeczytaliśmy Twoje artykuły na temat malwersacji podatkowych oraz te o szarej strefie. Możliwe, że jesteś dziennikarzem, którego szukamy. A może nie. Wkrótce się dowiemy.

Na pewno słyszałeś o kopalni niklu w Suomalahti na północy Finlandii. Warto się jej bliżej przyjrzeć, zarówno obiektowi, jak i zarządzającej nią firmie. Z naszych informacji wynika, że prowadzi się tam nielegalną działalność. W firmie wszyscy o tym wiedzą. My zaś jesteśmy pewni, że chodzi o katastrofę ekologiczną.

Krótką lekcją w ramach przypomnienia: kopalnię otwarto siedem lat temu. Jej właściciel, Finn Mining, posiada jeszcze trzy inne kopalnie. Ta w Suomalahti jest jednak z wielu powodów wyjątkowa. Otwarto ją pod specjalnym patronatem państwa i biznesu. Miała być przykładem zastosowania nowych technologii, które umożliwiają efektywne i przyjazne dla środowiska wydobycie metali szlachetnych z ubogiej w rudę fińskiej ziemi. Miała wyznaczać kierunek, w którym powinno podążać całe górnictwo, stać się kluczem do sukcesu na miarę Nokii.

To wszystko kłamstwa. Prawda jest taka, że kopujemy sobie własny grób.

Jeżeli zauważymy, że traktujesz nas poważnie, skontaktujemy się z Tobą. Zapewniamy, że na tym skorzystasz.

1

Kopalnia miała średnicę kilku kilometrów, znajdowaliśmy się na jej zachodnim krańcu. Dojechałem do prawego skraju parkingu i zgasilem silnik. Wiatr smagał szyby samochodu śniegiem. Płaty wielkości rękawiczki leciały w pionie i poziomie; wirując wokół własnej osi, formowały łopoczące flagi, aż wreszcie zupełnie zbaczały z toru i atakowały niczym rój pszczoł.

– Co my tutaj robimy?

Wyjąłem kluczyk ze stacyjki.

– Szukamy prawdy – odpowiedziałem.

Rantanen skrzyżował ręce na piersi.

– Przy takiej pogodzie to na pewno łatwiejsze zadanie niż cykanie fotek.

Otuliłem się szczelniej szalikiem, włożyłem czapkę i sprawdziłem kieszenie. Telefon, notes, długopis, rękawiczki. Gdy otworzyłem drzwi, śnieg zdzielił mnie wielką, zimną łapą.

– Klucze! – usłyszałem krzyk Rantanena.

– Aparat – odpowiedziałem.

Jari Rantanen, lat pięćdziesiąt cztery; w tym wieku człowiek jest już przyzwyczajony do łatwego, obfitego medialnego chleba. Człowiek szybko się uczy. Dobrego i złego. Zwyczaje czepiają się jak rzep psiego ogona.

Dyżurka z pleksiglasu wyglądała jak przejście graniczne do niedostępnego kraju. Na jej ścianie widniały duże drukowane litery: PRZEPUSTKI. Na tyłach budynku powiewały flagi spółki górniczej. Nie wiedziałem, dlaczego musiało być ich akurat trzy, na trzech osobnych masztach.

Płatki śniegu przyklejały mi się do twarzy i rozpuszczały. Wiatr przenikał przez dzinsy i nogawki kalesonów, puchówka

chroniła lepiej. Po kilku krokach miałem wrażenie, jakbym szedł przez śnieżne pole ubrany wyłącznie w kurtkę. Za budynkiem wznosiły się zakłady przemysłowe, kruszarnie, osadzarki, ługowane hałdy. Wszedłem po schodach i zadzwoniłem do drzwi. Kiedy ktoś je uchylił, ze środka buchnęła na mnie fala ciepła. Otworzył mi mężczyzna w firmowej kurtce, który z jakiegoś powodu miał na głowie kask.

– Przyszedłem po przepustkę – powiedziałem.

Był niski i ciemny; jego twarz wydała mi się zaniedbana.

– Przepustkę?

Ruchem głowy wskazałem przyczepioną do ściany tablicę wysoką na półtora metra.

– Tak tu jest napisane.

– Nie ma przepustek.

– To jak można się dostać na teren kopalni?

– Nie można.

– Jestem dziennikarzem. Piszę artykuł.

– Trzeba się skontaktować z siedzibą główną w Helsinkach.

Tam pracują osoby odpowiedzialne za kontakt z mediami.

– A osoby odpowiadające za codzienną działalność kopalni?

Chyba są tutaj.

Mężczyzna wyglądał, jakby się zastanawiał.

– Proszę poczekać na parking – powiedział i zatrzasnął za mną drzwi.

Zszedłem po schodach i stanąłem obok transportera, który chronił mnie przed wiatrem – na moment zrobiłem sobie przerwę od zamieci śnieżnej.

Dziesięć godzin w drodze i lodowaty parking.

Sam tego chciałem. Od anonimowej wiadomości upłynęła ledwie doba.

– Dzień dobry.

Nie zauważyłem, kiedy do mnie podszedł. To dość dziwne, zważywszy gabaryty mężczyzny. Może śnieg wyciszył kroki, a może to przez ten wiatr.

– Janne Vuori z „Głosu Helsinek” – przedstawiłem się.

Z takimi łapskami mógłby z powodzeniem zastąpić wózek widłowy.

– Antero Kosola. Kierownik ochrony. Pan podobno zbiera materiały do artykułu.

Jego głos brzmiał tak spokojnie i ciepło, że niemal rozpuszczał śnieg dokoła. Mężczyzna miał około stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu i musiał ważyć ze sto kilo. Wszystko w nim było szerokie: barki, broda, usta, nos. Tylko policzki wąskie. Piwne oczy, miękki głos. Pomimo wzrostu było w nim coś drobnego, jak u słonia, który potrafi się poruszać w składzie porcelany. Czarna wełniana czapka ciasno oplatała głowę, a on się uśmiechał.

– Czy rozmawiamy nieoficjalnie? – spytałem.

– Poufnie. Jak to się mówi? *Off the record*?

– Tak.

– Mam już tyle lat, że jednego zdążyłem się nauczyć. Dziennikarze nigdy nie są *off the record*.

I tyle. Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie.

– Można wiedzieć, kto jest pana przełożonym?

Promienny uśmiech. Zero odpowiedzi.

– Od jak dawna pracuje pan w tym przedsiębiorstwie? – ciągnąłem.

– Od pierwszych odwiertów. Dwa i pół roku.

– Czy praca przebiega bez zakłóceń? Czy opady śniegu i zimno utrudniają pracę? Czy długotrwałe opady śniegu mogą spowodować kłopoty?

– Ach, to. – Kosola spojrział w niebo, jakby dopiero teraz dostrzegł spadający śnieg. – W Helsinkach to na pewno wielkie halo. W mokasynach lepiej do nas nie przyjeżdżać.

Spojrzał na moje nogi. Skórzane botki wyglądały tutaj jak baletki.

– We wsi można się zaopatrzyć – powiedział przyjaznym tonem przewodnika wycieczek. – Jeżeli zamierza pan tu zostać.

Nie odezwałem się.

– A zamierza pan? – naciskał.

Już miałem coś odpowiedzieć, kiedy obok mnie wyrósł Rantanen. Przedstawiłem ich sobie. Zapytałem Kosolę, czy da się sfotografować.

– Lepiej nie – odparł. – Nie jestem fotogeniczny.

– Chciałbym to włączyć do artykułu o kopalni.

– A ja myślałem, że to pójdzie do rubryki o modzie. Mogę o coś spytać? Po co tu przyjechaliście? Siedziba główna jest w Helsinkach. Wszyscy, którzy potrafią odpowiedzieć na wasze pytania, są tam.

– Właśnie dlatego. Właśnie dlatego jesteśmy tutaj.

Kosola przyglądał mi się chwilę.

– Dziękuję, panowie – rzucił w końcu. – Muszę już iść.

Odwrócił się i ruszył w stronę dyżurki.

– Jeszcze jedno! – zawołałem.

Zatrzymał się i obrócił.

– Na wypadek gdybyśmy mieli tu zostać – powiedziałem. – Pod jakim numerem można pana złapać?

– Komórkowy – odparł i podał numer, który natychmiast wklepałem. Wrzuciłem telefon do kieszeni i popatrzyłem tam, gdzie poszedł Kosola. Już go nie było widać, nawet śladów na śniegu. Z jakiegoś powodu przyszło mi do głowy zdanie z wiadomości.

Kopiemy sobie własny grób.

2

W zimny, wietrzny i śnieżny dzień stał na rogu Museokatu i ulicy Runeberga, wciągając powietrze głęboko w płuca.

Nowy Jork pachniał hot dogami i spalinami; Londyn – kanałami; Paryż – świeżym pieczywem; Berlin – olejem opałowym.

A Helsinki...

Ten niewinny zapach był jak zostawiony na mrozie wełniany sweter, na który ktoś nachlapał słonej morskiej wody i posypał go świeżymi świerkowymi igłami.

Zrozumiał, że tęsknił za swoim miastem bardziej, niż to czuł i przed sobą się przyznawał. To już trzydzieści lat, odkąd wyjechał.

Wtedy Helsinki były naprawdę małe i szare, z wierzchu i od środka. Zmieniły się nie do poznania.

Idąc ulicą Runeberga, oddalał się od śródmieścia. Te same ulice, te same kamienice. Tak znajome. Doszedł do parku, na którego skraju znajdowała się restauracja w sam raz na późny obiad. Tutaj też wszystko było po staremu: duże okna, nad nimi neonowe litery tworzące nazwę restauracji, w oknach ta sama nazwa, jakby pisana ręką dziecka, pękate *e* i malutka kropka nad *i*. Sala restauracyjna była do połowy pełna albo do połowy pusta, zależnie od punktu widzenia. (Stary test ze szklanką... Jak on by odpowiedział? Chyba tak, że w młodości szklanka zawsze była do połowy pusta i zawsze chciał w niej więcej. Dzisiaj miło było pomyśleć, że w tej teoretycznej szklance wciąż coś jeszcze jest i nawet jeżeli to tylko jej połowa, to zdecydowanie jest do połowy pełna. To zaleta starzenia się: wszystkiego jest wystarczająco dużo... oprócz czasu).

Zostawił płaszcz na wieszaku w szatni. O tej porze nikt tu nie dyżurował. Nie sądził jednak, żeby ktoś chciał się połasić na zwykły czarny męski płaszcz rozmiar czterdzieści osiem. Wybrał jeden ze stolików pod oknem i już wiedział, po co tu przyszedł: białe obrusy, masywne meble, obrazy na ścianach, skwerek za oknem. Teraz, gdy znów wszystko się zmieniało, trzeba było trzymać się rzeczy, które świadczyły o tym, jak kiedyś bywało.

Jedli kolację albo przy tym, albo przy sąsiednim stoliku, bliżej wysokiego baru przy drugim wejściu na salę. Przypomniawszy sobie okrągłą twarz Leeny, rumieniec wina w kieliszku i na policzkach, zakłopotanie, w jakie wprawiały ich wizyty w eleganckiej restauracji. Przypomniawszy sobie ciemne, niemal czarne włosy Leeny, zdenerwowane, piękne dłonie i tę młodość.

Zamówił stek z cebulą, Tauno Palo, nazwany tak na cześć popularnego aktora i stałego bywalca restauracji.

W północnej części sali kobieta i mężczyzna spożywali posiłek. Od razu było widać, że nie łączą ich więzy małżeńskie ani nic podobnego. Najwyraźniej koledzy z pracy. Pracownicy biurowi. Piechurzy sprzedaży lub marketingu. Znów pomyślał, jak inaczej mogło potoczyć się jego życie.

Przyniesiono zamówienie. Zatopił widelec w steku, obtoczył go w cebuli i jasnobrązowym sosie śmietanowym i spróbował. Jeszcze lepszy, niż pamiętał.

Ktoś kiedyś powiedział, że młodość to zupełnie inny świat. To był ten świat i to miasto. Po raz ostatni widział Leenę, kiedy mieli po trzydzieści lat.

Po posiłku poprosił o listę deserów i w ciągu pięciu minut podjął decyzję.

Kelner zabrał talerz i wlał do szklanki resztę wody mineralnej. Coś w tych dwóch czy trzech ostatnich kroplach przypomniawszy mu o ostatniej sprawie. Coraz częściej tak się zdarzało: nawet najmniejsza błażostka powodowała dziwny stan umysłu, stan, do którego nie nawykł.

Krople: porażony prądem śnieżnobiały, pulchny mężczyzna w wannie, a w jego oczach karminowa krew.

Gdziekolwiek spojrzał, przeszłość budziła się do życia. Spróbował tego, czekając na kawę i deser. Podniósł wzrok, zobaczył białe tulipany w czarnym charakterystycznym wazonie i poczuł zapach, który przeniósł go na Malagę.

Lśniący białą dom z basenem na zboczu stromego wzgórza, on czeka w ogrodzie, w cieniu drzew. Zapach spokojnej nocy: róże, cyprysy, rozmaryn, sosny. Strzelba Remington Express wsparta o drzewo, Smith & Wesson M500 u pasa. Jedno i drugie to broń gangsterów; z własnej woli nie wzięłyby tego nigdy do ręki, ale praca dyktuje warunki. Uznał, że to ma związek z narkotykami. Słyszy, jak nadjeżdża terenowe bmw, dźwięk silnika to się przybliży, to znów oddala. Kierowca przyspiesza, wspinając się po krętej drodze przez wioskę, a warkot samochodu rozpruwa noc. Podnosi strzelbę i przeładowuje, ustawia się na schodach między domem a garażem. Wie, że światła samochodu nie zdołają omieść tego punktu. Terenówka okrążyła podwórze. Zwalnia i zatrzymuje się. Silnik gaśnie, światła też. Jednym susem zbliżyła się na odległość trzech kroków do bmw, podnosi strzelbę i strzela. Przednia szyba pryska w drobny mak, pocisk masakruje ciało kierowcy. Strzela drugi raz i trzeci, odrzuca na bok strzelbę, obchodzi samochód, ściąga za duże obuwie robocze i zamienia na przyczepione do pasa adidas. Brnie w nich przez błoto, podchodzi do bmw od strony pasażera i oddaje pięć strzałów tam, gdzie jeszcze widać jakieś szczątki korpusu. Dwóch sprawców. Podnosi strzelbę, idzie na skraj lasu i znika. Tysiące kwiatów pachną mocniej niż kiedykolwiek.

Kelner podał crème brûlée.

3

Do Suomalahti wjechaliśmy powoli, a jednak niespodziewanie. Z początku nie dostrzegaliśmy związku między wyskakującymi przy drodze domami, ale kiedy na dobre wjechaliśmy do wsi, zrozumieliśmy, że coraz mniejszy odstęp między zabudowaniami nie jest przypadkowy i droga nieuchronnie prowadzi do samego serca „perły północnej Finlandii”. Na billboardzie brakowało kropek nad „i”. Może wiatr pomylił je z płatkami śniegu i porwał w głąb białego krajobrazu.

Powiedziałem do Rantanena, że zrobimy sesję zdjęciowo-wywiadowczą, dodamy artykułowi lokalnego kolorytu. Mój kompan skwitował to westchnieniem. Jechałem powoli. Bank, supermarket, Strzyżenie i masaż u Kaisy, kościół, Motory i skutery śnieżne – Hyvönen i spółka. Optyk, biuro pogrzebowe, hotel, Happy Pizza. Dzisiaj w ofercie wyblakła hawajska. Sklep ze sprzętem sportowym, podstawówka, Maija – Obiady domowe.

Koniec wsi.

Zerknąłem w lusterko wsteczne. Zero ruchu. Zawróciłem na ręcznym. Rantanenem zarzuciło, ale nic nie powiedział.

Wróciliśmy do centrum i zaparkowałem przed wejściem do sklepu ze skuterami śnieżnymi.

W środku pachniało nowością silnika. Po chwili harmonijkowe drzwi rozsunęły się i pojawił się w nich mężczyzna mniej więcej w moim wieku.

Włosy na jeża, potężne ramiona, szeroka klatka piersiowa opięta bluzą z podobizną lwa. Z okrągłej twarzy wyzierały niebieskie oczka. Przedstawiłem siebie i Rantanena. Mężczyzna powiedział, że nazywa się Hyvönen. Wyjaśniłem, że piszemy artykuł o kopalni.

– Ta kopalnia to dla nas prawdziwe zrządzenie losu – odpowiedział bez namysłu.

Przez chwilę kontynuowałem wywiad. Hyvönen zgodził się pozować do zdjęcia, jeżeli w tle będą widoczne skutery.

Fryzjer potwierdził opinię Hyvönena. Kopalnia to wspaniała sprawa.

Wróciliśmy do samochodu. Rantanen uznał, że pora na obiad. Przejechaliśmy dwieście metrów i skręciliśmy w prawo na podwórze jednego z zabudowań. Maija – Obiady domowe. Na dole mieściła się restauracja, na górze mieszkanie.

Wszędzie było równie pusto jak podczas naszej czterdziestominutowej podróży z kopalni. Widzieliśmy tylko śnieg i las, pagórki i proste drogi. Jedyne wiatr nieustannie dotrzymywał nam towarzystwa. Kiedy wchodziliśmy po schodach, spojrzałem za siebie. Śniegu na metr, kolejna dostawa w drodze.

Weszliśmy do restauracji. Nad drzwiami tykał zegar; przy żadnym z czterech stołów nikt nie siedział. Postanowiliśmy zająć ten przy oknie. Rantanen położył aparat na stole i wyciągnął z kieszeni wszystkie karty pamięci. Usłyszałem, jak idzie po schodach prowadzących do kuchni. Po chwili na sali pojawiła się kobieta, może Maija. Szybko osiągnęliśmy porozumienie w sprawie wiatru, śniegu oraz kotletów z dziczyzny i Maija wróciła do kuchni.

Rantanen przeglądał zdjęcia na małym wyświetlaczu w aparacie.

– Jest parę niezłych ujęć – odezwał się. – Damy radę.

Chciałem wiedzieć, czy mówi prawdę, czy tylko chce mieć temat z głowy. Poprosiłem, żeby pokazał mi część zdjęć, i niektóre były naprawdę dobre. Na stronę internetową trafi grafika i tylko jedno zdjęcie. Prawdopodobnie to z flagami powiewającymi wśród zamieci na pierwszym planie. Za nimi, niczym chore słońce, wznoszą się tereny fabryczne.

Maija – nadal przyjmowałem, że ta kobieta to właścicielka lokalu – przyniosła kotlety z tłuczonymi ziemniakami. Wszystko

obficie polane brązowym sosem. Rantanen rozpiął kurtkę. Wełniany szary sweter, spod którego przebijała zielona koszula, opinał mu brzuch. Jedliśmy z apetytem i ustaliliśmy, że podrzucę Rantanena na lotnisko.

– Ty naprawdę zamierzasz tu zostać – dziwił się, chociaż już dawno to przedyskutowaliśmy.

– Chcę się trochę rozejrzeć.

– Nie dostaniesz się na teren kopalni.

– Ale kopalnia jest tutaj. Jeżeli coś jest na rzeczy, to jest to tutaj.

– Jakie to ma znaczenie? – zdziwił się Rantanen. – Jesteśmy na pustkowiu.

– Nie ma czegoś takiego jak pustkowie, szczególnie tutaj. Przecież tu jest to, czego brakuje wszędzie indziej: nieskażona natura.

Rantanen pociągnął wody mineralnej i wydał policzki na znak pogardy.

– Ty coś knujesz.

– Nie. Po prostu chcę napisać artykuł.

– Zapisalesz się do ekoterrorystów?

– Nic z tych rzeczy.

– No to co w takim razie?

Wy tłumaczyłem mu, czego się dowiedziałem, czytając i wykonując parę telefonów. W Suomalahti wybudowano kopalnię niklu. Potrzeba go do produkcji stali, z której powstają na przykład belki nośne do budowy mostów i inne tego typu drobnostki. Właścicielem kopalni i trzech innych ośrodków wydobywczych jest firma Finn Mining. Prawo do prowadzenia robót na terenie Suomalahti kupiono za dwa euro. Cenę uzasadniono w ten sposób, że na tym etapie możliwość prowadzenia wykopów była tylko teoretyczna. Zależała ona od wielu czynników: zawartości metalu w rudzie, wyników odwiertów, możliwości finansowania i dziesiątków innych rzeczy. Mimo wszystko... dwa euro? Inicjatywa szybko zyskała poparcie polityków. Po pierwsze tych, którzy załatwiając własne

lokalne porachunki, działali na szkodę narodowej gospodarki. Po drugie tych, których zdaniem każda działalność podnosząca zatrudnienie na terenach wyludnionych była na wagę złota, fantastyczna, innowacyjna – choćby chodziło tylko o jedną zatrudnioną osobę, a inwestycja pochłaniałaby miliardy euro i zagrażała życiu i zdrowiu ludzi oraz dobru przyrody. Spośród dwustu członków parlamentu do tych dwóch grup można było zaliczyć na oko stu dziewięćdziesięciu ośmiu. Pozostali dwaj z pewnością poparliby inwestycję, gdyby tylko zdołali przeczytać podkoloryzowany raport sporządzony przez grupę skorumpowanych urzędników.

Przeprosiłem Rantanena za dygresję i skupiłem się ponownie na Suomalahti.

Jeszcze siedem, osiem lat temu świat był ogarnięty gorączką budowlaną. Kopalnia niklu miała wartość kopalni złota.

Nie rozbawiło go moje porównanie. Zanurzył chleb w sosie i z mlaśnięciem pochłonął rozmiękle pieczywo.

Eksperci wydali oświadczenie, że ruda na terenie Suomalahti, gdzie wykonano odwierty, jest uboga. Mała zawartość niklu. Obrońcy projektu odpowiedzieli, że to nie szkodzi, ponieważ na terenie kopalni będzie stosowane tak zwane bioługowanie. Rozproszone w wodzie bakterie będą jadły rozdrobnione kruszywo i oddzielą metal od skały. Takie rozwiązanie nie tylko przyniesie korzyść dla gospodarki, lecz będzie także przyjazne dla środowiska. To jednak jeszcze nie wszystko, co zafrapowało mnie w Suomalahti.

– Ach tak – powiedział Rantanen. Usta miał poplamione brązowym sosem.

Wcześniej Finn Mining nosiło nazwę Fińska Spółka Górnicza. Powstała w 1922 roku i zawsze była w rękach rodziny Malich. Matti Mali, obecny prezes, zapewniał w wywiadach dla prasy, że spółka wiele dla niego znaczy, że to firma z tradycjami, trzeba ją zarządzać odpowiedzialnie i dalekowzrocznie, a każdą decyzję chciałby podejmować osobiście. Z wywiadów wyłaniał się obraz siedemdziesięcioletniego Maliego jako staromodnego

fabrykanta, człowieka honoru, który ponad wszystko ceni spuściznę dziadów.

– No i co – spytał Rantanen, kiedy zakończyłem swoją relację.

– Na razie nie wiem. To tylko tło. Teraz kolej na nas. Musimy opowiedzieć, co się naprawdę dzieje. Jeżeli coś się rzeczywiście dzieje.

– Czyli?

– Prawdę.

Rantanen wytarł usta.

– Gonisz za sensacją. Marzy ci się kolejny sukces.

Spojrzałem za okno. Śnieg. Nie powiedziałem Rantanenowi, że gada jak moja partnerka.

– Zawieź mnie na lotnisko – rzucił.

Jazda przez ciemny, księżycowy krajobraz zajęła nam pół godziny, zanim dotarliśmy do jasno oświetlonego lotniska o rozmiarach i wyglądzie sklepu spożywczego. Swego czasu wybudowano je na potrzeby oddalonego o czterdzieści kilometrów ośrodka narciarskiego. Budynek terminalu pękał w szwach. W środku kłębili się spragnieni piwa podróżni z torbami pełnymi sprzętu sportowego w garści. Bar przyciągał jak magnes. Rantanen też się tam natychmiast udał.

Samotna jazda z powrotem dłużyła się, kierownica zdawała się stygnąć mi w dłoniach. Ciemność zgniatała samochód w wielkich łapskach, a ja nic nie mogłem poradzić na to, że przypomniła mi się ostatnia kłótnia z Pauliiną. Samochód zarzucał nieco na boki, kiedy próbowałem wydobyć telefon z sudeł pasów bezpieczeństwa, puchowej kurtki i kieszeni spodni. W spisie ostatnich połączeń poszukałem numeru Pauliiny. Odebrała niemal od razu. Po powitaniu zapadła cisza. Oboje czekaliśmy, żeby to drugie zaczęło i przełamało lodowate milczenie. I bez tego było mi zimno, więc równie dobrze mogłem rzucić się w nieznane, bo tym przez ostatni rok stał się nasz związek.

– Co u ciebie? – zapytałem. Zauważyłem, że brzmię, jakbym rozmawiał z przypadkowo spotkanym znajomym.

– Jestem w pracy – odpowiedziała. – Zaraz idę po Ellę do żłobka.

Cisza między nami wydawała się nieunikniona. Światła reflektorów pożerały śnieżną drogę.

– Jestem w Suomalahti – powiedziałem. – Byłem w kopalni.

– Pamiętałeś, żeby zapłacić za żłobek?

– Zapłacę wieczorem – odparłem. – Jak tylko dojadę do hotelu.

– Termin minął już w zeszłym tygodniu.

Jakbym o tym nie wiedział.

– Zajmę się tym.

– Tak jak z zakupami, które miałeś załatwić przed wyjazdem?

W myślach zobaczyłem ziejącą pustką lodówkę i kartkę na stole w kuchni. Wyrosły przede mną niczym góry, mimo że zapomniana lista zakupów znajdowała się jakieś osiemset kilometrów stąd. Przycisnąłem telefon do ucha, w tle słyszałem komunikacyjny szum.

– Cieszę się, że ci na nas zależy – powiedziała Pauliina.

– Nie żartuj.

– Nie muszę. Sam mnie w tym wyręczasz.

– Ta podróż wyskoczyła mi nagle.

– Jak zawsze.

– Ja tu pracuję.

– Z naciskiem na „ja”.

– Przynajmniej nie sprzedałem się korporacji.

Pauliina westchnęła. A potem cisza. Właściwie to nie. Słyszałem, jak jej rozczarowanie niesie się po całym uniwersum.

– Pozwól, że powrócę do sprzedawania się – odezwała się Pauliina – żebyśmy mogli opłacić żłobek i napełnić lodówkę. Bo jakoś tobie z tym twoim indywidualizmem się to nie udaje.

Nawet nie pamiętałem, kiedy to się zaczęło. Poznaliśmy się trzy lata temu, Ella urodziła się rok później. Teraz ledwie się dogadywaliśmy. Pauliina oskarżała mnie, że podporządkowuję się jedynie i wyłącznie pracy dziennikarza, a zaniedbuję

wszystko inne, z rodziną na czele. Ja z kolei zarzucałem Pauliinie, że porzuciła dziennikarstwo i przeszła na ciemną stronę mocy, jak mówiło się w redakcjach na agencje komunikacji i PR-u oraz consulting. Nie bez powodu. Większość pracy Pauliiny polegała na wykręcaniu kota ogonem. Nie były to prostolinijne kłamstwa, tylko wykorzystywanie własnych umiejętności do manipulacji i wprowadzania w błąd. W trakcie naszych kłótni pytałem ją, kiedy zamierza powiedzieć córce, że jej mama się sprzedaje. Na to Pauliina odpowiadała, że natychmiast, gdy tylko tata wyciągnie głowę ze swojej świętoszkowatej staromodnej dupy i zrozumie, że szukanie prawdy nie oznacza onanizowania się własną wyimaginowaną niezwykłością i że wszystko, co zrobiłem, zrobiłem tylko dla siebie, a nie z jakichkolwiek szlachetnych pobudek. Spory, które w pierwszym roku kończyły się namiętym, pojednawczym seksem, teraz były jak czarne bagno, i grzęźliśmy w nim za każdym razem coraz głębiej.

Dotarłem z powrotem do wsi. Minąłem sklep, fryzjera-masażystę i pub Kamieniołom. Z piętra dwukondygnacyjnego hotelu rozciągał się ponad kamiennym płotem wokół kościoła i plebanii widok na stary cmentarz. Może miało to stanowić pocieszenie: jeżeli pobyt tutaj ci się dłuży, znajdzie się i miejsce spoczynku.

Nie zarezerwowałem wcześniej miejsca. Jak się okazało, niesłusznie. Wszystkie osiem pokoi było zajęte.

Wróciłem do samochodu i uruchomiłem silnik. Ogrzewanie fotela działało. Podczas gdy palce u nóg cierpły od mrozu, tyłek służył potem. Na tablicy rozdzielczej paliła się kontrolka rezerwy, a na masce gromadził się lecący z nieba śnieg.

Była za pięć piąta. Po południu. Kiedy człowiek patrzył na ciemne podwórze, oświetlony czerwony kościół zbudowany z drewna i pustkę dokoła, mógł wyciągnąć inne wnioski. Redaktor naczelny Hutrila zadzwonił w ciągu godziny. Wiedziałem o tym, choć wcale się nie umawialiśmy. Hutrila ożenił się ponownie i jako świeżo upieczony tatuś zamykał wszystkie sprawy wczesnym wieczorem. Ten zwyczaj irytował

ludzi. Powszechnie uważano, że za bardzo się spieszy, i mówiono o nim Chałtura. Nie poprawiało to atmosfery w naszej zmagającej się z trudnościami ekonomicznymi redakcji.

Gdy wyjeżdżałem z dziedzińca przed hotelem, śnieg skrzypiał pod kołami. Czerwone oko rezerwy spoglądało na mnie złowrogo. Nie bardzo wiedziałem, po co włączam kierunkowskaz, wyjeżdżając na główną drogę. Tylko tu i ówdzie pozapalały się światła w oknach, jedyne oznaki życia.

Neony stacji widać było z daleka. Dwa dystrybutory pod wiatą i budynek warsztatu. Dopiero podjeżdżając do dystrybutora, zauważyłem, że w prawej części budynku znajduje się też mała kawiarnia albo bar – dwa szerokie okna, z których ciepłe światło opromieniało nieodśnieżoną część terenu stacji. Rączka szlauchu była tak zimna, że wgrzyzała się w dłoń, miażdżyła palce i wypluwała je bez czucia. Zatankowałem, zamknąłem wlew i ruszyłem do wejścia budynku.

Granica między kawiarnią a strefą odpoczynku dla kierowców była pisana palcem na wodzie. Gdzie się kończyła kawiarnia, gdzie było miejsce na odpoczynek?

Z części odpoczynkowej ziało szarością. Tu i ówdzie leżały porzucone przedmioty: wiertarka na jednym stoliku, dwa talerze, sztucce, serwetki i szklanki z zaschniętymi resztkami mleka na drugim. Trzeci stół był co prawda pusty, ale stał jakoś krzywo. Terenu kawiarni strzegła ustawiona naprzeciwko okien lada, na której stał dzbanek kawy i witryna z drożdżówkami. Za nią widoczna była część oświetlonej jarzeniówką kuchni.

Przede mną, dokładnie naprzeciwko wejścia, były drzwi do toalety. Brud naokoło klamki świadczył o natężeniu ruchu.

Siedzący przy przekrzywionym stoliku mężczyzna podniósł wzrok.

- Płacisz za benzynę? – zapytał, masując sobie brodę.
 - Mógłbym spróbować.
 - Tędy. – Wskazał ruchem głowy.
- Popatrzyłem na puste stanowisko.
- Dobrze – powiedziałem.

Kiedy doszedłem do kasy, wstał od stołu, szurając krzesłem o podłogę, i przeszedł za moimi plecami na drugą stronę lady.

– Za jedynekę. To będzie sto osiem euro i trzydzieści centów. Coś jeszcze?

Zerknąłem w stronę lady z kawą i drożdżówkami. Pięć minut. To by mnie trochę orzeźwiło. Mógłbym skorzystać z telefonu i poszukać hotelu. Doliczyłem do rachunku kawę i drożdżówkę, zaniósłem je do stołu z wiertarką i zasiadłem, żeby pozłatwić swoje sprawy.

Telefon nie działał, zasięgu jak na lekarstwo. Kawa szczypała w dziąsła, drożdżówka chrzęściła ze starości. Wiertarka kłuła mnie w brzuch, śniegu znów przybywało.

Odwróciłem się w stronę nieznanego.

– Mogę o coś spytać?

Facet podniósł wzrok, jakby odrywał się od gazety. Tyle że stół był pusty.

– Powiedzmy – odparł.

– Mój telefon nie działa, a szukam hotelu...

– Naprzeciwko kościoła.

– Pełen. Jest jeszcze jakiś...

– Nie ma. Ale jak pojechać kawałek, to się znajdzie.

– W którą stronę...

– Jak się stąd wyjedzie, to w prawo. Trzeba jechać jakieś siedem kilometrów, a kiedy będzie drogowskaz na Koittaniemi, skręcić i pojechać aż do Varpaiset, tam jest kasyno.

– Kasyno?

– Taki ośrodek wypoczynkowy. Tak się tutaj na to mówi: Kasyno. Ale teraz, odkąd jest ta kopalnia, mają tam otwarte też zimą.

– A skoro jesteśmy już przy kopalni... Jestem dziennikarzem, Janne Vuori z „Głosu Helsinek”.

Zapadnięta twarz mężczyzny nabrała wyrazu. Może z ciekawości.

– Czy to się wiąże z tymi zielonymi?

Moje spojrzenie było dość pytające. Kościsty pięćdziesięciolatek odchylił się na krześle.

– Tak się pytam, bo oni też byli z Helsinek. Zatankowali, poprosili o herbatę i wyjęli swoje kanapki, chociaż miałem zupę z kawałkami mięsa. Przysłuchiwałem się z boku ich rozmowie i myślałem, że zaraz się zaczną.

– Co takiego?

– Coś, co teraz robią. Skoro mówili o kopalni... W ten sposób...

– W jaki sposób?

Spojrzał przez okno, a ja podążyłem za jego wzrokiem. Światła stacji sprawiły, że śnieg nabrał żółtej barwy.

– No, tak jak ludzie tacy jak oni gadają. Niby coś mówią, ale właściwie nic nie mówią. Jednego to nawet rozpoznałem. Ze zdjęć w gazecie. Niebieskie włosy. Co z niego za obrońca przyrody i mężczyzna? Z niebieską czupryną?!

– Kiedy to było? – zapytałem.

– Tydzień temu... może półtora.

– Ilu ich było?

– Jedna babka i trzech facetów. Nie powiem, co o tym myślę.

– W jakim wieku?

– Trzydziestolatki. To ty pewnie też jesteś tu w tej sprawie.

Możliwe, że miał rację. Dostałem wskazówkę, podążyłem za nią.

– Piszę reportaż o kopalni – odparłem wymijająco.

– Dlaczego?

– A czemu nie?

Facet pokręcił głową.

– To z tego się utrzymujecie na południu? Rozbijacie się po kraju i opowiadacie bzdury. To nie brzmi rozsądnie. Masz rodzinę?

– Żonę i córkę.

– I co? Dumne są z ciebie?

Kasjer ze stacji benzynowej dobrze oszacował dystans. Drogowskaz pojawił się dokładnie na siódmym kilometrze.

Droga zwęziła się, a zasy przy jezdni urosły. Nikt nie jechał z przeciwka. Wciąż nie miałem zasięgu. Wyłączyłem telefon i znów go włączyłem.

Myślałem o tym, co powiedział mi sprzedawca na stacji benzynowej.

Niebieskowłosego znałem z mediów.

Jak tysiące innych, obejrzałem film na YouTube, gdzie całą słynną operację pokazywano od początku do końca: rozczarowany współpracą z Greenpeace Santtu Leikola, trzydziestolatek z neonowo niebieskimi włosami, opowiada do kamery, co zamierza zrobić i dlaczego. Przekaz był prosty: przeświecone, blade, zapadnięte policzki i niebieska potargana strzecha na tle czarnej ściany.

Kamera podążała za mężczyzną – w czynnościach domowych i w zmontowanych urywkach z przygotowań do akcji – kiedy organizował ekwipunek: długi, zaostzony maszt, składany jak staromodny teleskop, który mieścił się do plecaka, flagę o wymiarach cztery na osiem metrów, linę, race i wiele innych rzeczy. Leikola miał głos fanatyka: wyraziście gwałtowny, całkowicie pozbawiony poczucia humoru. Nie pamiętałem dokładnie jego słów, ale bezpośrednia forma groźby i wymienieni z nazwiska ludzie zapadli mi w pamięć. Kiedy założył plecak, obraz się urwał.

Po chwili można było rozpoznać dzielnicę Töölö na tyłach parlamentu.

Kamera chwiała się, kiedy dwóch aktywistów – dlaczego ich zawsze musiało być dwóch? – wspinało się na dach budynku. Potem obraz się uspokoił. W tle zimowe słońce na bezchmurnym niebie nad miastem. Leikola wyciąga z plecaka wiertarkę udarową i długimi stalowymi śrubami przytwierdza maszt do rury wentylacyjnej.

Mocowanie jest solidne, a z dotychczasowych ruchów Leikoli można wnioskować, że jest nie tylko szybki i silny, ale też sprawny manualnie. Flaga wjeżdża na maszt i łopocze na

porywistym południowo-wschodnim wietrze, a Leikola przygotowuje race do odpalenia.

Znów cięcie, a po chwili Leikola i flaga już z innej perspektywy.

Schody przed wejściem Musiikkitalo – centrum muzycznego stolicy, naprzeciwko parlamentu. Jasnożółta flaga łopocze, a wysoko nad Helsinkami krwicie czerwienią się race. ODPAD ATOMOWY – BALAST NA 1 000 000 LAT, informowała flaga, podczas gdy w parlamencie przegłosowywano właśnie decyzję o budowie piątej elektrowni atomowej. Wyczyn przykuł uwagę mediów, Leikola zaś dostał mandat. Najważniejsze w tym wszystkim było jednak samo nagranie. Sugestywne w swej surowości i przekonujące poprzez wykonanie. Rzucone na odchodnym przez Leikolę „Lepsze dwustu martwych posłów niż milion niewinnych” brzmiało jak makabryczny slogan, który parafrazowano na wszystkie możliwe sposoby.

Od tego zdarzenia upłynął prawie rok.

Zanim zauważyłem, że wjechałem do Varpaiset, światła samochodu omiotły szyld Kasyna.

PLAŻA–KASYNO–HOTEL
WYPOCZYNEK DLA CAŁEJ RODZINY
GRY, IMPREZY, PARK TEMATYCZNY, MASAŻ

Dwie minuty później zaczęły wyrastać z ciemności kontury słabo oświetlonego budynku.

Do Las Vegas było mu daleko.

Kasyno wybudowano, sklejjąc – od prawej do lewej – szeregowiec, przydrożny motel i spa, każde z innej dekady. Plaża musiała znajdować się za tym potworkiem. Parter szeregowca wyglądał mi na recepcję. Przed nim zrobiono parking, na którym stały dwa samochody częściowo przykryte śniegiem. Sięgnąłem na tylne siedzenie po torbę.

Sześćdziesięcioletnia kobieta w recepcji wyglądała, jakby spodziewała się mojego przybycia.

– Masz szczęście. – Uśmiechnęła się, kiedy wyjaśniłem, że szukam noclegu. – Mamy jeszcze jeden wolny pokój.

Przed chwilą zaparkowałem samochód na niemal pustym parkingu.

– Ach tak?

– Ostatnio mamy mnóstwo klientów. Śniadanie jest od szóstej do dziesiątej. Sauna nagrzana do jedenastej. Można zostać do dwunastej, ale piec już stygnie.

– Czy da się teraz coś zjeść?

– W barze. Serwujemy gulasz z dziczyzny z tłuczonymi ziemniakami i żurawiną.

Podziękowałem, zabrałem klucze i przeszedłem do części motelowej położonej pół kondygnacji wyżej. Pokój numer szesnaście znajdował się na końcu długiego korytarza. Położyłem laptopa na stole obok starego telewizora i przystąpiłem do pisania. Przygotowałem szkic. Zawsze tak robiłem: wypisałem osoby, z którymi przeprowadziłem rozmowy, zacytowałem komentarze, jeszcze raz zebrałem podstawowe informacje. Dodałem nastroje i wrażenia: śnieg, wieś, odległości. Chociaż nie wystarczyłoby tego na porządny reportaż, wiedziałem, że część zebranego materiału przyda mi się w przyszłości.

Spędziłem na pisaniu półtorej godziny. Przeczytałem tekst i zastanowiłem się chwilę.

„Głos Helsinek” był w sporych tarapatach. Ostatnia krajowa gazeta o średnim nakładzie. Musieliśmy się czymś wyróżniać. Powiedziałem naczelnemu, że na północy może się znaleźć coś na duży materiał, ale jeszcze do tego czegoś nie dotarłem.

Nie mieliśmy takich zasobów jak duże wydawnictwa. Musieliśmy robić to, czego inni nie robili, zdążyć przed wszystkimi, obejrzeć dokładniej, znaleźć własny punkt widzenia i grzebać tak długo, aż dotrzemy do sedna sprawy lub do źródła, a najlepiej do jednego i drugiego. Musieliśmy być szybsi, bardziej pomysłowi, wytrwali i uparci. Wiedziałem też, że to, czego

szukam, jest tuż przed moim nosem. Zawsze tak było. Coś jasnego jak słońce. Czego jeszcze nie widzę. Popisałem przez kolejne pół godziny, złożyłem tekst we w miarę spójną całość i wysłałem do naczelnego – na dowód, że naprawdę tu przyjechałem.

Wyłączyłem komputer i pomyślałem, że zasługuję na duże piwo.

Bar znajdował się w podłużnym pomieszczeniu z niskim sufitem – trzy boksy obok siebie z widokiem na jezioro. Kiedy akurat nie było ciemno. I nie w zimie. Słabe światło latarni wystarczało, by stwierdzić, że śnieg przestał padać. Przy ścianie po lewej był kontuar, a po prawej znajdował się niski podest ze sceną. W barze było troje klientów, wliczając mnie. Para, która siedziała na wysokich stołkach zaraz przy wejściu i całym ciałem opierała się o kontuar, wyglądała na kompletnie napraną i jednocześnie totalnie wykończoną. Usiadłem na drugim końcu baru, zamówiłem piwo i już podnosiłem je do ust, kiedy usłyszałem męski głos.

– Cześć.

Odwrociłem się na tyle, żeby widzieć parkę. Kobieta przechyliła się najpierw do tyłu, potem do przodu. Mężczyzna przycisnął ją do blatu. Spróbował skupić na mnie spojrzenie. Czterdziestolatek, zniszczona twarz, mocne ramiona.

– Cześć – odpowiedziałem.

– Czy ty czasem nie miałeś dzisiaj nocnej zmiany?

– Przecież mam nocną zmianę – odparłem, unosząc kufel.

– Cholerny błazen. Przecież to gówno samo stamtąd nie zniknie.

Facet chyba mówił poważnie.

– Jakie znów gówno? – spytałem najbardziej obojętnie, jak potrafiłem. – Skąd?

Pokręcił głową. Najwyraźniej próbował się skupić na mnie, co za pierwszym razem nie bardzo mu wyszło.

– Czy ty w ogóle jesteś Nieminen? – zapytał.

Wstałem z krzesła i podszedłem w jego stronę. Z bliska widać było, że jest bardziej wstawiony, niż myślałem. Przez chwilę patrzyłem mu prosto w oczy.

– Jakie gównno ma zniknąć?

Nieznajomy na chwilę zawiesił na mnie wzrok, potem przesunął go w bok, najpierw na kobietę, a w końcu na bar.

– Pomyliłem cię z kimś – rzucił cicho. – Nic nie mówiłem.

Przypomniałem sobie słowa rudej z recepcji. Mnóstwo klientów, dostałem ostatni wolny pokój. A parking niemal pusty.

– Pijesz, Tomi, swoje piwo? – odezwała się kobieta. – Chętnie dokończę, jak już nie możesz.

Popatrzyłem na nią. W oczach miała nagromadzone przez dziesiątki lat pragnienie. Sięgnąłem po swój kufel i postawiłem przed nią na barze.

– Proszę.

Chwyciła za szkło. Mężczyzna spojrział na nią z nienawiścią. Zaraz pewnie będzie ją obwinił za rozmawianie z nieznajomymi. Pijane pary zawsze i wszędzie zachowują się tak samo. Nie czekając, aż wybuchnie kłótnia, którą już czuło się w powietrzu, prędko pognałem do pokoju.

Kurtka, rękawiczki, czapka.

Śnieg skrzypiał pod nogami, kiedy szedłem do samochodu.

4

Śledził ludzi. Nie w tej chwili i nie cały czas, ale stanowiło to ważną część jego pracy, a tym samym jego życia. Po raz kolejny pomyślał o tym, idąc pod górę Töölöntorinkatu po wysypanym piaskiem chodniku. Szedł po stronie dawnej restauracji Motti, a kiedy doszedł na plac targowy w Töölö, ze wszystkich stron otoczyły go oświetlone okna.

Do ilu to żyć wkroczył? Do ilu wchodził mieszkań, domów, domków letniskowych, will, pokoi hotelowych? Patrzył, jak mieszkają i zachowują się różni ludzie. Wdzierał się do schludnych domów, zupełnie niewyglądających na zamieszkałe. Żaden przedmiot nie miał tam właściciela, nic nie wskazywało na to, jak mieszkańcy dają sobie radę w życiu, z czego się utrzymują. Mieszkania z drugiego końca skali były równie zagadkowe: ludzie żyjący wśród stert śmieci, podłogi znikające pod warstwami odpadów.

Z każdym nowym doświadczeniem stawał się coraz szybszy.

Przedpokój mówił mu właściwie wszystko, co go interesowało: buty i płaszcze, ich marki, jakość, stan i ilość; ślady i brud na dywanie, a gdy nie było dywanu – na podłodze; zapach, odór, a w niektórych przypadkach po prostu smród; wszystko to w ciągu kilku sekund formowało obraz, czego mógł się spodziewać... albo się nie spodziewać.

Ludzie uważają swoje domy za bezpieczną, prywatną własność.

On wiedział, że tak nie jest. Czasem podbiegał, żeby wejść razem z kimś na klatkę schodową, jechał tą samą windą na górne piętra, słuchał i patrzył, jak ludzie ze sobą rozmawiają, klikają w telefony, kaszlą, uśmiechają się i mówią coś o pogodzie albo po

prostu stoją i oddychają tak, że mógł wyróżnić wszystkie niuanse: czasem ciężar zmęczenia, czasem nutkę zniecierpliwienia. Zawsze wyczuwał też u innych potrzebę zajęcia przestrzeni dla siebie, nieważne jak małej i na jak krótko.

Na placu targowym pod cienką warstwą śniegu czały się śliskie kocie łby. Wszędzie dokoła oświetlone okna, a w nich ludzie. Ludzie na ulicy w drodze do domu. Dziś, kiedy ich mijał, przypominało mu się, co robi, co jest jego pracą, jego życiem.

Śledził ludzi. A potem ich zabijał.

5

Pół godziny po ciemnej drodze – a potem było coraz jaśniej, aż w końcu, kiedy gęsty las zaczął rzednąć, teren kopalni odsłonił się niczym księżycowy pejzaż. Skręciłem na drogę wiodącą do kopalni. Parking był pełen. Przejechałem wzdłuż rzędu samochodów i zaparkowałem na końcu. Jeżeli zgasiłbym silnik, zimno wtargnęłoby do środka w parę minut. Jeśli zostawiłbym go na chodzie, mogłoby to zwrócić czyjąś uwagę. Nie sądziłem, że w dyżurce ktokolwiek będzie teraz bardziej skory wystawić mi przepustkę niż w ciągu dnia. Najprawdopodobniej byłoby dokładnie na odwrót. Znajdowałem się w niewłaściwym miejscu.

Zawróciłem na drogę. Kawałek przed wjazdem na krajową było skrzyżowanie, które przecinała wąska, przykryta świeżym śniegiem boczna droga; po prawej ciągnęła się wzdłuż granicy z kopalnią. Skręciłem więc w prawo. Śnieg pod kołami wydawał się miękki. Jechałem powoli. Droga odbijała łagodnym łukiem w prawo. Drzewa, śnieżne zasy i wreszcie przecinka. Wyłączyłem silnik i zgasilem światła.

Otwarta przestrzeń powiększała się, aż zobaczyłem równinę podzieloną na kwadraty. W jednym z nich, pod lasem, coś się ruszało. Ogromny dystans powodował, że dwie potężne koparki, ich reflektory oraz uwijający się przy nich ludzie – na oko osiem osób – przypominali mrówki wokół mrowiska. Po chwili dotarło do mnie, że gładkie kwadratowe pola to baseny ze ściekami. Ich powierzchnia zamarzała, a śnieg wkomponował je w krajobraz, by nie rzucały się za bardzo w oczy.

Czym zajmowali się mężczyźni? Co takiego trzeba było robić w nocy w takim miejscu? Ze ścieków raczej nie wykopywano rudy.

Przecież to gówno samo stamtąd nie zniknie.

Obie koparki, przy których harowali mężczyźni, huczały i grzebały w ziemi. Reflektory skierowano w stronę lasu.

Nie wziąłem ze sobą nic oprócz telefonu, którym mogłem robić zdjęcia. Zgasilem silnik i wysiadłem z samochodu. Wiatr natychmiast przewiał mnie na wskroś. Od robotników i koparek dzieliły mnie setki metrów. Siatka odgradzająca teren kopalni była wysoka i ciągnęła się daleko w obie strony. Po lewej znikła między kolumnami drzew.

Powoli brnąłem przez głęboki śnieg. Kiedy znalazłem się pod osłoną drzew, śnieg wciskał mi się już do butów, spodni i pod kurtkę. Dygotałem z zimna. Zanim dotarłem do ogrodzenia, straciłem czucie w palcach stóp i rąk. Znalazłem miejsce, w którym płot przylegał do dużego kamienia, wspiąłem się po nim, skoczyłem i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie sprawdziłem, czy siatka nie jest pod prądem. Gdyby tak było, leżałbym teraz nieprzytomny w śniegu głębokim na metr. Sunąłem przez zasy w kierunku świateł i koparek, a mroźny wiatr smagał mi twarz. Uważałem, żeby nie zboczyć z wąskiego pasa ziemi rozdzielającego ścieki. Jeszcze przez chwilę mogłem pozostać w cieniu, wiedziałem o tym. Nogi sztywniały mi z zimna i zakwasów, mróz wdzierał się do gardła i płuc. Spływałem potem, a jednocześnie bałem się, że zamarznę.

Wśród warkotu koparek zacząłem odróżniać męskie głosy. Na tyłach budowy, na skraju lasu, teren łagodnie opadał. Robotnicy kopali chyba kanał, szeroki rów ciągnący się w stronę drzew. Zrobiłem jeszcze parę kroków i stanąłem. Ściągnąłem rękawice i wyjąłem z kieszeni komórkę. Próbowałem rozgrzać ją ciepłem oddechu: przyklęknąłem na śniegu i trzymając ją między nadgarstkami, dmuchałem. Odpowiedziała mi tylko czerń i milczenie. Po upływie paru minut, kiedy już dobrze przyjrzałem się mężczyznom przy pracy i nasłuchiwałem warkotu koparek przewracających ziemię, ruszyłem z powrotem do samochodu.

Droga była długa i mroźna. Słyszałem głos Pauliiny, kiedy opisywała mnie na zakończenie zakrapianej kolacji

z przyjaciółmi: *Janne sprzedałby lewe jajo za dobry reportaż i prawe za zdjęcie na początek artykułu. No, ale z drugiej strony, po co mu te jaja, skoro nigdy nie ma go w domu.*

Płot wydawał się wyższy, niż kiedy tu przyjechałem. Zapiierając się o potężny świerk, wspiałem się na ogrodzenie, przeleciałem na dół i wylądowałem w śniegu. Znów miałem szczęście. Pod spodem nie było kamieni ani ustawionych na sztorc gałęzi. Nie czułem nóg, a uruchomienie silnika pochłonęło resztki sił.

Wzrok recepcjonistki odprowadzał mnie, dopóki nie opuściłem holu. Dotarłem do pokoju, zrzuciłem ubranie na podłogę w łazience, wypilem szklanę wody i wlażłem pod gorący prysznic. Dreszcze i mrowienie powoli ustępowały. Kiedy wróciłem do pokoju, spróbowałem włączyć telefon. Wciąż był zimny i nie reagował. Tego wieczoru nie zdołałem życzyć Elli dobrej nocy.

Podszedłem do okna, żeby zaciągnąć zasłony, i popatrzyłem w kierunku parkingu.

Padał śnieg.

Długi cień.

Mężczyzna.

Wszystko było w nim szerokie. Jego siłę czuło się instynktownie, a gdyby wyciągnął rękę na powitanie, przypominałaby platformę ładunkową ciężarówki.

Przez chwilę stał na parkingu, popatrzył w moje okna, a potem znikł nagle w ciemności.

Przebiegłem wzrokiem od jednego końca parkingu do drugiego. Od ciemnej ściany lasu aż do drogi prowadzącej do lepszego świata. Sprawdzałem każdy odstęp między samochodami, ich okna. Nie dostrzegłem nikogo, niczego. Spadające płatki śniegu pogłębiały tylko wrażenie, że oprócz nich wszystko inne pozostaje w bezruchu. Byłem przekonany, że widziałem kierownika ochrony Kosolę. Stał jakieś dwadzieścia metrów ode mnie i patrzył mi prosto w oczy.

Czternaście godzin później oddałem samochód do wypożyczalni na stacji kolejowej i poszedłem na przystanek tramwajowy. Wiatr hulał po placu, przyginał ludzi do ziemi, niektórzy wyglądali przez to na żebraków, a wicher wpychał im śnieg do ust i oczu. Wysłałem Paulinie wiadomość, że wrócę do domu najpóźniej o ósmej. Nie spodziewałem się od niej odpowiedzi.

Jakiś pijak leżał na ławce i gołymi plecami dawał dowód lekceważenia pory roku. Gdy się obudzi, będzie mocniejszy albo całkiem go pokręci. Nadjeżdżający ze zgrzytem tramwaj nie zakłócił mu drzemki. Nie zbudził się, nawet kiedy ktoś kopnął pustą butelkę wódki, która zakręciła się z hukiem na asfalcie: rosyjska ruletka dla biedaków.

Tramwaj przejechał po moście i wjechał do Hakaniemi. Wsiadłem i w podskokach przebiegłem przejście dla pieszych; białe prostokąty były śliskie. Redakcja „Głosu Helsinek” mieściła się na Paasivuorenkatu. W związku z lokalizacją nieustannie musieliśmy się tłumaczyć, że nie jesteśmy ideowo związani z żadnym ze związków zawodowych ani niegdyś wielką partią pracy, które miały siedziby w sąsiedztwie. Nie, nie wywieszamy czerwonej flagi. Nie, nie, to nie jest manifest – zamiana pełnej eleganckich butików Eerikinkatu na biuro z widokiem na dar od Związku Radzieckiego – pomnik pokoju i współpracy. Nie, nie hołdujemy ideologii z poprzedniego wieku. Jesteśmy prężną, niezależną gazetą codzienną.

Wbiegłem po schodach na trzecie piętro. Hutrila był w swoim pokoju. Wskazówka zegara nie doszła do piątej, toteż naczelny wciąż siedział na krześle. Po piątej – jeszcze dobrze przed szóstą – nachylał się zazwyczaj nad rogiem biurka, żeby nikt, kto wejdzie do pokoju, nie mógł u niego przysiąc. W pozycji stojącej trzeba się było streszczać.

– Zamknij drzwi – powiedział, i gestem wskazał mi krzesło.

W pokoju było tak cicho, że mogłem usłyszeć szum komputera. Naczelny nie był zwolennikiem open space. Kto przy zdrowych zmysłach był? Powstające w open space pomysły były

takie jak i wewnątrz: chaotyczne, hałaśliwe, zużyte. Usiadłem naprzeciwko szefa. Był niskim mężczyzną o jasnej karnacji; zawsze sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz odpalić raketę.

– Myślałem, że zbierasz materiał w Suomalahti – powiedział. – Przeczytałem to, co mi wysłałeś. Jak na razie nic w tym nie ma.

– Chciałem z tobą porozmawiać – odparłem.

– Chcesz się na tym skupić, inne sprawy zepchnąć na boczny tor, chcesz mieć wolną rękę. Możesz to uzasadnić?

Spojrzałem na Hutrile, prosto w jego szare oczy.

– Z tego będzie bomba, trzeba tylko ustalić...

– Ależ oczywiście – przerwał mi. – Przecież mówiłem, że przeczytałem ten tekst. Co, twoim zdaniem, jest w nim takiego wyjątkowego?

– Na razie nic.

– No właśnie.

– Potrzebuję czasu.

– Nie dostaniesz więcej, niż masz. Wszyscy w gazecie się temu podporządkowują. Jutro w samo południe jest zebranie całej redakcji. Do zobaczenia.

Kilku kolegów klepało w klawiatury komputerów. Pozdrowiliśmy się na migi. Usiadłem przy swoim biurku, wyjąłem laptopa i uruchomiłem. Popatrzyłem przez okno i zobaczyłem światła hotelu naprzeciwko. Przeczytałem notatki, które zrobiłem na północy. Poszukałem, co na ten temat ukazało się w innych gazetach.

Po raz kolejny przeczytałem o tym, jak Finn Mining Ltd. kupiło prawa do prowadzenia wykopów za dwa euro. Tyle razy było to powtarzane, że przestano tego słuchać. Hutrila nie słuchał. Nawet ja nie słuchałem.

Firmę tworzą ludzie. To stereotyp, ale jak to ze stereotypami bywa, to także bolesna prawda.

Znalazłem numer telefonu na stronie Finn Mining i wykonałem parę telefonów. Prezes Mali był nieosiągalny. Oczywiście, pomyślałem. Sekretarka nie potrafiła określić, kiedy

mniej więcej można go zastać. Zapytałem, czy uda się jeszcze przed następnymi wyborami, i odłożyłem słuchawkę.

Przejrzałem galerię portretów na stronie spółki.

Marjo Harjukangas, ekspertka do spraw ochrony środowiska. Członek zarządu. Około czterdziestu lat, długie, ciemne włosy z przedziałkiem, twarz maratonki poprzecinana zmarszczkami, poważne ciemne oczy. Wybrałem jej numer.

Odebrała.

A potem sprawy nabrały takiego biegu, że niemal spadłem z krzesła; siedziałem na brzegu, opierając się na łokciach. Przedstawiłem się w popłochu. Wstałem i wyjaśniłem, dlaczego dzwonię. Harjukangas nie próbowała mi przerywać. Milczała jeszcze długo po tym, jak zakończyłem swój monolog.

– Chcesz, żebym odpowiedziała teraz na twoje pytania, czy wolisz się spotkać osobiście? – zapytała wreszcie.

Spojrzałem na ekran. Po kolei klikałem na wszystkie dokumenty, przeglądałem artykuły na temat kopalni, przelatywałem wzrokiem po imionach wyróżnionych grubą czcionką. Nigdzie nie było mojej rozmówczynie. Wywiady przeprowadzono ze wszystkimi innymi: z prezesem, przewodniczącym zarządu, członkami zarządu, kierownikiem produkcji, nawet z kierowcą ciężarówki.

– Lepiej, żebyśmy się spotkali.

– Może być jutro?

Umówiliśmy się na spotkanie i zakończyliśmy rozmowę. Opadłem na krzesło i przez chwilę gapiłem się przed siebie. W jednym z pokoi hotelu naprzeciwko zapaliły się światła. Ktoś wszedł do środka.

Wróciłem do góry strony spółki.

Suomalahti. Finn Mining.

Ponownie złapałem za telefon. Pozostali członkowie zarządu byli nieosiągalni. Poprosiłem o oddzwonienie. Poszukałem informacji na temat dyrektora do spraw rozwoju Hannu Valtonena, dyrektora sprzedaży Giorgiego Sebrinskiego, dyrektora do spraw finansów i inwestycji Kimma Karmia

i kierownika personalnego Alana Stilsona. Jedyne Valtonen posiadał przeszłość związaną z przemysłem wydobywczym, pozostali pochodzili z różnych branż międzynarodowego biznesu. Wszyscy, z wyjątkiem Valtonena, mieli profil na LinkedIn. Przejrzałem zamieszczone tam życiorysy. Większość nazw przedsiębiorstw brzmiała znajomo, ale nic szczególnego nie przykuło mojej uwagi. Zamknąłem przeglądarkę i zajrzałem do notatek.

Sprzedawca ze stacji benzynowej mówił o przybyłych z południa obrońcach przyrody, z których jeden był uderzająco podobny do niebieskowłosego aktywisty. Sprawdziłem numer do Santtu Leikoli. Odebrał niemal natychmiast. Przedstawiłem się, wyjaśniłem, że dzwonię w sprawie ewentualnego artykułu, i zapytałem, czy miałyby czas odpowiedzieć na kilka ogólnych pytań.

– Nie udzielam komentarzy – odpowiedział bezpośrednio Leikola.

– Ja jeszcze o nic nie zapytałem.

– Nie udzielam komentarzy – powtórzył.

– Chciałem tylko zapytać, czy to prawdziwa informacja, że jakiś czas temu odwiedziłeś Suomalahti, gdzie znajduje się także kopalnia niklu należąca do Finn Mining, i czy ta wizyta miała jakiś związek z tą kopalnią i jej działalnością?

Przez dłuższą chwilę nic nie było słyhać.

Koniec połączenia.

Oparłem się na krześle. Odszukałem na YouTube film, na którym Leikola z kolegami wspina się na dach parlamentu. Oglądałem i słuchałem przez minutę. Zatrzymałem obraz; Santtu Leikola wyglądał, jakby miał wyskoczyć z ekranu.

Wróciłem na stronę spółki górniczej.

Twarz Mattiego Mali była kanciasta z każdej strony. Dolna szczęka wyrazista, wysokie czoło, szeroko otwarte niebieskie oczy. Miał siedemdziesiąt trzy lata. Albo nie potrafił się rozstać z władzą, albo nie miał jej komu przekazać.

Zakupił Suomalahti na rzecz spółki siedem lat temu, bez jakiegokolwiek przetargu.

Dwa euro.

Zacząłem rozpatrywać inne aspekty tego zakupu. Czy po podpisaniu umowy wszystkie strony miały poczucie, że to był dobry interes? Sam papier, na którym sporządzono umowę, kosztował więcej niż prawo do prowadzenia wykopów, do udziału w loterii. Nie wspominając o ciastkach, kawie, kierowcach, którzy przywieźli zainteresowanych na rozmowy.

Powrót do domu był bolesny. Uśmiech Elli, *tatatatatata*. Ciął i leczył zarazem. Przytuliłem ją mocno. „Puszczaj, puszczaj!”, wołała, śmiejąc się. Uwielbiałem jej głos. Był tu dopiero dwa lata, a już zdążył wypełnić sobą cały świat. Rozpoznałbym go spośród wszystkich innych głosów, głos, który, moim zdaniem, należał do bogów. Ella pobiegła do salonu, a ja, wieszając kurtkę, poczułem perfumy z szalika Pauliiny, jej zapach.

Była w kuchni, napełniała zmywarkę. Ella zdążyła już zjeść; jej miejsce przy stole właśnie wytarto do czysta. Na szklanej powierzchni wciąż było widać długie, równo zakręcające smugi po ścierce.

– Mogę włożyć naczynia do zmywarki – zaproponowałem.

– Już kończę – odpowiedziała Pauliina, nie odwracając się. – Ale mógłbyś zająć się Ellą.

W salonie moja córka właśnie układała książki na półce. Mało która kończyła na właściwym miejscu lub chociaż w jego okolicy. Wyglądaliśmy się dobrą godzinę, podczas gdy Pauliina siedziała w kuchni. Zwyczajny wieczór z naszego życia w Roihuvuori, na obrzeżach Helsinek. Przeszliśmy z Ellą do wieczornych rytuałów. Przeczytałem jej bajkę i wreszcie zasnęła. Zgasilem światło i wróciłem do kuchni.

– Śpi? – spytała Pauliina.

– Nie – odparłem cicho. – Wysłałem ją do kiosku po fajki.

Jej wzrok przykleił się do komputera. Włożyłem pieczywo do tosterka, wyjąłem z lodówki wątrobiankę. Co jeszcze? Trochę

jogurtu. Od czasu obiadu na stacji benzynowej minęło wiele godzin, ale nadal miałem wrażenie pełnego żołądka.

– Kto zaprowadzi Ellę do żłobka? – zapytała Pauliina. Nadal na mnie nie patrzyła.

– Mogę ją zaprowadzić. Muszę być w mieście dopiero o wpół do dziesiątej.

Kobieta przy stole wyglądała tak samo jak ta, w której zakochałem się po uszy trzy lata temu. Przede wszystkim zrobiła na mnie wrażenie swoją wewnętrzną równowagą: stąpała twardo po ziemi, choćby dokoła wszystko waliło się i paliło. W jej rozsądku i poczuciu sprawiedliwości tkwiła siła, która natychmiast mnie do niej przyciągnęła. Późniejsze doświadczenia nauczyły mnie, że te przymioty oznaczały też upór; jeżeli Pauliina uznała, że coś – lub ktoś – jest niesprawiedliwe, to o tym również pamiętała. Nie była to jednak długo chowana nienawiść, raczej pewien rodzaj księgowości.

Pauliina pisała coś na komputerze. Może do pracy, a może nie. Nigdy nie opowiadała o swoich sprawach. Okulary odbijały blask ekranu i nie byłem w stanie wyczytać nic z jej oczu.

– Co u ciebie? – zapytałem.

– Dużo pracy. Ale przyjemnej, w większości.

Rozsmarowałem wątrobiankę na ciepłym pieczywie. Natychmiast się rozpuściła; pieczywo rozmiękło i jego powierzchnia błyszczła.

– Dziękuję, że zrobiłaś zakupy – odezwałem się.

– Pamiętasz, że w sobotę Ruusuvuori przychodzą na kolację?

Naturalnie, nie pamiętałem.

– Oczywiście.

– O szóstej w sobotę, będzie fajny wieczór.

– Mogę coś ugotować.

Podniosła wzrok. Siedzieliśmy po dwóch stronach stołu. Ekran komputera stanowił barierę jak na stołach w salach widzeń w filmach, których akcja rozgrywa się w więzieniu. Oczy Pauliiny znów pozostawały za zasłoną refleksów. Jednak z ułożenia głowy

i zaciśniętych ust można było wnioskować, że ma raczej poważne spojrzenie.

- Skąd mogę wiedzieć, że tak będzie naprawdę? – powiedziała.
- Bo tak mówię.
- Już nieraz mówiłeś.
- To było co innego. Premier zgodził się na wywiad.
- Ty rozmawiałeś z premierem, a my zamówiliśmy pizzę.
- Powiedziałem: zrobię kolację.

Pauliina milczała.

- Jak podróż? – odezwała się w końcu.
- Nie wiem, czy mogę z tobą o tym mówić.
- Co?!

– Byłaś dziennikarką, wiesz dobrze.

Opuściła okulary i spojrzała znad nich. Była piękna.

– Ty to mówisz poważnie – stwierdziła.

– W dodatku pracujesz w agencji komunikacji, która w przeszłości reprezentowała nawet producentów broni i przemysł tytoniowy.

– To było lata temu, kiedy tam zaczynałam. Nie miałam z tym żadnej styczności.

– Ale twoi koledzy owszem.

– I co z tego?

Pieczyno zdążyło wystygnać. Wątrobianka smakowała jak olej, jak rosół. Przełknąłem.

– Właściwie nic szczególnego – odparłem.

Pauliina zamknęła komputer i wstała. Słyszałem, jak myje zęby i idzie do sypialni. Usiadłem na kanapie w salonie, z laptopem na kolanach, i przeskakiwałem po kanałach telewizora z wyłączonym dźwiękiem. Trafiłem na amerykański serial, w którym dzieci z patchworkowej rodziny starały się jakoś ze sobą funkcjonować. Minęła chwila, zanim zrozumiałem, że to komedia.

Nie trzeba nic robić, żeby zepsuć relacje międzyludzkie. Pauliina i ja nie staraliśmy się zranić nawzajem, nie działaliśmy

z premedytacją, a mimo to patrzyliśmy na siebie jak na kogoś, kto kaszle na innych w tramwaju.

Szukałem nowych informacji na temat przemysłu wydobywczego. Ale nie mogłem się skupić.

Myślałem o Paulinie, o tym, jak daleko od siebie odeszliśmy. Myślałem o Elli. I o tym, jak dorastałem bez ojca. Pamiętałem własne pytania i to, jak rozumiałem jego nieobecność: jest miejsce, w którym powinno się być w konkretnej chwili, ale się nie jest.

Mój ojciec odszedł – opuścił nas – kiedy miałem mniej niż rok. I nic o nim nie wiedziałem.

6

Usiadł na krawędzi łóżka i oparł łokcie na kolanach. Znów mu się to przyśniło. Sen opierał się na prawdziwych wydarzeniach, o dziwo wszystko się zgadzało, z wyjątkiem zakończenia.

Dostaje się do domu przez podwórze, przez taras. Zamek suwanych drzwi puszcza łatwo i szybko. Wie, że prawnik śpi na górze. Przez chwilę przyzwyczajają się do dźwięków, jakie wydaje dom, do jego atmosfery. Wkrótce oddycha już z całym budynkiem. Dostosowuje się do aktualnych warunków, jakiegokolwiek by były. Tę umiejętność opanował do perfekcji. Często się nad tym zastanawia, to jedna z kluczowych umiejętności w tym zawodzie, i dlatego jest taki dobry. Umie się dostosować do każdego warunków. Zawsze staje na wysokości zadania.

Teraz stanowi część tego dwupiętrowego, dwustupięćdziesięcioletniego domu z czerwonej cegły, stojącego dwa i pół kilometra od starego, uroczego centrum miasta. Słyszy lodówkę i nabiera pewności, że wychwytyje też słaby wysoki szum, który powstaje, kiedy duży telewizor pozostawia się w trybie czuwania. Jest pewien, że z pobliskiego skweru dochodzą dźwięki: gwar z otwartych do późna barów, szmer leniwie płynącej wody w szerokim kanale. Wchodzi po schodach, stopień po stopniu, powoli przenosi ciężar ciała z nogi na nogę. Dociera do szczytu schodów, zagląda do sypialni i słyszy ciężki oddech. Z kieszeni płaszcza wyciąga strzykawkę, zdejmuje osłonkę z igły i układa strzykawkę w dłoni. Z sypialni jest widok na kanał, na ciemną, błyszczącą wodę. Postępuje parę kroków naprzód, spogląda w miejsce, gdzie zsunęła się kołdra, a koszulka zadarła się, odsłaniając pas. Wbija igłę. Mężczyzna się budzi. Już dziesiątki

razy widział to spojrzenie. To zupełnie normalna reakcja na jego przybycie i zastrzyk. W środku nocy, niespodziewanie.

Mężczyzna już ma krzyknąć, ale on zatyka mu usta kołdrą i przytrzymuje. Kiedy tamten przestaje podrygiwać, wyciąga mu kołdrę z ust i nasłuchuje. Nic nie słychać. Przykrywa mężczyznę, podchodzi do drzwi i patrzy za siebie.

Zupełnie przypadkiem spogląda ponad łóżkiem. W czarnej nieruchomej powierzchni kanału jest coś uspokajającego. Jednocześnie dostrzega refleks w szybie.

Ruch jest mikroskopijny.

Palec u stopy mężczyzny.

Ledwie dostrzegalne drżenie.

Ma ochotę wyciągnąć strzykawkę z kieszeni i dokładnie się jej przyjrzeć, ale wie, że nie ma to sensu. Coś nie poszło zgodnie z planem. Robi krok w stronę mężczyzny. W czasie kiedy ten w łóżku zaczyna zdzierać z siebie kołdrę, słychać kroki na dole.

Ktoś wchodzi do domu przez taras. Rozpoznaje dźwięk suwanych drzwi.

Nurkuje pod łóżko, a prawą ręką oplata szyję mężczyzny. Może trucizna zaczęła działać, śpiący mężczyzna wypróżnił się.

Zacieśnia i wzmacnia uchwyt i wreszcie udaje mu się ułożyć głowę we właściwej pozycji. Koncentruje wszystkie siły i słyszy, jak łamie się kark. Wychodzi spod łóżka. I słucha.

Na dole jest cicho. Cisza oznacza, że ktoś go przed chwilą usłyszał.

Zbiega po schodach, po trzy stopnie naraz; ślizgając się na kamiennej posadzce, przedostaje się na drugą stronę pomieszczenia i lokalizuje intruzów. Szybko wyciąga wnioski, choć może się mylić, ale raczej ma rację: dwóch ćpunów włamało się do domu, jeden w kuchni przed nim, drugi w małym biurze z tyłu.

Nie ma wyboru: włamywacz stoi w kuchni oświetlony księżycową poświatą, patrzy mu w oczy i mówi mu, że śmierdzi głównem i umrze, jeżeli tylko spróbuje krzyknąć lub dzwonić na policję. Ma koło trzydziestki, zmizerniałą od nałogu twarz i nóż w ręce.

Podnosi rękę i słyszy, jak drugi przeciwnik opuszcza biuro. Ten z kuchni zbliża się z nożem, każe pokazać, gdzie schowane są pieniądze. Kiedy włamywacz jest już dostatecznie blisko, on uderza go w sam środek twarzy, łamie nos i najprawdopodobniej kość policzkową, wyrywa nóż z ręki, obraca i zatapia ostrze w gardle tego drugiego, który właśnie wszedł do kuchni. Ten jest młodszy niż jego kompan. Ma kilkutygodniowy zarost, brzydkie zęby i kolczyki w kącikach oczu.

Czeka, aż ten młodszy upadnie na podłogę, a potem zwraca się do tego pierwszego, który leży na plecach na podłodze w kuchni. Wciska mu do ręki nóż, wstaje i miażdży mu czaszkę butem.

Wie, że to wszystko nie wygląda tak, jak powinno, ale to najlepsze, co może zrobić w tej jednej przeklętej minucie.

Idzie do drzwi na taras, spogląda w okna sąsiednich domów, żeby sprawdzić, czy ktoś nie śpi. Już trzyma rękę na klamce, gdy słyszy za sobą lekkie kroki. Jeszcze zanim się obróci, wie, kto za nim stoi. Przerazenie i żal ogarniają jego umysł. Nie potrafi wytłumaczyć, skąd się tu wziął ani co zaszło.

Obraca się.

Buzia jego syna jest okrągła i wesola. Chłopiec podnosi wzrok, chce się przytulić.

Obudził się z łomoczącym sercem, jego ciało wypełniała adrenalina jak u zaszczutego zwierzątka. Wstał, poszedł do kuchni, odkręcił kran i czekał, aż woda zrobi się lodowata pod palcami. Nalał sobie do szklanki, wypił i włączył komputer. Elementem jego zawodu była umiejętność znajdywania ludzi.

Wyszukanie syna było łatwe. Dostał albo przyjął nazwisko matki, a informacja o jego zawodzie była publiczna. Przyglądał się powiększonemu zdjęciu. Znalazł je w prawym górnym rogu na stronie z felietonem w obronie transportu zbiorowego.

Przeczytał felieton. Przeczytał go z dumą.

Nie miał, co prawda, zdania na temat transportu zbiorowego, ale każde słowo syna wydawało mu się cudem. Nie żeby zachwycał go dobór słów albo wzdychał nad szykiem zdań, ale

fascynowało go, że gdzieś w tym mieście jego syn pisze litery na komputerze czy na papierze i w ten sposób istnieje dla innych.

Syn miał ciemne włosy, niebieskie oczy, nos po nim: dość długi, lekko zgrubiały. I spojrzenie młodego człowieka – życie jeszcze nie zaorało mu kącików oczu i powiek zmęczeniem i wypaleniem.

W oczach miał nadzieję.

7

Spowita śniegiem Mustikkamaa wyglądała jak zaczarowana. Było tak cicho, że słyszałem szum wiatru w koronach sosen. Marjo Harjukangas się spóźniała. Umówiliśmy się na dziesiątą, a było już sześć po. Słońce na wschodnim horyzoncie błyszczało miękką, złotą poświatą niczym ziemia obiecana. Dopiero co znaleźliśmy się po drugiej stronie najciemniejszej pory roku, dzień trwał już pięć i pół godziny.

Kiedy Harjukangas zaproponowała, żebyśmy się spotkali na Mustikkamaa, natychmiast się zgodziłem. Lubiłem to miejsce, zwłaszcza zimą. Latem pełno tu było plażowiczów, rodzin z dziećmi, różnych grup i świętujących. Teraz panowała pustka. Ze środka wyspy do centrum miasta były w linii prostej dwa kilometry, ale odnosiło się wrażenie, że jest ich dwadzieścia. Zwłaszcza że aby się dostać na wyspę, trzeba było przejechać przez dzielnicę Sörnäinen, wyspę Kulosaari i przekroczyć most na Hopeasalmi.

Harjukangas wreszcie nadeszła; wyglądała jak uczeniak. Plecak na plecach, duży puszysty szalik, wełniana czapka. Delikatna kobieta przyzwyczajona do dużej dawki ruchu. Szła od metra, dlatego się spóźniła i bardzo przeprosza. Zdjęliśmy rękawice i uścisnęliśmy sobie dłonie. W rzeczywistości wyglądała tak samo jak na zdjęciu: poważne, ciemne oczy, rysy biegaczki na zarumienionej od mrozu twarzy. Była sama.

– Przejdziemy się? – zapytała, wskazując ręką początek ścieżki spacerowej.

Okrażaliśmy wyspę w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Przykryta śniegiem piaskowa alejka biegła pod górę i opadała, miejscami niemal dochodziła do morza. Zimno wody

czuło się na samą myśl. Omówiliśmy ogólne kwestie. Wysłuchałem, że Finn Mining to czołówka także w dziedzinie ochrony środowiska. Że działalność wydobywcza spółki opiera się na idei zrównoważonego rozwoju. Że Marjo Harjukangas to była wyczynowa biegaczka długodystansowa, a dzięki cechom charakteru – wytrwałości i niezłomności – wygrała wiele biegów. Że takie podejście niezbędne jest także na stanowisku specjalisty odpowiedzialnego za kwestie ochrony środowiska. Że nigdy nie zrezygnuje z wyznawanych wartości. Te wszystkie informacje zaserwowano mi w zasadzie w formie monologu. Nie bardzo wiedziałem, co miałbym z tym zrobić. Kiedy Harjukangas zaczęła przerywać swoją wypowiedź badawczymi spojrzeniami, zacząłem rozumieć, o co chodzi. Toteż jej następne pytanie nie zaskoczyło mnie.

– Co byś pomyślał, gdybym poprosiła, żebyś wyłączył dyktafon?

Doszliśmy do zachodniego cypla wyspy. Po drugiej stronie, w Kalasatama, budowano nowe osiedle. Sompasaari jeszcze długo będzie tonąć pod kupą żwiru. Pokazałem Harjukangas, jak wciskam czerwony guzik. Przez chwilę patrzyła jeszcze na telefon, jakby chciała się upewnić, że już nie nagrywam. Szliśmy dalej. Płatki śniegu znikwały w morzu.

– Na stronie internetowej jest błąd – oznajmiła. – Nie jestem już członkiem zarządu.

Spojrzałem w bok i czekałem.

– Zdziwiłam się, kiedy zadzwoniłeś, to prawda. Ale rozpoznałam twoje nazwisko. Od razu pomyślałam, że mamy wspólne interesy. A im więcej o tym myślę, tym większe widzę możliwości.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że nie jesteś już w zarządzie?

– To mogłoby wpłynąć na twoją decyzję o spotkaniu. – Zatrzymała się. – Myliłam się?

– To zależy – odparłem. Naturalnie miała rację.

Spojrzenie Harjukangas utkwione było we mnie, nawet nie mrugnęła.

– Chciałam się z tobą spotkać. Jak już wspomniałam, rozpoznałam twoje nazwisko. Napisałeś parę dobrych artykułów. Ten o szarej strefie w budownictwie był doskonały.

– Dziękuję.

– Miałeś tam wewnętrznego informatora, prawda?

Atmosfera kolejnych sekund była w jakiś sposób magiczna: obłoki pary naszych oddechów przeplatały się i tworzyły dookoła nas ochronę przed śniegiem.

– Tak – rzuciłem.

– Mam propozycję.

– Słucham.

– Pracuję w Finn Mining od ośmiu lat. Z tego przez pięć byłam w zarządzie. Jestem dumna ze swojej pracy i osiągnięć. Uwierź mi, zaszczepianie świadomości ekologicznej w przedsiębiorstwie z branży wydobywczej nie jest łatwe. Co chwilę natrafia się na opór. Dużo można się przy tym nauczyć. Zwłaszcza o ludzkiej naturze. Możliwe, że wiem coś, co może ci się przydać.

Szliśmy dalej. Śnieg był mokry i ciężki.

– W tej sytuacji muszę ci zadać obowiązkowe pytanie.

– Co chcę w zamian?

– Otóż to.

– Chcę, żebyś napisał dobry artykuł. Najlepszy w twojej karierze.

Wyglądało na to, że Harjukangas powiedziała to poważnie. Czasem ludzie mówią to, co naprawdę myślą.

– Napomknęłaś, że nie należysz już do zarządu.

– Odsunięto mnie rok temu. Oczywiście pod pretekstem. Dostałam awans. Obecnie nazwa mojego stanowiska to „starszy specjalista – kierownik wewnętrznych konsultacji dotyczących procesów ekologicznych”. To nie tylko brzmi bardzo ogólnie, ale takie jest naprawdę.

– A dlaczego cię odsunięto?

– Awansowano. Napisz ten artykuł. Myślę, że wtedy znajdziesz odpowiedź.

– Chodzi mi o to, że przecież łatwiej byłoby dać ci wypowiedzenie i...

– ...dowieść czarno na białym, jakie jest zdanie spółki na temat ochrony środowiska? Przyciągnąć uwagę opinii publicznej właśnie do tego aspektu działalności? Otwarcie przyznać, że ochrona środowiska nie ma dla spółki żadnego znaczenia?

Oczywiście miała rację.

– A te osoby, które cię odsunęły... czy też awansowały – ciągnąłem – inni członkowie zarządu... Czy oni podjęli tę decyzję zgodnie?

– Awansowali – podkreśliła Harjukangas. – Tak. Właściwie to nie wiem. Nigdy nie usłyszałam osobiście opinii prezesa. Ale poza tym odpowiedź brzmi: tak.

– Powiedziałaś, że dużo się nauczyłaś o ludziach. Masz na myśli właśnie zarząd?

Minęliśmy most prowadzący na wyspę, gdzie znajdowało się zoo. Po drugiej stronie wąskiej cieśniny zwierzęta siedziały w klatkach. Dwa lądy rozdzielało ciemne morze.

– Oprócz prezesa w zarządzie nie ma nikogo z czasów, kiedy zaczynałam. Znasz tych panów?

– Żadnego. Chętnie dowiedziałbym się, co o nich myślisz.

– Kimmo Karmio przyszedł zaraz po mnie. Dyrektor do spraw finansów i inwestycji. Zapalony piłkarz. Grał wyczynowo. Profesjonalista pod każdym względem, ale łatwo poddaje się wpływowi innych.

– Ugodowy człowiek – podsumowałem.

– Już nie. – Harjukangas zerknęła na mnie.

Coś zamigotało w jej oczach, twarz drgnęła.

– Kimmo Karmio opuścił nas jakiś czas temu.

– Opuścił?

– Umarł. Wypadek w domu. Nie znam szczegółów.

Milczałem. Wątpiłem, że Harjukangas oczekiwała kondolencji.

– Jest jeszcze Giorgi Sebrinski, dyrektor sprzedaży – kontynuowała. – Jego życie poza miejscem pracy to dla mnie

zagadka. Dobry handlowiec pod każdym względem, w sensie pozytywnym i negatywnym. Przejawia wiele własnej inicjatywy. Sprzedaje nawet to, co jeszcze nie jest na sprzedaż.

– Okay.

– Hannu Valtonen to dyrektor do spraw rozwoju. Bardzo zaangażowany w przemysł wydobywczy. Klnie jak szewc. A z nazwy stanowiska skreśliłabym słowo „rozwój”. „Dyrektor” owszem. Nawet bardzo.

– Ma manię władzy?

– Ładnie powiedziane. – Harjukangas skinęła głową. – Alan Stilson to dyrektor do spraw kadr. W gruncie rzeczy jest miły, tylko że minął się z powołaniem.

– Co masz na myśli?

– Często przychodzi mi do głowy, że jest o wiele bardziej zainteresowany spółką od strony biznesu niż ludźmi, a przecież to jego specjalność.

– A sam prezes?

– Matti Mali. Ach tak. Sama nie wiem.

Pokręciłem głową.

– Chodzi mi o to, że z biegiem czasu coraz rzadziej się go widuje – wytłumaczyła Harjukangas. – Kiedy zaczynałam, uczestniczył w codziennym życiu firmy, ale ostatnio rzadko kiedy pojawiał się nawet na zebraniach zarządu.

Ścieżka wiła się tuż przy brzegu. Deszcz ze śniegiem sprawiał, że miałem wątpliwości, czy w ogóle jest tu jakieś nabrzeże.

– Mogę cię prosić o opinię na temat jeszcze jednej osoby?

– Odpowiem, jeśli tylko potrafię.

– Marjo Harjukangas. Co możesz o niej powiedzieć?

Uśmiechnęła się, przez pewien czas nic nie mówiła. Potem rozmawialiśmy o pogodzie, o tym, ile śniegu spadło ostatnimi laty, że żadne z nas nie pamięta, kiedy mieliśmy taki biały styczeń w Helsinkach.

Gdy dotarliśmy na parking, zaproponowałam, żeby pojechała ze mną taksówką.

Popatrzyła mi w oczy i odpowiedziała, że pójdzie piechotą.

Zebranie w redakcji zaczynało się o dwunastej. Hutrila szedł jak burza przez kolejne punkty na liście. Większość z nich nie odznaczała się niczym szczególnym: cięcia budżetowe („do dyskusji dodajmy punkt czytelników: jak to wpłynie na życie przeciętnego Kowalskiego. Nopanen, czy możesz umieścić w sieci ankietę: które wydatki byście obcięli i tym podobne. Dla nas to nuda, ale ludzie lubią, kiedy ktoś ich pyta o zdanie”), kryzys finansowy w Helsinkach („Helsinki łożą na resztę kraju, zostawiając sobie jakieś nędzne grosze. Oczywiście nie wprost, tylko jakieś efektowne grafy, z których to wynika”), obowiązkowa panorama społeczna („Co tam dzisiaj mamy? Odwyk, zasiłek, adopcja, grzyb w szkołach, matki na speedzie, coś jeszcze? Niech będzie odwyk. Czy można powiedzieć: dajcie tym gówniarzom subutex za darmo, żeby nie musieli nam kraść rowerów z podwórka? Just joking”), Rosja („Lievonen, Kuusi, wymyślcie coś, ale jak zawsze i jak w innych gazetach: można napisać wszystko oprócz prawdy”).

Kiedy tematy z listy wyczerpały się, Hutrila przeszedł do tematów, które „wyróżniają nas spośród innych gazet”, i rozejrzał się. Podniosłem rękę. Naczelnny zerknął na mnie, po czym udzielił głosu Pohjanheimowi, który zgłosił się równocześnie ze mną. Pohjanheim, doświadczony w sferze gospodarczej, zaproponował, żebyśmy zajęli się dofinansowaniem przedsiębiorstw przez państwo. *Socjalizm dla kapitalistów* – przedstawił roboczy tytuł przyszłego artykułu. Hutrila zachęcił go do dalszego rozwoju tej koncepcji.

Jeszcze wiele osób mogło się wypowiedzieć przede mną.

Redaktor z działu kultury, Rantapaatso, chciał napisać dłuższy artykuł o amerykańskim pisarzu, który akurat przyjechał do Finlandii. Jeżeli tylko zgodzi się zrobić coś innego niż mówić. A co innego miałby robić? Nic z tego nie będzie, jeżeli miałby tylko pisać. Może ma jakieś hobby, zasugerował Hutrila. Tu jest napisane, że zapasy, odczytał z notatek Rantapaatso. W takim razie pójdziesz z nim w zapasy, odparł Hutrila.

Głosu udzielono mi dopiero na końcu. Streściłem sprawę spółki wydobywczej. Hutrila zaproponował, żebym przyłączył się do Määttä, Tukiainena i Nopanena i artykułu na temat cięć budżetowych, a Suomalahti robił swoją drogą, na boku. Na hasło Suomalahti redaktor działu gospodarczego, Pohjanheimo, odwrócił się w moją stronę i spojrział na mnie, unosząc czarne gęste brwi. Potem wrócił do studiowania swoich notatek. Hutrila znów powtórzył to co wcześniej. Najpierw co innego, a potem Suomalahti. Zebranie się skończyło i naczelny zniknął. Määttä i Tukiainen rzucili mi listę nazwisk, które powinienem sprawdzić, i zaproponowali, żebyśmy spotkali się za trzy godziny, by wspólnie przejrzeć materiał. Włączyłem komputer przy swoim biurku i wgapiłem się w ekran.

– Suomalahti, co?

Obróciłem się na krześle.

Pohjanheimo przyciągnął sobie fotel biurowy z sąsiedniego stanowiska. Za jego plecami jaśniał dzień, śnieg ustał. Pohjanheimo uniósł czarne brwi.

– Tak – odpowiedziałem. – Finn Mining. Suomalahti.

Miał ciało dwudziestolatka i głos siedemdziesięciolatka. Kolarstwo i nałogowe palenie stanowiły interesującą kombinację.

– Pewnie nie pamiętasz Kariego Lehtinena? – zapytał.

– W pewnym sensie przyszedłem na jego miejsce. Słyszałem o nim.

– Same dobre rzeczy, jak sądzę.

– Zależy jak do tego podejść.

– To był żart. Lehtinen był dobrym dziennikarzem, piekielnie dobrym. Fajnie się z nim robiło artykuły, jeżeli tylko człowiek był w stanie znieść to jego wymądrzanie, porywczość, wybuchowość i obsesyjną potrzebę posiadania racji.

– Czytałem jego artykuły. Świetne pióro.

Pohjanheimo skinął głową.

– Tak mi przyszło do głowy, że on zawsze pracował nad kilkoma sprawami naraz. Jedną z nich było Finn Mining i Suomalahti. I w ogóle przemysł wydobywczy w Finlandii.

Kiedyś rozmawialiśmy z Lehtinenem, że jeszcze opiszemy tę historię o sprzedaży za dwa euro, ale nie zdążyliśmy. On brał się do pisania dopiero wtedy, kiedy sam był zdania, że ma dość materiału. Czasem to się przeciągało i sprawiało kłopoty. A do tego wszystkiego wyścig z czasem... Nigdy nie mieliśmy czasu, żeby zająć się spółką górniczą, zawsze coś nam stawało na drodze.

Niebieskie oczy Pohjanheima i jego czarne jak węgiel brwi magnetyzowały. Na pewno wiele osób, z którymi na przestrzeni lat przeprowadził wywiad, orientowało się po fakcie, że powiedziało rzeczy, których wcale nie zamierzało ujawniać.

– Można się było co do niego pomylić, jeżeli się go nie znało. Robił, co chciał, śmierdział przetrwonioną i dopiero co wypitą wódką i raczej nie dbał o najnowsze trendy w modzie. Ale ja go znałem i rozumiałem. Lehtinen śledził tysiąc i jedną sprawę, notował w kajecie jak burza. A przede wszystkim znał ludzi. Niespodziewanie spotykał pewne osoby w nieoczekiwanych miejscach i dziwnym trafem namawiał je na wywiad.

– Okay – rzuciłem. – Czyli robił też notatki na temat Suomalaitti i górnictwa w ogóle.

Pohjanheimo popatrzył na mnie.

– Tak sędzę.

– Wspaniale. Gdzie one są i czy mogę je obejrzeć?

– Zastanawiałem się nad tym.

– Mogę je obejrzeć?

– Gdzie one są? Już wiele razy, pisząc różne artykuły, myślałem, że dobrze by było zapytać Lehtinena, co wie o tym i o tamtym. Poczytać jego notatki, których tyle przecież było.

– A jego biurko...

– No właśnie, w tym rzecz. Wtedy jego biurko zostało sprzątnięte. Po raz pierwszy. Wszystko poukładane, równe sterty papieru. Przejrzałem je, chociaż nie wypadało. Ale przecież jestem tylko dziennikarzem.

Nie wiedziałem, czy to ironia, sarkazm czy coś jeszcze innego. Zresztą nie miało to pewnie znaczenia.

– A tych notatek wtedy tam nie było?

– Nie. Tylko takie tam zwyczajne zapiski. Ani jednego z tych słynnych kajetów, w których miał też rysunki. Rysował. Pluję sobie w brodę, że częściej z nim nie rozmawiałem. Jestem pewien, że coś miał. Zawsze miał. Tylko robienie tych artykułów trwało tak diabelnie długo. To pewnie jeden z powodów, dla których Hutrila nie przyjmuje twojego pomysłu z otwartymi ramionami. Wszystko, co pachnie tematami, którymi Lehtinen dręczył go przez lata i nigdy ich nie opublikował, wywołuje pewnie u naczelnego reakcję alergiczną.

Pohjanheimo wstał i popchnął krzesło do oddalonego o dwa metry biurka. Zrobił to po mistrzowsku – oparcie zatrzymało się centymetr od krawędzi blatu. Pohjanheimo ruszył.

– A co się stało z Lehtinenem? – zapytałem za jego plecami.

– Zginął w wypadku samochodowym. Nie wiesz o tym?

– Wiem. Ale co dokładnie się zdarzyło?

– Wyjechał do Berlina robić reportaż. Lubił tam jeździć. Miasto jest brzydkie, piękne, niewyczerpane, tak mówił. Oczywiście podobały mu się bary. Raz wyszedł z baru i szedł nad ranem jakąś ciemną ulicą... Jeżeli byłeś w Berlinie, to wiesz, że tamtejsze latarnie nie dorastają helsińskim do pięt, a kiedy jest ciemno, to naprawdę jest ciemno: długie ciemne ulice, po których idzie się niemal po omacku. No i ktoś, najwyraźniej pijany kierowca, go potrącił. Potrącił to złe słowo, właściwie skosił. Brzydka sprawa. Ciało podobno było rozerwane na strzępy. Ostateczną identyfikację przeprowadzono na podstawie zębów i DNA. Głowę zmiążdżyło.

– Ach tak. Ale co to znaczy „najwyraźniej pijany kierowca”?

– Trzeźwy by się zatrzymał, zadzwonił na policję i na pogotowie albo nawet jedno i drugie i czekałby. Ale pijany, na prochach albo złodziej samochodu ucieka, bo boi się kłopotów.

– I tego kierowcy do tej pory nie znaleziono?

– Nie. I nie sądzę, żeby go kiedykolwiek znaleźli.

Jeszcze raz poluzował węzeł, zdjął krawat z szyi i rozwiązał go. Stał przy oknie, trzymając kupione na Via Veneto w Rzymie, szyte na miarę dzieło sztuki.

Ruch uliczny na Topeliuksenkatu wlewał się do centrum, autobus numer osiemnaście mijał bibliotekę. Z trudnością pokonał dziwnie skonstruowane skrzyżowanie, podobnie jak trzydzieści lat temu. Miał dokładnie ten widok, o który mu chodziło, od dawna wyczekiwany. Kiedy tylko pojawiło się ogłoszenie, że mieszkanie jest na wynajem, natychmiast skontaktował się z właścicielem. Powiedział, że jego firma chciałaby zrobić rezerwację dla swojego pracownika, a w sprawie ceny na pewno znajdziemy kompromis.

Oddział biblioteki miejskiej w Töölö znajdował się na północno-wschodnim krańcu parku. Oddany do użytku na początku lat siedemdziesiątych trzypiętrowy budynek był jednym z miejsc, do których chodzili razem z Leeną. Czytali książki, to było ich wspólne hobby. Albo namiętność, jak to się teraz mówiło. Z drugiej strony w dzisiejszych czasach mówiło się tak dużo i o tak wielu rzeczach.

Nadal czytał, czasem zachłannie, odkrywał nowe książki i nowych autorów, ale wspomnienie tych dawnych lektur prześcigało wszystko późniejsze. Wspólnie wypożyczone przez nich książki pozostawały przez lata w użytku, otwierały i zamykały je dziesiątki rąk, grzbiety poluzowały się, strony poplamiały, zmiękły i pożółkły. Prawie zawsze towarzyszył im zapach – najczęściej tytoniu. Każda książka zawierała wyjątkową, jedyną w swoim rodzaju wiadomość. Zawsze niosła jakieś

przesłanie: miłość jest wieczna, za wolność można oddać nawet życie, zło jest potężne, o dobro trzeba walczyć.

Kiedy w tamtych czasach chodził do biblioteki czy księgarni, te książki lśniły nowością. Parę lat temu ktoś mu powiedział, że stare książki już ludzi nie interesują. Teraz się dowiedział, że książki już w ogóle nikogo nie interesują. Z obserwacji na lotniskach, w pociągach, metrze, kawiarniach i w parkach wyciągał podobne wnioski. Ludzie co prawda czytali, ale głównie o tym, co inni ludzie jedli na obiad; wypełniali testy, żeby się dowiedzieć, do jakiej rasy psów należą.

Krawat. Nie leżał jak ulał. Coś takiego nie zdarzyło mu się od lat. Spojrzał na zegarek. Zaraz szósta. Wstał z parapetu, podczas gdy światło opuszczało zaokienny pejzaż, i zajął się własnymi sprawami.

Śledził mężczyznę w drodze do sklepu, idąc po przyprószonym śniegiem chodniku. To nie był oryginalny plan. Miał się trzymać na dystans i czekać. Czekać na właściwą chwilę, która powinna nadejść. Czy wierzył w taką chwilę? Tysiąc razy udowadniał sobie, że trzeba korzystać z nadarzającej się okazji. Łapać ją, jak chwyta się napój, żeby ugasić pragnienie, i pije łąpczywie, nie zwracając uwagi na nic innego.

Kilka minut fińskiego śniegu z deszczem zrobiło swoje. Hiszpańskie półbuty przemokły, a tweedowy płaszcz z Edynburga nasiąkł i ważył z tonę. Wszedł do sklepu, ze sterty koszyków ustawionych przy suwanych drzwiach wziął ten czerwony i zagłębił się w labirynt półek.

Mężczyzna oglądał sery. On zajął się porównywaniem etykietek na sosach. Rukola. Kawalki boczku. Szparagi. Dzielilo ich siedem, może osiem metrów. Tamten wreszcie podjął decyzję i wrzucił do wózka peccorino. On uwzględnił pogodę przy doborze ubrania; włożył wodoodporną kurtkę, a na nogach miał kalosze. Na głowie tkwiła gruba czarna czapka, której pompon podążał w kierunku półek z chlebem.

Nie przygotował się. Nic nowego. Ostatnimi czasy nieustannie improwizował. Wiedział, że sklep to jedyna szansa. Na dworze czekał tylko krótki spacer pełen mokrego śniegu i ludzi, a potem tłok w środkach komunikacji miejskiej.

Rozejrzył się. Najspokojniej było przy mrożonkach; jakoś w styczniu nikt nie kupował lodów. Wyglądało to na obiecujące miejsce, bo mężczyzna zamierzał chyba objechać cały sklep. Strategia alternatywna do robienia list zakupów. Wszystko, co jest potrzebne, przejedzie wcześniej czy później przed oczami.

Zostawił mu dużo miejsca. Potrzebował tylko chwili.

Mężczyzna pchał wózek do końca sklepu, do zamrażarek, a on oglądał etykiety, drapał się po brodzie, przeglądał nagłówki wieczornych gazet. *Nieoczekiwany rozwód. Przejęcie. Nowe szczęście.* Niewiele z tego rozumiał, nie miał pojęcia, o kogo w nich chodzi.

Kiedy tamten wreszcie skręcił w ostatnią alejkę, prostopadłą do pozostałych, najwyraźniej prowadzącą do chaotycznej części z napojami, on odłożył koszyk i przyspieszył kroku. Bez wzbudzania podejrzeń, odrobinę skracając krok i wspinając się nieco na czubki palców. Tamten zniknął za rogiem.

On przemierzył jeszcze jedną alejkę, żeby nadejść z przeciwka. Improwizuj, powiedział do siebie, płyn na fali wydarzeń.

Spojrzał na mężczyznę w tej samej chwili, w której tamten spojrzał na niego.

Pamięć niekiedy płata figle. Człowiek o tym wie, choć jeszcze tego nie rozumie. W oczach mężczyzny zobaczył, że na pewnym poziomie świadomości go rozpoznał, zanim w pełni dotarło do niego, na kogo patrzy. Małe opóźnienie nie mogło dziwić – od ostatniego spotkania upłynęło trzydzieści lat.

Zrobił kilka krótkich ostrożnych kroków w kierunku mężczyzny.

Ten chód, sposób stawiania nóg: stopy lekko na zewnątrz, lekkie kroczyki. Korpus: ramiona lekko odchylone do tyłu, długie

ręce luźno spływające wzdłuż sylwetki. Szczupły trzydziestolatek w okularach z oldskulowymi oprawkami wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażał.

Czas się zacieśnił, a potem popłynął rwącym strumieniem. Jeszcze trudniej było mu pogodzić się z tym, że z wyboru nie uczestniczył przez większość czasu w życiu syna i do dziś pozostawało mu ono nieznane. Z czasów, które spędzili razem, nie zostało mu ani jedno wspomnienie.

Nieustannie musiał sobie przypominać, że to wszystko dzieje się niespodziewanie. Spotkali się zupełnie przypadkiem.

– Cześć, Janne – odezwał się.

Z oczu syna wyczytał, że ten nie do końca rozumie, co się dzieje.

– Przepraszam – rzucił. – Ależ jestem roztargniony. Pomyślałem oczywiście, że jeżeli ja poznaję ciebie, to ty poznajesz mnie. Widziałem twoje zdjęcie w gazecie, tylko że ty oczywiście... Jestem twoim ojcem.

Emil wyciągnął rękę. Janne uścisnął ją z rezerwą.

– Ach tak.

– Tyle czasu minęło. Nie było mnie w kraju, ale teraz wróciłem do Helsinek.

Janne milczał. Lewa ręka zaciskała się na wózku, prawa trzymała paczkę kawy Fair Trade.

– Zakupy?

Chyba się ocknął.

– Tak. W weekend mamy gości. Przygotowuję się powoli do ich wizyty.

– To miło.

Janne przyglądał mu się.

– Powiedziałeś, że wróciłeś do Helsinek.

– Tak.

– Dlaczego?

– Masz chwilę? Moglibyśmy usiąść gdzieś się czegoś napić – zaproponował Emil.

Przeszli na drugą stronę ulicy. Padające płatki śniegu wydawały się Emilowi większe i bardziej miękkie niż kiedykolwiek. Janne trzymał z lekkością siatkę z zakupami, jakby nic nie ważyła. Emil zobaczył ich odbicie w witrynie sklepu. Posiwały elegancki dżentelmen i modny młody tata. Emil znów pomyślał, jak to wszystko mogło się inaczej potoczyć.

Weszli do pubu, stanęli przy barze i Emil powiedział, że stawia. Janne uśmiechnął się przyjaźnie, najpierw do niego, a potem do kelnerki z porozciąganyymi od drewnianych krążków płatkami uszu. Janne zamówił butelkę brytyjskiego piwa, a Emil czerwone wino. Rozpiął płaszcz, sprawdził w lustrze, że krawat zwisa prosto, węzeł jest równy i schludny. Chociaż płaszcz przemókł, marynarka przetrwała sucha i nieskazitelna. Z jakiegoś powodu przywiązywał do tego wagę.

Janne wybrał stolik pod oknem. Za szybą płynął w śniegu potok ludzi. Napili się. Wszystkie przećwiczone przez Emila kwestie jakoś nie pasowały do sytuacji.

Uśmiechnął się do syna. Ten nie odwzajemnił uśmiechu. Emil jeszcze nie odpowiedział na jego lakoniczne pytanie. Jeszcze przyjdzie na to pora. Najpierw porozmawiają...

– Będę się musiał niedługo zbierać – oznajmił Janne. – Dziś ja zajmuję się wieczorem córką.

Emil starał się zignorować ukłucie w sercu.

– Masz rodzinę?

– Córkę. Dwa lata.

– To wspaniale.

– I dziewczynę, mieszkamy razem – dodał Janne i napił się piwa. – To matka Elli. Wieczorem gdzieś wychodzi i ja muszę się zająć Ellą.

– Gdzie ona, to znaczy matka Elli, pracuje? – zapytał Emil.

Syn spojrzał za okno, a potem popatrzył mu w oczy.

– W agencji komunikacji.

Emil wyczuł minimalne drgnięcie w głosie. Odczekał chwilę.

– Wszystko w porządku?

Janne uniósł brwi.

– Dlaczego pytasz? – zdziwił się.

– Jeżeli mogę coś zrobić... – zaczął Emil, odchylając się na oparcie krzesła.

Syn pokręcił głową i podniósł butelkę.

– To niesamowite – odezwał się cicho, zatrzymując ją w połowie drogi do ust. – Niesamowite.

Emil czekał. Próbował znaleźć właściwe słowa, ale znajdowanie właściwych słów było bardzo trudne. Może po prostu ich nie było. Janne wyprostował się, nabrał powietrza w płuca i zrobił głęboki wydech.

– A ty?

– A co ja – zapytał autentycznie zdziwiony Emil.

– Gdzie ty pracujesz?

Widział, że syn stara się być uprzejmy. Rozumiał to. Swego czasu postąpił źle, chłopak miał prawo myśleć o nim, co tylko chciał.

– Human resources – powiedział Emil. – Już od dawna. Niedługo przechodzę na emeryturę. Jeszcze kilka projektów.

Janne nie słuchał.

– Nowy artykuł? – zapytał Emil.

Syn skinął głową.

– Chcesz o nim porozmawiać?

Janne pokręcił głową.

– Nie – odpowiedział i znów popatrzył mu w oczy. – Cała sprawa jest dopiero w powijakach, wszystko pomieszane, nic konkretnego. Zawsze tak jest na początku.

– Rozumiem. To na pewno przyjemne uczucie, gdy skomplikowana sprawa wreszcie się układa.

Syn oparł łokieć na stole.

– Tak. No i jeszcze jak ktoś mówi prawdę...

– Prawdę...

Janne spojrzał na niego.

– Jak się nad tym dokładniej zastanowić, co innego ma sens? Co innego miałbym sobie stawiać za cel? Na świecie i beze mnie jest chyba dość brudu i kłamstwa. Nie warto powtarzać tych

samych kłamstw co inni. Choćby nawet miało się to materialnie opłacić...

Emil rozumiał, że syn zwraca się teraz do kogoś innego. Janne mówił nieco wolniej, kładł większy nacisk na słowa.

– Ludzie tłumaczą się, że muszą wyżywić siebie i rodzinę. Że nie mogą wypaść z gry i każdy idzie na kompromis, że czasy się zmieniają. Ale gdzie jest granica?

Westchnął, podniósł butelkę do ust i zastygł.

– Powiedziałeś, że wróciłeś do Helsinek. Dlaczego teraz?

– To zabrzmiało może prozaicznie – zaczął Emil.

Janne przełknął ślinę.

– Wkrótce umrzesz. – Wymsknęło mu się to tak szybko, że sam był zaskoczony.

– O ile wiem, to nie.

– Przepraszam. Mam za sobą długi dzień. Nie wiem, czemu to powiedziałem. Coś w tym wszystkim...

– Masz trzydzieści lat. Miałem tyle samo, kiedy wyjechałem.

Janne patrzył na niego. Emil nie umiał zgadnąć, co kryje się za tym spojrzeniem. Z oczu nie dało się nic wyczytać.

– I to wszystko?

Emil skinął głową. Wypił trochę wina; było ciepłe i wytrawne.

– Serdecznie witamy. – Syn wypił resztkę piwa. – Tak to się chyba mówi.

9

Musiałem biec do metra, a potem na autobus, żeby zdążyć na ustaloną godzinę. Pauliina malowała się w przedpokoju.

– Ella skarżyła się w żłobku, że się źle czuje – oznajmiła. – Jeszcze nie jadła kolacji.

Ciemna czerwień rozlała się na wargach, które zawsze tak lubiłem. Ella weszła do przedpokoju. Chciała sama przenieść torbę do kuchni. Dałem jej karton sosu pomidorowego. Wzięła i poszła.

– Czy ja czuję piwo? – spytała Pauliina.

W lustrze odnalazłem jej niebieskozielone oczy.

– Spotkałem kogoś ciekawego – wytłumaczyłem.

– No jasne. – Zacisnęła usta i popatrzyła na torbę z jedzeniem. – Starasz się.

– Kuchnia włoska – odparłem. – Coś w tym stylu.

Pauliina okręciła szyję szalem. Poczulem perfumy.

– Wrócę, gdy parlamentarzyści będą łaskawi wyjść.

– Parlamentarzyści? Chodzi ci o posłów?

– Przecież rozmawialiśmy o tym. To dla mnie ważny wieczór.

– A tak – rzuciłem z pustką w głowie. Nie mogłem sobie przypomnieć ani słowa z tej rozmowy.

Ella wróciła do przedpokoju. Dałem jej do niesienia paczkę lasagne. Podreptała z nią do kuchni. Jej matka włożyła płaszcz i poprawiła szalik przed lustrem. Ella podbiegła znowu do siatki. Pauliina pocałowała córkę i na czole małej pozostał ślad szminki.

Milczałem.

Pauliina życzyła nam od drzwi dobrej nocy.

Owocnego wieczoru w towarzystwie korupcji i prania pieniędzy, pomyślałem na pożegnanie.

Zastanowiłem się nad innymi sprawami.

Finn Mining. Suomalahti. Antero Kosola. Nocny plac budowy na terenie kopalni. Parking przed Kasynem. Dwa euro. Kari Lehtinen. Zaginione notatki. Marjo Harjukangas. Naczelnny Hutrila. Omijanie tematu kopalni. Pauliina, nasze chłodne relacje, goście w weekend. Ojciec. Przede wszystkim ojciec. Im mniej starałem się o nim myśleć, tym bardziej wypełniał moją głowę. Ojciec. Emil. Który – ojciec czy Emil – nie wiedziałem.

Nie powiedziałem Pauliinie, że ciekawy człowiek, którego spotkałem, to mój ojciec. Nie wiedziałem dokładnie, dlaczego nie chciałem się z nią tym podzielić. Może dlatego, że dawniej tak bardzo wyczekiwałem jego powrotu. Myśl o ewentualnym spotkaniu przeminęła, odeszła w niepamięć. Zniknęła jak namiętność albo mania, którą kiedyś miałem, ale jej źródło już dawno przestało mnie obchodzić.

I to uzasadnienie powrotu: ja mam trzydzieści lat, tyle samo co on, kiedy od nas odszedł. Czy może zaginął. Równie dobre tłumaczenie jak każde inne. Poza tym, że to było jego tłumaczenie. Rzadko kiedy życie daje odpowiedzi, które satysfakcjonują wszystkich.

Ella z apetytem zjadła zrobione przez Pauliinę mielone z tłuczonymi ziemniakami, mnie też smakowały. Kiedy zapytałem ją, czy nadal źle się czuje, czy nie chce jej się wymiotować, roześmiała się. Na deser pokroiłem jabłko. Talerze, sztućce i nóż do owoców zostawiłem na stole. Do powrotu Pauliiny było dość czasu, żeby je jeszcze posprzątać. Poszliśmy do salonu i włączyłem kanał z kreskówkami.

Usiadłem na kanapie z laptopem i spróbowałem wziąć się do pisania. Wcześniej się udawało, teraz też się uda. Byleby od czegoś zacząć, wszystko jedno od czego, a potem tekst przejmował dowodzenie i sam wskazywał, co trzeba napisać. Tylko że w salonie dowodzenie przejęła dwulatka, która wymagała nieustannej uwagi.

Starałem się równo dzielić czas między kanapę, komputer i Ellę. Przez minutę bawiłem się z nią, a przez kolejną minutę

wklepywałem najważniejsze uwagi. Zaraz potem znalazłem się na podłodze i na kolanach wyciągałem spod regału wciśniętego tam przez Ellę pilota do telewizora. Zrobiłem listę osób, z którymi chciałem przeprowadzić wywiad. Wypisałem wszystko, co przyszło mi do głowy. Pobiegłem za Ellą do kuchni i zaprowadziłem ją z powrotem do salonu. Gdy wróciłem na kanapę, przypomniała mi się opowieść redaktora rubryki gospodarczej. Poszedłem do kuchni po telefon i odszukałem numer do Pohjanheima. Złapałem Ellę, zanim zdążyła wsunąć się za telewizor, żeby pomajstrować przy kablach, i posadziłem ją na środku pokoju. Miałem nadzieję, że na kilka minut uda mi się zająć ją zabawkami. Na powitanie usłyszałem w słuchawce potworny szum i trzask. Pohjanheimo siedział na rowerze. U siebie w domu. Kiedyś mi to tłumaczył: jego najstarsza córka już się wyprowadziła, a on przerobił jej pokój na świątynię kolarstwa. Na podłodze ustawił rolki, po których jeździł. Na przeciwległej ścianie wyświetlały się różne trasy. Jego zdaniem, było to świetne zajęcie podczas fińskiej zimy. Zapytałem go, kto najlepiej znał Lehtinena. Wydyszał, że chyba on, ale też nie za dobrze, właściwie w ogóle.

– A oprócz ciebie? – naciskałem. Szum zakłócił nam rozmowę, więc powtórzyłem pytanie.

Schwyciłem Ellę za rękę, bo trochę zbyt gwałtownie łapała za ekran komputera.

Pohjanheimo znów był na linii.

– Córka. Może – usłyszałem, że sylabizuje. Może podjeżdżał pod wirtualną górę. Zapytałem, czyja córka.

– Jego córka – wysapał.

– Jak się nazywa?

– Nie mam pojęcia.

Podziękowałem mu i rozłączyłem się. Zadzwoiłem do Rantanena, który – zanim zdążyłem otworzyć usta – wyjaśnił, że ma dzisiaj wolne. Usłyszałem odgłosy z pubu. Wyobraziłem go sobie w łoży baru w Töölö, do którego zawsze chodził. Na pewno

opierał się o miękkie pluszowe oparcie i kręcił szklanką brandy po ciemnym drewnianym blacie stołu.

– Kari Lehtinen – odezwałem się. – Ten, co u nas pracował. Pamiętasz go?

– Ten to miał mocną głowę. – Rantanen zarechotał. – Raz piliśmy...

– Pamiętasz jego córkę?

Znów dobiegł mnie gwar z pubu.

– Przecież ty jesteś zajęty – odparł.

– Nie o to chodzi.

– To taki żart. Nigdy jej nie widziałem.

– Czyli nie wiesz – rzuciłem zmartwiony.

– Wiem – sprostował i po chwili ciszy dodał: – Maarit. Do czego ci to potrzebne?

– Do Kariego Lehtinena.

– Najprawdopodobniej. Ale dlaczego?

– To był dobry dziennikarz. Ciekawy człowiek.

– Można tak powiedzieć.

– Pracowałeś z nim?

– Zależy, jak na to spojrzeć.

– To znaczy? – zapytałem.

– Często robiłem zdjęcia do wspólnych artykułów, ale nie pracowałem razem z nim. To znaczy w tych samych porach co on. To był taki człowiek.

– Jaki?

Znów odgłosy z baru: automaty, *Best of You* zespołu Foo Fighters, zachrypnięty głos pijanej kobiety.

– Pokręcony – odezwał się wreszcie Rantanen.

Zakończyłem rozmowę i zacząłem googlować. Maarit Lehtinen. Kilka profili na Facebooku. Sprawdziłem numer telefonu. Cztery w Helsinkach. Zadzwoiłem pod jeden. Maarit Lehtinen ucieszyła się, kiedy powiedziałem, że jestem z „Głosu Helsinek”, ale pytanie o imię ojca ją zdziwiło. Petri. Podziękowałem jej. Druga Maarit Lehtinen z listy od razu powiedziała, że nie zamierza prenumerować naszej gazety.

Odparłem, że w żadnym wypadku nie musi tego robić. Jej tata miał na imię Vesa.

Trzecia próba okazała się strzałem w dziesiątkę. Maarit Lehtinen, która odebrała, przez chwilę milczała, po czym spytała:

– Naprawdę jesteś dziennikarzem?

Powtórzyłem, że nazywam się Janne Vuori, pracuję dla „Głosu Helsinek” i jestem dziennikarzem. Powiedziałem, że piszę artykuł o Karim Lehtinenie, doskonałym dziennikarzu, i bardzo się cieszę, że dodzwoniłem się do jego córki.

– Co za bzdury – zdziwiła się przyjaznym głosem Maarit. – Nikt, kto znał mojego ojca, nie ma ochoty go wspominać.

– Ja go nie znałem – odparłem. – To znaczy nie osobiście.

– Ale piszesz o nim artykuł?

– Ze względu na tło artykułu, byłoby dobrze...

– Kari, to znaczy tata, mówił, że ktoś od was zadzwoni.

Na chwilę zaniemówiłem.

– Powiedział... Co takiego?

– Że ktoś z waszej gazety zadzwoni i poprosi o jego papiery. Wcześniej czy później. A jeżeli ten ktoś będzie się znał na rzeczy, to można mu je dać.

Wstałem.

– Okay – rzuciłem. – Czyli one są u ciebie.

– Wiem, gdzie są. Jesteś dziennikarzem i znasz się na rzeczy?

– Tak.

– No to wiesz też, jak brzmi hasło.

Podszedłem do okna. Zobaczyłem swoje odbicie w oknie jako hologram. Połowa mnie stanowiła skraj lasu i przeciwległego bloku, jego oświetlone okna.

– Hasło?

– Mam powtórzyć?

– Ty mówisz poważnie.

– Tata mówił.

– Ile ty masz lat?

– Jesteś dziennikarzem czy zbrojcem?

– Dziennikarzem.

Krótką przerwę.

– W dodatku całkiem niezłe z ciebie ciacho – dodała głosem, który brzmiał jak coś między ostrzeżeniem a igraszką.

– Co?

– Wygooglowałam cię. Ty wygooglowałeś mnie. Remis. Ja patrzę na twoje zdjęcie, ty na moje.

– Ja na nic nie patrzę... Nie znam hasła. To jest poważna sprawa...

Rozłączyła się. Przez chwilę stałem jeszcze przy oknie.

Z jakiegoś powodu spotkanie z ojcem wydawało się tym bardziej realne, im więcej godzin od niego upłynęło. Myślałem o nim, o chwili spędzonej w pubie. Jak bardzo zwyczajne mi się to wydało! Częściowo przynajmniej wynikało to z jego sposobu bycia. Miał w sobie siłę i skromność. Nie wzbudzał skrajnych emocji, a nawet działał uspokajająco. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie i patrzyliśmy sobie w oczy, jakby było to zupełnie normalne. Otworzyłem przeglądarkę w telefonie, żeby sprawdzić jego imię, kiedy moje spojrzenie padło na szybę.

Patrzyłem na siebie w hologramie, a jednocześnie dotarło do mnie, że czegoś w tym obrazie brakuje. W chwili gdy ruszyłem do kuchni, usłyszałem huk, najpierw jeden głośny, a potem drugi nieco cichszy, usłyszałem rozbijający się o podłogę talerz, brzęk i szcęk sztućców, szkło pękające na płytkach.

Ella leżała w kuchni na podłodze.

Na chwilę zaniemówiła, może pod wpływem upadku i zdziwienia.

Schyliłem się nad nią i popatrzyłem na jej prawą rękę.

Nóż do owoców.

Rączka tonęła między środkowym i wskazującym palcem, czubek ostrza wystawał nad nadgarstkiem.

Teraz nastąpił wrzask.

Pani doktor, która już wszystko w życiu widziała, zakładała Elli szwy. Zakładała szwy i rzucała mi badawcze spojrzenia. Klasyczna sytuacja ze wszystkimi kafkowskimi akcentami:

staralem się wyglądać na dokładnie tego, kim byłem: przerażonym rodzicem, który jest odpowiedzialny i troskliwy i który naprawdę zrobił wszystko co w jego mocy. A mimo to jego dziecku coś się przytrafiło. Ten jeden raz.

Mimo zakazu korzystania z telefonów komórkowych na terenie dyżurnego szpitala wysłałem Pauliinie wiadomość. Wiedziałem, co będzie, jeżeli powiem jej o wszystkim dopiero w domu. Odpisała, że zaraz przyjedzie.

Ella była dzielna i najwyraźniej zmęczona. Nic dziwnego. Mała rączka wyglądała w opatrunku jak kończyzna lalki. Lekarka wydawała dalsze wskazówki. Słuchałem jej uważnie, nie spuszczać wzroku ze współczujących, zaczerwienionych, zmęczonych oczu.

Do domu wróciliśmy we trójkę taksówką.

Pauliina otoczyła Ellę ramieniem. Nawet na mnie nie spojrzała, jakby chroniła córkę, i obie odwróciły się do mnie plecami. W domu odwiesiłem ubranie małej na wieszak i zdjąłem przed lustrem buty. Unikałem własnego odbicia.

Ella szybko zasnęła. Pauliina weszła do salonu i kiedy usiadłem na kanapie obok laptopa, skinęła głową w jego kierunku.

– A to pewnie wyjaśnienie wydarzeń dzisiejszego wieczoru.

Milczałem. Pauliina usiadła na drugim końcu kanapy. Kiedyś się tutaj kochaliśmy.

– Nie masz mi nic do powiedzenia?

Popatrzyłem na nią.

– Przecież to się może zdarzyć każdemu. Nie sposób upilnować dwulatka nawet przez minutę. Wszędzie wlezie.

– Co wtedy robiłeś?

– Rozmawiałem przez telefon. Ale to nie zmienia...

– Przez telefon?

– Tak.

Popatrzyłem na nią. Nadal miała na sobie wyjściowe ubranie, czarną bluzkę z długimi rękawami i głębokim wycięciem, trzy złote tasiemki spływały z ramion i przecinały skórę na dekolcie.

– To na pewno było bardzo ważne – powiedziała.

Westchnąłem.

– Warto, żebyśmy przechodzili przez tę rozmowę?

– Właśnie się nad tym zastanawiam... czy warto.

– To była tylko sekunda nieuwagi. Takie rzeczy się zdarzają.

– Nie o to mi chodzi.

Wbiła spojrzenie w czarno-biały dywan na środku pokoju.

– Chcę, żeby to było możliwie jasne – odezwała się cichym, ale naładowanym głosem. – Ella jest najważniejsza w moim życiu.

– Wiem o tym.

– Jeżeli coś by się jej stało – ciągnęła, ignorując moją uwagę. – Jeżeli coś by jej groziło albo stwarzało niebezpieczeństwo, to nie wiem... to znaczy wiem. Ella jest dla mnie najważniejsza. To chciałam powiedzieć.

Pauliina odwróciła głowę. Jej oczy były czerwone, spojrzenie twarde.

– Idę spać – oznajmiła i wstała.

Zostałem na kanapie. Zrobiłem kilka głębokich oddechów. Dziękowałem Bogu, bogom, szczęściu, losowi, przeznaczeniu, zbiegowi okoliczności, siłom wszechświata i prawom fizyki. Nóż nie trafił Elli w oko, nie wyfiletował jej tętnicy.

A jednak czułem ciężar winy. A kiedy wieczorne wydarzenia krystalizowały się w mojej głowie klatka po klatce, coraz lepiej wiedziałem dlaczego. Co ja myślałem te dwie godziny temu? Że na szczęście nie jestem jak własny ojciec, który po latach stawia kolejkę i próbuje powrócić do czegoś, co dawno temu zniknęło i już nigdy nie wróci.

A co myślałem, siedząc na rozgrzanym krześle w szpitalu, kiedy pierwszy strach o Ellę minął?

Patrząc, jak igła w rękach lekarki przebija skórę mojej córki, myślałem o Maarit Lehtinen, myślałem o haśle.

Gwizd czajnika w kuchni przywoływał na myśl statek wychodzący z portu. Emil czekał. Wreszcie czerwone światło zgasło. Wajcha z charakterystycznym pstryknięciem przesunęła się w górę. Zalał torebkę herbaty owocowej wodą i poczuł na twarzy ciepło pary. Wycisnął torebkę, odłożył ją na talerz, wziął czekoladowe ciasteczko i kubek z herbatą i zasiadł za stołem.

Otworzył program do czatu w sieci TOR; thingswillchange2015 przysłał wiadomość. Był on-line. Emil przeczytał tekst, patrzył przez minutę na ekran, ugryzł ciasteczko i odpisał.

Nie mogę podjąć się zlecenia w tym terminie.

To krytyczna sytuacja, odpisał thingswillchange2015, dlatego uczyniliśmy też wyjątek. Połowę pieniędzy przelaliśmy już na twoje konto. Jesteśmy też gotowi wypłacić ci bonus tej samej wartości, jeżeli sprawa zostanie załatwiona do rana.

Emil otworzył nowe okno i zalogował się na konto szwajcarskiego banku.

Pieniądze już zaksięgowano.

Zastanowił się chwilę. Bonus stanowił niebagatelną sumę. Ile jeszcze potrzebował? Te pieniądze na pewno by pomogły. Jeżeli zamierzał przejść na emeryturę i zamieszkać w tym mieście, każdy funt, jen, dolar, euro były na wagę złota. W dodatku praca sama w sobie nadaje życiu tempa, znaczenia.

Praca trzymała go przy życiu, wskazywała kierunek przez wszystkie te samotne lata. Trzymała go w ryzach, pomagała, kiedy nic innego pomóc nie mogło. Praca ratowała go już wiele razy, zawsze.

Zaraz odpowiem, napisał.

Dwa euro. Myłem zęby, kiedy na to wpadłem. O mało nie połknąłem pasty. Wypłukałem usta, wytarłem brodę i zastanowiłem się chwilę. SMS. Można na niego odpowiedzieć od razu albo poczekać do rana. W wolnym czasie i na własną odpowiedzialność. Napisałem krótką wiadomość.

Odpowiedź nadeszła natychmiast:

Przyjdiesz teraz czy później?

12

Wśród ludzi, którzy nigdy nikogo nie zabili, panują różne błędne opinie na temat łatwości bądź trudności mordowania. Jedni twierdzą, że nigdy by się do tego nie posunęli, inni uważają, że to dla nich jak splunąć. Niektórzy wierzą, że gdyby chodziło o wyjątkowo wrogą społeczeństwu postać, gwałciciela dzieci albo dyktatora, nie wahaliby się ani sekundy. Zaskakująco wielu myśli, że uszanowaliby życie człowieka, nawet gdyby chodziło o zabójcę ich córki. Prawda jest taka, że nie można tego z góry przewidzieć. Dopiero gdy przychodzi co do czego, kształtuje się własna postawa.

Emil wiedział, dlaczego wspomnienie pierwszego razu powróciło akurat teraz. To miasto, syn, rozłąka na trzydzieści lat. Poza tym znów się do tego zabierał.

13

Taksówka czekała przed wejściem. Podałem adres: Harjutori numer cztery. Śnieg gęstniał, gdy zbliżaliśmy się do śródmieścia. Przejechaliśmy przez most na Kulosaari, popatrzyłem w kierunku centrum i zamiast konturów zobaczyłem tylko rozmazane światła.

Dom numer cztery był solidną kamienicą z lat trzydziestych. Po lewej na parterze mieściła się sala spotkań zielonoświątkowców, prawą część wynajmowano na tajski masaż. Do Sippitori, najpopularniejszego punktu handlu narkotykami w Helsinkach, był stąd rzut beretem. Śnieżna noc była jak dobry sen, miękka i przytulna.

Taksówka za moimi plecami objechała skwer w kształcie półksiężycy i przyspieszyła w kierunku Töölö. Odszukałem żelazną bramę, za którą znajdowały się wejścia do klatek schodowych; spłoszyłem się, widząc kobiecą twarz tonącą w półmroku.

– Szybko poszło – powiedziała, idąc ku bramie.

Nie otworzyła drzwi, tylko przycisnęła twarz do czarnych krat.

– Czemu mam wrażenie, że strzelałeś, rzucając to hasło?

– Wcale nie – odparłem. – Cały czas miałem je w głowie.

– Na swoje szczęście. To była twoja pierwsza próba i od razu trafiłeś. Może tacie chodziło naprawdę o kogoś takiego jak ty.

– Czy nie byłoby prościej, gdybyśmy rozmawiali, stojąc po tej samej stronie bramy?

Otworzyła zamek, ja popchnąłem drzwi. Gdy cofnęła się o kilka kroków, zobaczyłem całą jej sylwetkę. Była trochę młodsza niż ja, miała półdługie ciemne, proste włosy z równym

przedziałkiem na środku. Wysoka i barczysta, jak na kobietę. Ale wcale nie męska, wprost przeciwnie. Silna młoda kobieta. Jej nos wyglądał śródziemnomorsko, długi i mocny, oczy niebieskie, pewne siebie. Teraz lepiej rozumiałem głos w telefonie. Córka Kariego Lehtinena, Maarit Lehtinen, reprezentowała ten sam nieznoszący nonsensów typ co jej zmarły ojciec.

– Naprawdę piszesz o tacie artykuł?

– O Finn Mining i o Suomalahti – przyznałem szczerze.

Maarit Lehtinen popatrzyła na mnie.

– Czyli kłamałeś.

– Tylko częściowo.

– Proponuję, żebyś nie pogarszał sprawy dalszymi tłumaczeniami.

Poprowadziła mnie do wnętrza klatki schodowej. Windy nie wymieniono od nowości i była tak mała, że musieliśmy stać blisko siebie, twarzą w twarz. Byliśmy niemal równego wzrostu.

– Zanim przyszedłeś, przeczytałam twoje dwa artykuły – powiedziała Maarit.

Odczekałem chwilę, czy doda coś jeszcze, ale nie zrobiła tego. Ani słowa. Winda wydała zgrzyt.

– Zdałem egzamin? – spytałem.

Szybkie spojrzenie. Stalowe oczy, szerokie usta, cienkie wargi.

– To się okaże.

Winda zatrzymała się. Odsunąłem stalową kratę i przytrzymałem przed Maarit drzwi. Jej włosy pachniały kwiatowym szamponem.

Typowy strych w starym domu: zimny i wilgotny, zawałony niepotrzebnymi gratami z minionej epoki. Przestrzeń podzielono brutalnie drucianą siatką na boksy o wymiarach dwa na cztery metry. Niechlujny charakter podkreślały kłódki zwisające z krzywych drzwiczek; część z nich wyłamano swego czasu i tak to pozostawiono. Na podłodze zauważyłem także papierki i osłonki od strzykawek, skrawki waty i poczerwiałe plamy krwi.

Na końcu wąskiego korytarza wisiała jeszcze jedna kłódka. Maarit ją otworzyła. Nie było tu zbyt jasno. Dziewczyna się

odsunęła. Zobaczyłem mnóstwo pudeł, głównie z kartonu. Każde innej wielkości. Część była po butach, inne po bananach.

– To wszystko taty – oznajmiła. – Dziwnym trafem ja jakoś nie mam ochoty nic tu trzymać.

Wszedłem do komórki i wytaszczyłem jedno pudło na środek podłogi. Oświetliła je wąska smuga światła. Rozerwałem taśmę i zajrzałem do środka. Jakies papiery, zeszyty, płyty CD. Zerknąłem w bok – skrzynek było dużo.

– Pamiętasz w ogóle, co gdzie schowałaś? – zapytałem.

– Ja nic nie pakowałam. Tata przyniósł to tutaj.

Odwróciłem się i spojrzałem na Maarit.

– Sam?

– Sam samiutki – odparła. – Nie był z niego znowu taki straszny pijak.

– Przepraszam – rzuciłem. – Zupełnie nie to miałem na myśli.

Myślałem nad tym, czego dowiedziałem się od Pohjanheima: że wtedy na biurku Lehtinena panował ład i porządek. A skoro Lehtinen sam spakował papiery przed śmiercią, to może wiedział, że jest w niebezpieczeństwie i w jego notatkach jest coś cennego. Może.

Wyciągnąłem drugie pudło, postawiłem je obok poprzedniego i otworzyłem. Górna połowa prezentowała podobną zawartość. A jednak nie. Przejrzałem zeszyty z pierwszego pudełka, obejrzałem wydruki, gazety otwarte na konkretnych stronach. Niemal natychmiast znalazłem wspólny mianownik: szczepienia i ich przeciwnicy. Zawartość drugiego kartonu była trudniejsza: może coś na temat planowania przestrzeni miejskiej. Trzeci nie budził wątpliwości: utrzymanie więzień, kary za przestępstwa, w szczególności te poważne. Pohjanheimo miał rację – Lehtinen był bardzo dokładny. Obsesyjnie. Kontynuowałem przeszukiwanie pudeł. W połowie dotarłem do tego, po co tu przyjechałem. Kopalnie. Finn Mining. Suomalahti. Kilka zeszytów, ze dwa kilo wydruków, płyty, pendrive'y.

Wstałem. Nogi mi zdrętwiały, bo przez długi czas siedziałem w kucki.

– Mogę to wziąć ze sobą?

– Znałeś hasło.

Zapakowałem wszystko do plecaka; pękał w szwach i ważył kilka kilo. Pozamykałem pudełka, a Maarit powiesiła kłódkę na miejscu.

W windzie znów staliśmy twarzami do siebie. Niebieskie oczy nie szukały tym razem mojego spojrzenia. Do dżinsowej kurtki Maarit przypinała okrągłe znaczki, niektóre w oldskulowym stylu. NIE ELEKTROWNIOM ATOMOWYM. ZWIERZĘTA CZUJĄ. AKTYWIZM JEST NA TOPIE! JA ROŚLINA. Jeden błyszczący znaczek był całkiem czarny.

– Wiesz coś na temat tej kopalni? – zapytałem.

Niebieskie oczy zamrugwały, źrenice się zmniejszyły.

– Czemu pytasz?

– A tak tylko sobie pomyślałem.

Maarit zamilkła.

– Jeszcze jedna sprawa... to może dziwna prośba – zacząłem. – Nie mów nikomu o mojej wizycie.

– Jestem córką swego ojca – odparła. – Przyzwyczaiałam się do dziwnych prośb.

Przypomniało mi się, co powiedziała wcześniej na dole.

– Kiedy się spotkaliśmy... Co miałaś na myśli, mówiąc o kimś takim „naprawdę” jak ja?

– Nie ty jeden do mnie dzwoniłeś. Ale jako jedyny znałeś hasło. Tata mówił, że taki ktoś może naprawdę znać się na rzeczy.

Nie śmiałem przyznać, że mimo wszystko to tylko łut szczęścia, że tym razem mi się udało.

– Czy ten drugi – odezwałem się, kiedy winda dojechała na dół – też dzwonił z „Głosu Helsinek”?

– Nie powiedział.

– Ale jakoś się przedstawił?

Pokręciła głową. Włosy poruszyły się na tyle, że ich zapach znów wlał się w moje nozdrza. Wyszliśmy z klatki i doszliśmy do bramy.

- Kobieta czy mężczyzna?
- Mężczyzna.
- W jakim wieku, tak na oko?
- Nie wiem. Nie młody, ale i nie stary.
- Co mówił?
- Powiedział, że był przyjacielem ojca, i spytał, czy nie zostało po nim coś, co należy do niego.
- Co to za przyjaciel, jeżeli nie przedstawia się córce zmarłego! I co niby miałyby do niego należeć, skoro ty nie wiesz, kim on jest i czego szuka.

Maarit zatrzymała się, opuściła rękę na zamek.

– No właśnie – przyznała, przekręciła zamek i spojrzała mi w oczy.

Brama zamknęła się ze szcękaniem. Przez chwilę słyszałem jeszcze kroki Maarit. Jak to możliwe, że Kallio o tej porze było takie ciche, takie spokojne? Postój taksówek znajdował się po drugiej stronie półkolistego skweru, przed wejściem do lombardu i baru sprzedającego tanie piwo i zaginione dni.

Spojrzałem w tamtą stronę.

Nie postąpiłem jeszcze nawet kroku.

Ponad nagim styczniowym skwerem widziałem, że pod znakiem nie ma ani jednego samochodu. Zobaczyłem coś jeszcze. Po lewej stronie, na rogu Helsinginkatu i Harjutori, w cieniu budynku przesuwiał się jakiś mężczyzna. Skojarzył mi się z postacią, którą widziałem na schodach oddalonego o siedemset kilometrów zaśnieżonego terenu kopalni, a potem na parkingu przed motelem.

Róg budynku stanowiło przeszklone pomieszczenie sklepowe, w tej chwili puste. Ponieważ nie było oświetlone, przez duże okna wystawowe widać było na przestrzał. Nie widziałem, żeby barczysta sylwetka poruszała się naprzód wzdłuż Helsinginkatu. Nie zauważyłem, żeby wracała w stronę Harjutori.

Sam róg budynku stanowiła kamienna ściana szerokości dwóch metrów. Plecak zaczynał mi ciążyć.

Wyjąłem telefon z kieszeni, żeby zadzwonić po taksówkę. Ale nie wybrałem numeru, tylko ruszyłem żwawym krokiem w kierunku rogu. Kiedy od okien dzieliły mnie dwa metry, zobaczyłem, że mężczyzna przesuwają się za nimi całkiem za budynek. Przyspieszyłem, założyłem drugi pasek plecaka na ramię i skręciłem w Helsinginkatu.

Mężczyźnie udało się zwiększyć odstęp. Musiał biec. Stawiał długie, sprężyste kroki. Był w czarnej kurtce; jego ruchy wydały mi się znajome. Rzuciłem się do biegu. Plecak trząsał mi się na plecach. Mężczyzna znalazł się w połowie drogi do następnej przecznicy, w miejscu, gdzie kamienne schody prowadzące na Torkkelinmäki przecinały rząd kamienic z czerwonej cegły.

Nagle zniknął. Najwyraźniej skręcił w jedną z dwóch odnóg schodów biegnących obok rozległego placu, cieszącego się w ciągu dnia popularnością wśród narkomanów i pijaków. Pognałem naprzód i z każdym stopniem ogarniałem wzrokiem większy obszar. Dotarłem na plac. Jeszcze jedno schody na Aadolfinkatu. Przede mną stał dawny budynek uniwersytetu; wejście na jego teren było zamknięte.

Kamienny mur ciągnął się zarówno w lewo, jak i w prawo. Mur po lewej kończył się na skwerze Franzena. Poszedłem w tamtą stronę.

Na środku położonego na zboczu skweru krzyżowały się dwie ścieżki. Bezlistne drzewa rzucały cień, a jednak dostrzegłem mężczyznę. Szedł pod górę w stronę Franzeninkatu. Krwiste, wielkie litery S-A-U-N-A nad wejściem do publicznej sauny pulsowały w śniegu, jakby ktoś je podpalił.

Postać wyszła już na ulicę i zaraz mogła mi zniknąć z oczu.

Biegłem. Plecak uderzał o moje plecy.

Nie zauważyłem cienia, który oderwał się od muru. Może mnie popchnął, a może na mnie skoczył. Padłem na ziemię i poczułem but przyciskający mi kark. Ktoś próbował odebrać mi plecak. Chciałem się przekręcić. Trudne zadanie, biorąc pod uwagę but na karku. Mężczyzna wykręcił mi prawe ramię

i ściągnął jedną szelkę. Potem wykręcił również lewe. Uwolniłem prawą rękę i uderzyłem ze wszystkich sił.

Nie trafiłem.

Mężczyzna chwycił mnie za gardło. Zacisnął dłoń w rękawiczce i zbliżył się tak, że poczułem zapach czosnku i fast foodu. Znow uderzyłem, tym razem łokciem. Trafiłem. Mężczyzna puścił moją szyję i w tym momencie usłyszałem czyjś krzyk.

Dobiegał z bliska. Mężczyzna całkiem mnie puścił i znow zaatakował plecak. Niemal wyrwał mi lewe ramię razem z nim, ale jakimś cudem plecak został przy mnie.

Odwróciłem się. Dostałem z glana w policzek. A potem glany odbiegły. Usiadłem. Przesunąłem plecak na brzuch, objąłem go i mocno trzymałem.

Emil nie musiał już więcej czytać. Spojrzał na fotografię mężczyzny, adres i godzinę, którą wskazywał komputer. Noc jeszcze się nie skończyła. Co mu pozostawało? Następny dzień i wczesny wieczór.

Wiedział z doświadczenia, że dzień to najgorsza pora. Zwykle wymagało to dokładnych przygotowań, wyboru i kontroli godziny oraz miejsca z dokładnością co do milimetra.

Wiele lat temu utopił tak w Tamizie londyńskiego bankiera, który akurat był w drodze na biznesowy lunch. U stóp schodów prowadzących na brzeg rzeki. W letni słoneczny dzień, wyjątkowo jasny jak na Anglię. Jeszcze ciągle ciarki przechodziły mu po plecach na samą myśl o tamtej akcji. Oczywiście ktoś go widział. Oczywiście ten wybrany z dokładnością co do milimetra punkt miasta znajdował się przy takiej pogodzie w zasięgu wzroku przechodnia, który akurat wybrał się na spacer. Emil doskonale pamiętał to uczucie, które towarzyszyło mu, kiedy wśród ryku syren schodził do metra. Kamienny spokój na twarzy, mokre nogawki spodni od garnituru w prążki, chlupot w skórzanych butach, mięśnie napięte do granic możliwości. Nigdy więcej, postanowił, kiedy wreszcie usiadł w wagonie Piccadilly Line i schował się za zasłoną wydania „Financial Times”.

Teraz miał do dyspozycji godziny pozostałe z tej nocy.

Zaraz...

Wypróbował kilka kombinacji haseł. Metody pozyskiwania informacji były teraz całkowicie inne niż wtedy, gdy rozpoczął pracę. W dzisiejszych czasach ludzie sami, dobrowolnie podawali potrzebne dane, trzeba je było tylko zebrać. Mężczyzna

udostępniał zapisy biegów z aplikacji Sports Tracker na Facebooku. Biegał zawsze rano, przed pracą. Z mapy wynikało, że biega po centralnym parku, najczęściej pokonując tę samą pętlę długości trzech kilometrów. Całkowicie zrozumiałe, to jedyna trasa biegowa na terenie Puistoli, przygotowana w zimie do biegów. Niemal bez wyjątków mężczyzna biegał między szóstą a siódmą.

Emil odczekał trzy i pół godziny. Nawet nie próbował spać.

Kiedy zegar wybił piątą, Emil ubrał się. Czarne spodnie do biegania, nowe, niebiesko-zielone buty Asics, czarna, ciasno przylegająca do ciała koszulka przepuszczająca powietrze, na nią czarna kurtka z goreteksu. Do kieszeni włożył czarne rękawiczki i czarną sportową czapkę. Popatrzył w lustro na swoje odbicie. Tylko wymęczona twarz odróżniała go od nocy.

W bocznych uliczkach Taka-Töölö nadal było cicho. Emil ruszył w stronę morza. Na Vallhallankatu znalazł to, czego szukał.

Samochód dostawczy marki Hyundai zaparkowany przez kogoś z usług hydraulicznych w niedozwolonym miejscu, nieco osłoniętym przez żywopłot z głogu i wiązy. Ten, kto wybrał to miejsce, na pewno uznał, że jest idealne. Rzeczywiście, było idealne. Podobnie jak wiek samochodu. Prawie żadnych zabezpieczeń przed kradzieżą. Emil otworzył drzwi, uruchomił silnik „na krótko” i po czterech minutach już jechał po Mannerheimintie.

Kierując się na północ, minął stację benzynową. Spojrzał w lewo: Pikku-Huopalahti. Dzielnica wyrosła na dawnym ugorze i złomowiskach; jeszcze dawniej było tu wysypisko śmieci. Emilowi przypomniały się baraki, krzywe magazyny i nieoficjalna nazwa tej części miasta: Stockmann dla ubogich.

Wśród wszystkich ogarniających go sprzecznych myśli ta, że ma pracę, że jedzie do pracy, pocieszała go, było mu z tym dobrze. Praca od dawna była jego życiem. I na odwrót. Była wszystkim. Praca przypominała mu o tym, kim jest, gdzie jest i na czym polega jego rola. Trzymała go przy życiu. Była opoką,

na której twardo się podpierał. Nawet kiedy samotność rosła mu gulą w przełyku i waliła w skronie.

Pomyślał o synu, o niedawnym spotkaniu. Miał straszną ochotę umówić się na kolejne.

Ulica Mannerheimintie kończyła się nowym skrzyżowaniem z Hakamäentie. Coś w potężnej konstrukcji tuneli sprawiło, że Emil poczuł się zagubiony we własnym mieście. Ulica zmieniła się w drogę ekspresową i Emil przyspieszył do dozwolonych dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę i westchnął z ulgą. Krajobraz po obu stronach drogi nareszcie wyglądał znajomo. Po prawej ciemności Parku Centralnego, po lewej światła dzielnicy Południowa Haaga, a potem blokowisko Północna Haaga. Zjechał na pierwszy ring w kierunku wschodnim. Jeszcze dwa kilometry.

Od ostatniego razu Länsi-Pakila zmieniła się w dzielnicę nowobogackich, posklejanych ze sobą kamiennych zameczków jednorodzinnych. Na początku działki rozdzielano najwyraźniej na dwie, a potem już na trzy części. Z dawnych czasów pamiętał tutaj luźną zabudowę. Wtedy były to głównie parterowe drewniane domki rodzinne z poddaszem, wybudowane zaraz po wojnie, i niczym się niewyróżniające szeregowce. Nowe budynki stanowiły połączenie muzeum sztuki współczesnej z ambasadą republiki bananowej.

Starał się jechać, jakby wracał do domu. Nie, nie do domu, żaden hydraulik przecież tutaj nie mieszkał, ale jakby dostał pilny telefon, żeby udroźnić odpływ albo naprawić pękniętą rurę w łazience.

Dom stał w zaułku, na szczycie stromej skały. Przed wyjściem z mieszkania sprawdził w sieci, jak wygląda teren wokół niego. Wiedział, że ten dość nowy, mający mniej niż dziesięć lat budynek jest jak twierdza i wyraźnie góruje nad otoczeniem. Emil minął zaułek i mniej więcej po stu metrach zaparkował równoległe do krawężnika.

Mieszczanin śpi twardo.

Z czego to było? Z lewicowego sloganu czy z rosyjskiej sztuki? Tak czy siak, zdanie doskonale oddawało charakter tej dzielnicy

przed świtaniem. Wśród panującej ciszy Emil niemal słyszał dźwięk wydychanej pary.

Nie mógł zostać w samochodzie. Coś takiego rzucało się tutaj w oczy.

Przywołał w pamięci mapę z terenami sportowymi Pirkkola i trasą biegową. Pojechał dalej. Pirjon Krouvi, legendarna pijalnia piwa, zniknęła ze skrzyżowania Pakilantie i Pirkkolantie.

Parking znajdował się naprzeciwko cementarza na urny. Innych samochodów nie było. Wyjął z kieszeni zdjęcie i patrzył na nie przez dwie minuty. Tego mężczyznę rozpoznałby wszędzie, na każdym rogu.

Dochodziła szósta. Wysiadł z samochodu. W nowych adidasach stąpał po śniegu miękko i bezgłośnie.

Zszedł po zboczu i z łatwością znalazł ścieżkę biegową. Na podstawie aktualizacji z Run Trackera wiedział, że mężczyzna biega po parku – a raczej po lesie – w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Emil ruszył truchtem. Był zaprawionym biegaczem; lubił dłuższe trasy, nogi znajdowały właściwy rytm.

Droga poprowadziła w dół i zakręciła; zaczynała się długa prosta. Potem wiała się w górę po stromym zboczu. Emil lubił takie miejsca. Doskonale nadawały się do realizacji zlecenia. Z każdej strony widoczność najwyżej na dwadzieścia metrów, dokoła tylko las i skały. Żadnych ludzi. Właściciele psów nie zapuszczali się tak głęboko w las, przynajmniej nie rano. Tutaj docierali jedynie prawdziwi sportowcy.

Gdy między ośnieżonymi świerkami i brzozaami dostrzegł biegacza, spojrzął na zegarek. Pierwszy kilometr w pięć minut. Kiedy mężczyzna zaczął biec po stromiźnie, Emil natychmiast go rozpoznał. Pięćdziesięciolatek, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, wystająca broda, szpiczasty nos, najbardziej niebieskie oczy, jakie Emil kiedykolwiek widział.

Spojrzął za siebie. Nikogo. Starał się lżej stąpać, przesuając ciężar ciała na palce; rozluźnił ręce.

Mężczyzna posuwał się płynnie i miarowo. Zbliźali się do siebie. Emil słyszał kroki i równy oddech.

Kiedy dzieliły ich już tylko dwa metry, Emil skupił wszystkie siły na wykonaniu jednego ruchu. Zrobił krok w bok, prześlizgnął się na stronę ścieżki, po której biegł mężczyzna, i podniósł ramiona dokładnie w chwili, gdy tamten odbijał się do następnego susu.

Spotkały się dwie siły o przeciwnych wektorach.

Ruch Emila – ciężar jego ciała, siła ramion, uścisk palców – wszystko skumulowało się w jeden precyzyjny, szybki obrót. Obie nogi tamtego znalazły się w powietrzu. Chrupnęło. Kark mężczyzny został skręcony. Ciało spadło na ziemię, spłynęło na ścieżkę jak pusty worek.

Emil pobiegł dalej.

Nie chciał spać. Nie był w stanie. Wraz z nasilającymi się koszmarami sen stawał się równie wyczerpujący jak nocne czuwanie. Poza tym nie miał dość cierpliwości. Spotkanie z synem otworzyło furtkę. Tak to odbierał. Furtkę, która przez trzydzieści lat pozostawała zamknięta, a jasność czekająca po drugiej stronie oprócz ciepła przynosiła niepokój. Jak powinien teraz postąpić? Przyznawał przed sobą, że zupełnie nie miał doświadczenia w tych sprawach. Dawno temu postanowił nie przywiązywać się do nikogo ani niczego. Przez lata zawsze najbliższa mu była osoba, której śmierć właśnie planował. Jeżeli samotność nie jest właśnie tym, to czym jest?

Spotkanie z synem coś w nim poruszyło, przypomniało to, o czym kiedyś w sekrecie – zwłaszcza przed samym sobą – marzył.

Na początku odczuwał do siebie głęboki, gruntowny wstręt. Z biegiem lat tamte wydarzenia nabrały umiarkowanych wymiarów: byli młodymi ludźmi, którzy działali na podstawie aktualnie dostępnych informacji. Zrobił to, co do niego należało. Chodziło mu o to samo, o co chodziło innym: o przetrwanie.

Siedział przy stole w umeblowanym dwupokojowym mieszkaniu i patrzył na wynurzające się za oknem kontury dnia. To niesamowite, że z nicości powstawało światło i poranek. Z ciemności wypłynęły drzewa, z każdą chwilą pojawiały się nowe gałęzie, rosły i potężniały. Najpierw widział tylko grubsze elementy – pnie i konary podobne do ramion – a zaraz potem delikatniejsze gałązki, aż cała filigranowa korona zaczęła się wyraźnie odcinać od bladego płótna poranka.

Ile ranków było mu jeszcze pisanych? I czy to w ogóle miało jakieś znaczenie? Wszystko i tak zależało od tego, co przyniosą te dni i jak do nich podejście.

Siedział, pił kawę i jadł kanapkę z żytniego chleba i szynki z grubo mielonym pieprzem. Po drzewach przyszła kolej na bibliotekę. Krok po kroku to ją rozbierano, to ubierano. Najpierw zdjęto z niej ciemność i szarugę. Potem nabrała kształtów, wlało się w nią światło, zyskała nowe kanty, szerokość i głębię.

Może i jemu coś takiego mogło się przytrafić. Początkowo pomysł ten wydał mu się przygniatający. Niemożliwy, nieprawdopodobny. Ale pomysł – jak wszystkie inne pomysły – zasiał swoje ziarno i czekał na plony. Gdyby w jego życie wlało się tyle światła co o poranku, gdyby zdjęto z niego chociaż część ciemności i szarości...

Powrócił do Helsinek i spotkał syna. Może była to obietnica, że życie się zmieni. Musiał rozstać się z pracą, poszukać czegoś nowego. Nie wiedział czego. A potem zrozumiał.

Ella i Pauliina weszły do kuchni w tej samej chwili. Złożyłem papiery na jedną stertę, żebyśmy wszyscy zmieścili się przy stole. Nasza trzyosobowa rodzina. Czasem przez chwilę szczęśliwa rodzina. Pauliina natychmiast dostrzegła moją opuchliznę na policzku i skroni. Zauważyła też, że noc spędziłem w kuchni i że coś się wydarzyło. Przygotowała śniadanie dla Elli i dla siebie. Zaproponowałem, że zaparzę kawę. Siedzieliśmy przy stole i jedliśmy. Pauliina, przeglądając gazetę, powiedziała, że zaprowadzi małą do żłobka, i spytała, czy ja mógłbym ją potem odebrać. Ella prowadziła dialog równolegle. Oboje w nim uczestniczyliśmy, zachwycaliśmy się jej obandażowaną rączką, za każdym razem, kiedy córka ją nam prezentowała. Zastanawiałem się, czy to możliwe, że Ella wyczuwa napięcie między mamą a tatą. Gdy skończyła jeść, poszła na chwilę sama do salonu. Ledwie zniknęła, Pauliina popatrzyła na mnie nad stołem.

– Co to za wygłupy?

– Musiałem odebrać pewne dokumenty – powiedziałem, wskazując stertę, która, jak mi się zdawało, rosła z minuty na minutę.

Pauliina zignorowała papiery.

– Miałam na myśli to. – Wskazała ruchem głowy.

Dotknąłem policzka. Bolało.

– Sam dokładnie nie wiem.

Przyjrzała mi się uważnie.

– Dziwnym trafem ma to związek z twoim artykułem.

Nie chciałem tego ciągnąć. Rozmowa wydała mi się nie na miejscu. A nawet jeśli tak nie było, to budziła we mnie uczucie, że

zrobiłem coś niewłaściwego. Poza tym miałem coś innego do powiedzenia.

– Spotkałem wczoraj ojca.

Pauliina wypuściła gazetę spomiędzy palców. Strony z działem ekonomicznym lekko zaszeleściły.

– Co takiego?

– Wpadłem na niego w sklepie. Poszliśmy na piwo.

– Ty i twój ojciec?

– Tak.

– Ten, który zostawił was, kiedy miałeś niecałe dwa lata?

– Rok. Niecały rok.

– Niech będzie, rok. Skąd...

– Posiedzieliśmy chwilę w pubie. Przechodzi na emeryturę i wraca do Helsinek. Mieszkał w Berlinie. Wygląda tak samo jak na wszystkich zdjęciach, jest tylko trochę starszy i pomarszczony.

– Zapytałeś dlaczego...

– Dlaczego odszedł i dlaczego wraca? Zapytałem. Na pierwsze nie odpowiedział, na drugie tak. Powiedział, że wraca, ponieważ mam trzydzieści lat.

– Co to ma...?

– Miał tyle samo lat co ja teraz, kiedy od... kiedy wyjechał z Helsinek.

Pauliina chciała coś powiedzieć, ale odsunęła krzesło i wstała. Zniosła kubek do zlewu, potem zrobiła to samo ze szklanką i talerzem Elli i wytarła stół.

Dochodziła dziewiąta. Pauliina i Ella już wyszły. Spojrzałem na posortowane na nowo sterty. Jednej jeszcze nie uporządkowałem: wycinki z gazet, koperty. Wziąłem jedną do ręki. Bąbelkowa koperta zawierała pudełko z płytą CD. Na poziomych liniach okładki napisano flamastrem FM/ZARZĄD/DATA? Żadnych innych uwag. Poszedłem do salonu po stację CD i podłączyłem ją do komputera. Parę kliknięć. Przyniosłem jeszcze słuchawki. Początek nagrania nie wróżył niczego dobrego: niekończąca się cisza. Potem usłyszałem kroki,

odgłosy rozmowy, jacyś ludzie weszli do pomieszczenia. Jakby ktoś odsunął krzesła i usiadł przy stole. Dźwięk rozkładał się nierównomiernie. Mikrofon, którym posłużono się przy tym nagraniu, musiał być zamontowany z boku. Brzęk filiżanek i łyżeczek niósł się w tle jak bicie dzwonów kościelnych.

MĘŻCZYZNA 1: ...jeżeli nie ma porządnej kawy, to nic.

MĘŻCZYZNA 2: Jest herbata.

MĘŻCZYZNA 1: Nie piję herbaty.

MĘŻCZYZNA 2: Kranówka.

MĘŻCZYZNA 1: Do diabła z tym!

MĘŻCZYZNA 3: Czysta woda.

MĘŻCZYZNA 1: Kurwa, jak...

MĘŻCZYZNA 3: Przejdźmy do rzeczy... Jeżeli jest tak, jak twierdzisz, to jak poważna jest sytuacja, o której mówimy?

MĘŻCZYZNA 1: Jak poważna? Bardzo, kurwa, poważna. Mamy najwyżej parę miesięcy.

MĘŻCZYZNA 4: W tym czasie... W tym czasie nie zdążymy zorganizować dodatkowych środków w taki sposób, żeby nie wzbudziło to niczych podejrzeń.

MĘŻCZYZNA 2: Niczych podejrzeń? Czy ta druga wersja też nie wzbudzi niczych podejrzeń, kiedy powiemy, że mamy taki problem? Co wtedy?

MĘŻCZYZNA 1: Metoda nie działa, jak powinna. Po prostu nie działa. Działa w teorii, ale nie w Suomalahti. Akumuluje nam się siarkowodór, rtęć, ołów, kurwa, wszystko oprócz niklu, który mieliśmy wydobywać. Baseny są pełne chemicznego gówna, a widok dokoła nie rokuje nadziei. Śnieg i deszcz leją jak z cebra, a końca nie widać. W jakim świetle to nas postawi, kiedy powiemy, że nie przewidzieliśmy, że w Finlandii pada deszcz i śnieg! Dziennikarze rozerwą nas na strzępy.

MĘŻCZYZNA 2: Prasa daje, prasa zabiera. To jakby dać im karabin maszynowy i poprosić, żeby strzelili prosto w czoło.

MĘŻCZYŻNA 1: Jestem pewien, że mamy to samo zdanie na temat dziennikarzy i ich zwyczajów. Ale wracając...

MĘŻCZYŻNA 4: Od rządu nic się już nie wycisnie.

MĘŻCZYŻNA 2: Dlaczego nie?

MĘŻCZYŻNA 4: Musielibyśmy tłumaczyć, jak nam idzie.

MĘŻCZYŻNA 2: Wcześniej nie miało to znaczenia.

MĘŻCZYŻNA 1: To były inne czasy. Wszyscy kochają posłańców przynoszących dobre wiadomości, nawet jeżeli są one dalekie od prawdy. Mieliśmy uratować całą cholerną Laponię. Teraz mamy tam bombę atomową.

MĘŻCZYŻNA 2: Bomba atomowa to byłoby jakieś rozwiązanie.

MĘŻCZYŻNA 3: Dla mnie jest jasne jak słońce, że aktualnie stosowana metoda jest za droga.

MĘŻCZYŻNA 4: Nie znam się na stronie technicznej, ale wiem jedno. Zmiana metody uszlachetniania będzie trwać lata i wymaga inwestycji, na które nas po prostu nie stać. Ze względów ekonomicznych trzymałbym się tego, co już robimy, i szukał metod, żeby przetrwać jakoś kolejne dwa, może trzy lata.

MĘŻCZYŻNA 2: Dwa, trzy lata!

MĘŻCZYŻNA 4: Może pójdzie szybciej. Ale wtedy w Europie wybuchnie wojna, rynek wchłonie każdą ilość niklu, a my będziemy dyktować ceny. To będzie prawdziwy boom. Natomiast obecna sytuacja, trzeba to przyznać, jest nie do zniesienia.

MĘŻCZYŻNA 2: Myślisz, że znajdziesz wśród nas kogoś, kto by się spierał w tej kwestii?

MĘŻCZYŻNA 1: Zmiana metody nie wchodzi w grę. O upublicznieniu sprawy nie ma, kurwa, mowy. Ale...

MĘŻCZYŻNA 2: Słucham.

MĘŻCZYŻNA 3: Ja również.

MĘŻCZYŻNA 4: I ja.

MĘŻCZYŻNA 1: Ta metoda wcale nie jest taka droga, tylko jej aktualne utrzymanie kosztuje po prostu za dużo. Możemy spróbować innej taktyki. Do jakiego poziomu

musimy zejść z kosztami, żeby... że tak powiem, wyjść na swoje? W procentach.

MĘŻCZYŻNA 4: Tak na oko piętnaście, dwadzieścia procent.

MĘŻCZYŻNA 2: Sporo. To nie jest zejście, to jest cięcie. Wymagałoby...

MĘŻCZYŻNA 1: Podjęcia pewnych działań.
(cisza)

MĘŻCZYŻNA 3: Ja to popieram.

MĘŻCZYŻNA 1: Dziękuję.

MĘŻCZYŻNA 2: Jeżeli dobrze was rozumiem...

MĘŻCZYŻNA 1: Po prostu wykorzystamy położenie kopalni. Jeżeli sprawimy, że te piętnaście, dwadzieścia procent po prostu zniknie z wykazu kosztów, to najzwyczajniej w świecie nie będzie kosztem, a my znów będziemy przedsiębiorstwem na plusie. Wszyscy będą nam dziękować i nikt nic nie zauważy.

MĘŻCZYŻNA 2: Tej rozmowy nigdy nie było, nikt nie podjął takiej decyzji, a my nie wiemy nic o sprawach, które mogłyby doprowadzić do takiej rozmowy i spotkania jak to.

MĘŻCZYŻNA 1, MĘŻCZYŻNA 3, MĘŻCZYŻNA 4: Oczywiście, że nie.

Koniec nagrania. Zorientowałem się, że stoję na środku kuchni. Usiadłem przy komputerze. Pora wsadzić kij w mrowisko.

CZĘŚĆ II
OŁÓW

BLOG

Janne Vuori GH

janne.vuori@gloshelsinki.fi

Twitter: @vuorijannegh

Co wolno wykopać, co wolno powiedzieć?

Nie wszystko złoto, co się świeci. Przemysł wydobywczy raczej nie uratuje Finlandii.

Jak zapewne wiadomo czytelnikom tego bloga, wszystko ma charakter nieoficjalny. Poza tym jest to w gruncie rzeczy zapis moich myśli. W przeciwieństwie do tradycyjnych wiadomości przedstawiam tutaj twierdzenia i opinie. Innymi słowy, mogę powiedzieć wszystko.

W tej chwili w Finlandii działa pięćdziesiąt kopalni. Co chwila powstają nowe inicjatywy, a obietnic pomysłodawców oraz osób rozpatrujących wnioski w zakresie wykorzystania dostępnych zasobów naturalnych i wzrostu zatrudnienia z roku na rok przybywa. Mimo że świat dokoła i ziemia pod nogami wydają się być innego zdania. Mogę zrozumieć część tego entuzjazmu kopalnianego. Gospodarka narodowa walczy o przetrwanie, nowego kandydata na miarę Nokii nie ma i nie będzie, północ kraju się wyludnia. I tu wkracza do akcji górnictwo. Nowe inwestycje mają sprawić, że Finlandia zamieni się w krainę mlekiem i miodem płynącą, a dzięki położeniu kopalń wzrośnie zatrudnienie na terenach najbardziej dotkniętych bezrobociem. Tylko czy to realny scenariusz?

Fakty wyglądają ponuro. Jak wiadomo, fińska ziemia nie jest bogata w złoża. Niemal wszystkie aktualnie działające kopalnie przynoszą straty. Zresztą większość z nich i tak jest w posiadaniu

zagranicznych inwestorów, co naturalnie wpływa na potencjalne zyski dla rodzimej gospodarki. W przypadku sporej części obecnych projektów już teraz można przewidzieć, że wyniki będą negatywne. Przyczyną są początkowe nakłady na inwestycje, a także konsekwencje dla środowiska: każda kopalnia wymaga odpowiedniej infrastruktury, czyli: dróg, prądu, torów kolejowych i innych elementów, które powstają za pieniądze podatników – mimo że ewentualne przyszłe zyski trafią na konta zagranicznych spółek, najczęściej do rajów podatkowych. Jeżeli kogoś jeszcze nie przekonałem, mogę dodać, że każda kopalnia stanowi obciążenie dla środowiska. Każda bez wyjątku.

Rozmiary tego obciążenia należy jednak rozpatrywać indywidualnie. Wszystkie działające kopalnie zanieczyszczają środowisko. Mniej lub bardziej. To jest fakt. Podobnie jak to, że rekultywowanie terenów pogórnich jest drogie, a jego koszty ponoszą najczęściej bynajmniej nie właściciele, lecz my, podatnicy. Ponadto rozwój górnictwa wcale nie pociąga za sobą oczekiwanego wzrostu zatrudnienia. W pięćdziesięciu kopalniach na terenie Finlandii pracuje może dwa tysiące osób. Mniej więcej tyle, co w domu towarowym Stockmann, w samej tylko helsińskiej filii. Jeżeli politycy naprawdę chcieliby tworzyć nowe miejsca pracy, logiczne byłoby szukanie ich tam, gdzie jest to realne. Ale przecież mówimy o polityce. Tutaj liczą się tylko słowa, a nie fakty. Nawet jedno nowe miejsce pracy na dalekiej prowincji to naturalnie zysk, lecz jeśli dodać do tego milionowe koszty i porównać z mizernymi wynikami, atrakcyjność inwestycji może zmaleć.

Wszystko to stawia sensowność górnictwa w naszym kraju pod znakiem zapytania. Dlaczego w miejscu takim jak Finlandia, gdzie natura, jak dotąd, pozostaje nieskażona, trzeba za wszelką cenę niszczyć i zatruwać środowisko, skoro nic się za to w zamian nie dostanie? Jeśli się zastanowimy, co w przyszłości może na świecie uchodzić za rzadkie i cenne, to prawdopodobnie nie będzie to złoto, chrom czy nikiel, a już na pewno nie ścieki przemysłowe. Obserwując aktualny stan, można przypuszczać, że będą to raczej

czysta gleba, woda i powietrze. Wszystko wskazuje na to, że tak się stanie już za kilkadziesiąt lat.

Zanieczyszczeń i zrujnowanej natury wystarczy na całym świecie. Według najświeższych prognoz, już wkrótce na ziemi pojawią się regiony, gdzie oddychanie będzie trudne, a może wręcz niemożliwe. W tej sytuacji kraj pełen zasobów wody pitnej, terenów mieszkalnych wolnych od siarkowodoru, rzek i jezior bez oleistych zawiesin stanowi wielką wartość. Z tego powodu nie można odkładać dyskusji o fińskim górnictwie na później.

W najbliższym czasie zamierzam dogrzebać się do serca kopalni niklu w Suomalahti. Dzięki wiadomościom od informatora z wewnątrz już teraz przewiduję, że zarówno inwestycja, jak i obecna działalność kopalni ucieleśniają wszystkie problemy współczesnego fińskiego przemysłu wydobywczego, a jej zasługą jest w najlepszym wypadku tymczasowe zatrudnienie dziesięciu osób, wzbogacenie wąskiej grupy i wystawienie rachunku dla fińskiej natury i podatników naszego kraju. Wszystkiego nie uda się uratować. Wpływy z podatków rozpląną się w powietrzu. Za zatrute środowisko zapłacą przyszłe pokolenia.

Pora zapytać: dlaczego.

1

Drzwi do gmachu po drugiej stronie ulicy otwierały się i zamykały jak paszcza dużej, szarej ryby. Fale ludzi wlewały się i wylewały. Głównie jednak wlewały się i znikwały w czeluściach budynku. Stał pod daszkiem, chociaż śnieg przestał już padać. Dochodziła dziewiąta.

W końcu zobaczył kobietę, którą rozpoznałby zawsze i wszędzie. Ruszył w jej kierunku.

Spojrzała w jego stronę, ale chyba go nie zauważyła. Nic dziwnego, pomyślał, to już tyle lat, a wszystko zaczęło się od tego, że zrobił coś, czego nigdy robić nie wolno. Przeszedł przez ulicę i dopędził kobietę, kiedy dzielił ją jeszcze spory kawałek od wejścia do budynku.

– Leena.

Odwróciła się. Jej spojrzenie zdradzało, że po krótkim zastanowieniu rozpoznała go.

– Emil – powiedziała.

Nie wyglądała na zdziwioną. Nie potrafił jednak ustalić, jakie zrobił na niej wrażenie. Leena rozejrzała się.

– Skąd ty...?

– Chciałem się z tobą zobaczyć. Szukałem po nazwisku i dowiedziałem się, gdzie pracujesz. Pomyślałem, że raczej przyjdę, niż zadzwonię. Telefon nie...

Minął ich autobus linii dalekobieżnej, niemal obrzucając ich błotem; stali tak blisko krawężnika.

– Spotkałem się wczoraj z Jannem. Chciałem też spotkać się z tobą. Chciałem...

No właśnie, co? Chcę rozpocząć nowe życie. Albo życie na nowo.

- Musiałem się z tobą zobaczyć.
- No to się ze mną widzisz.
- Co u ciebie słychać? Jak się czujesz?
- Wszystko w porządku.

– To dobrze. U mnie też... Wracam do Helsinek.

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Stali na zachodnim końcu Bulevardi. Na placu przed halą targową rosły kupki śniegu.

Większość włosów Leeny schowana była pod czapką, ale wystające końcówki świadczyły o tym, że i ona się postarzała. Co prawda włosy nadal miały ciemny kolor, ale teraz z domieszką srebra. Skóra na znajomej wąskiej twarzy była równie złocista co kiedyś, policzki porały już zmarszczki, ale i tak Leena wyglądała czarująco. I te oczy. Nieustannie badawcze spojrzenie i promieniejąca w dal jasność. W każdym gościu kryła się ostrożność.

– Czemu mi o tym mówisz? – spytała.

– Trzydzieści lat, Leeno. Wybacz mi. – Słowa wystrzeliły w powietrze szybciej, niż zdołał się zastanowić. Wszystko zdawało się rozmywać i wirować. – Byłem taki młody. Nie rozumiałem, jak różne sprawy się ze sobą łączą.

– Oczywiście, że nie rozumiałeś – rzuciła.

Stali, patrząc sobie w oczy. Emil wiedział, czego chce.

– Nie mam nic... – zaczęła Leena i szybko dodała: – nic złego do powiedzenia.

– Cieszy mnie to.

– Ale nie wiem też, co innego mogłabym powiedzieć. – Już chciała się odwrócić. – Muszę iść.

– Zamierzam zostać.

Leena zastanowiła się chwilę.

– Powinam już iść...

– Mogę zadzwonić?

Zatrzymała się.

– Po co?

Ponieważ to o tobie myślałem przez te wszystkie lata.

– Żebyśmy mogli porozmawiać. Mamy wnuczkę.

Leena jakby zeszywniała. Nie była to duża zmiana, ale Emil to zauważył.

– Chciałbyś zostać dziadkiem, co?

Poznał po głosie, że nie warto odpowiadać na to pytanie.

– Emilu, długo cię tutaj nie było. Wiele rzeczy się przez ten czas zmieniło. Nie wiem, czy możesz tak po prostu zgłosić się na dziadziusia.

Zrobiła krótką przerwę, z jej ust unosiła się para.

– Mogę się oczywiście mylić, kto wie.

– Leeno...

Po brukowej kostce jechał pług. Od hałasu bolały uszy. Emil zobaczył w spojrzeniu Leeny refleks z latarni. Machnęła ręką i poszła. A on wciągnął stygnące, mroźne powietrze, czując na podniebieniu gorzki, metaliczny smak.

2

Ktoś zrobił wydruk z mojego tekstu i zostawił mi na biurku. Po prawej stronie przy moim zdjęciu dopisano flamastrem: CHODZĄCA PRAWDA. Rozejrzałem się, ale jakoś nikt nie chciał się przyznać. Ludzie siedzieli z nosami w monitorach albo z policzkami przyciśniętymi do telefonów. Poszedłem po kawę, a potem rozłożyłem na stole materiały zebrane przez Lehtinena. Zastanawiałem się, od czego zacząć, kiedy z laptopa dobiegł dźwięk sygnalizujący, że nadeszła nowa wiadomość.

Redaktorze Vuori,

mam nadzieję, że w Helsinkach jest superancko, życie płynie jak kawa z mlekiem i wytrzymujecie wyścig ekolewackiego próżniactwa i kolejek po sushi w pana pięknym biurze. Tutaj, na północy, nie ma tak łatwo: wieje mroźny wiatr, a bezrobocie twardo trzyma się trzydziestu procent. Od czasu do czasu, kiedy już uda nam się dostać pracę sto kilometrów od domu, dowiadujemy się od helsińskich amatorów przyrody, że to niedobrze. Od takich uprzywilejowanych ubijaczy ekójaj jak ty, którzy uskarżają się, że muszą dwie minuty przesiedzieć w tramwaju, wysłuchujemy, że powinniśmy żyć o zapachu igliwia i szumie strumyka.

To głównie przez takich jak ty bezkręgowych fanów herbaty ziołowej sprawy w tym kraju mają się do dupy. Piszesz między innymi, że górnictwo w Finlandii się nie opłaca. A czy opłaca się utrzymać ciebie? Wygooglowałem twoje nazwisko i dowiedziałem się, że co najmniej trzy twoje projekty zostały sfinansowane ze stypendiów. Wcześniej w ogóle o tobie nie

słyszałem, więc najwyraźniej nie były to zbyt udane projekty. Nie dziwota. Jeżeli do tej pory pisałeś równie głupio, jak teraz na temat przemysłu wydobywczego, to tamtymi pewnie wytarto sobie ze dwa, trzy razy tyłek, zanim skrupulatnie wrzucono je do tak przez ciebie wielbionego kontenera na makulaturę.

Przede wszystkim wkurza mnie zarozumiałość twoja i tobie podobnych. Nawet przez jeden dzień życia nie wykonywaliście prawdziwej roboty, a mimo to niemal codziennie piszecie, co w Finlandii się opłaca, a co nie, dyktujecie, jak myśleć i jak żyć, jak wzajemnie się rozumieć i jak często się przytulać. Czy kiedykolwiek zastanawialiście się, dlaczego wszyscy was tak nienawidzą? Czy to wam w ogóle przeszło przez myśl, kiedy tak objacie się w tych swoich włóczkowych czapkach i bawicie się iPadami? Czy dociera do was, że to wy jesteście problemem, który staracie się rozwiązać, nosząc na nosie modne okulary?

Twierdzicie, że chronicie środowisko, chociaż w lesie zabłądzilibyście, zanim uszlibyście sto metrów. Tego samego dnia, kiedy utyskujecie na efekt cieplarniany, kupujecie nowego smartfona i lot na wakacje do jakiegoś zagranicznego miasta. Twierdzicie, że kochacie drzewa, domagacie się ich przed wejściem do ulubionej kawiarni, ale nie rozróżniacie żadnego gatunku, z wyjątkiem choinki, którą kupujecie na lokalnym bazarku. (I przepłacacie jakieś 79 euro z ceny świerku, który kosztuje w stolicy 80 euro, co oczywiście jest sprawiedliwe, ale jest też dowodem waszej ignorancji, za sprawą której wydaje się wam, że wszystko wiecie najlepiej). Waszym zdaniem bolączki tego świata wynikają z tego, że inni ludzie to zachłanni, mięsożerni rasiści.

Na szczęście ręka sprawiedliwości was dosięgnie i utoniecie w gównie. I nie mówię o produktach ubocznych powstających przy okazji wydobywania surowców w tej czy innej kopalni. Naprawdę nie. Utoniecie wszyscy w tym gównie, do którego ty też się zaliczasz:

egocentrycznej zarozumiałości, braku moralnego kręgosłupa i chowu wsobnego.

Na zakończenie: gorąco zapraszam cię tutaj, na twardą, zimną północ. Możliwe, że ci się tak spodoba, że zostaniesz tu na zawsze.

Raimo Minkkinen
Redaktor na emeryturze
Suomalahti

Wiadomość nieznanego mi Minkkinena należała do najbardziej rzeczowych tego poranka. Kolejne były bardziej bezpośrednie i, naturalnie, anonimowe. Wynikało z nich, że jestem komunistą, marzycielem, obciążam zielonym politykom, wywodzę się od zdrajców ojczyzny, próbuję zamienić Finlandię w Somalię, hoduję konopie i żywię się kielkami, które nawożę własnymi odchodami, i zasługuję, rzecz jasna, na ukamienowanie lub – bardziej w duchu fińskim – należy mnie zakopać na tyłach sauny.

Nie dostałem ani jednej wiadomości z podziękowaniami. Albo chociaż przyznającej mi rację.

Po południu Hutrila wezwał mnie do siebie. Rozmowę prowadził jak zawsze na stojąco.

– Na czym stoimy?

– Blog wzbudził spore zainteresowanie – powiedziałem szybko, żeby zdążyć przedstawić sprawę, zanim mi przerwie. – To tak na apetyt. Chcę napisać duży artykuł. Mam sporo materiału. Potrzebuję czasu. W żadnym wypadku nie zdążę z tym na jutrzejsze wydanie.

– Czemu miałbyś z tym zdążyć do jutrzejszego wydania?

– Myślałem, że o to ci chodziło.

– Nie. Kim jest twój informator?

Proste pytanie od szefa. Mimo to, a pewnie nawet właśnie dlatego, powiedziałem:

– Nie mogę tego zdradzić.

Hutрила podparł łokieć na prawej dłoni i palcem wskazującym dotknął brody.

– Gdzie znalazłeś materiały Lehtinena?

– U jego córki.

– Nie wiedziałem, że miał córkę.

– To chyba nie miało związku z pracą. – Wzruszyłem ramionami.

– Jak je dostałeś?

Staliśmy naprzeciw siebie, nie odrywając wzroku jeden od drugiego.

– Wiedziałem coś, czego inni nie wiedzieli.

– I oczywiście nie powiesz, co to takiego.

– Nie.

Hutрила wlepił we mnie swoje szare oczy; nawet nie mrugnął.

– Proponuję, żebyś nabrał nieco pokory w swojej działalności.

– Nie chciałem...

– Mimo wszystko jestem twoim szefem. Dostałeś jakieś odpowiedzi na ten wpis?

Zaskoczył mnie ten zwrot. Odparłem, że owszem, dostałem. Opowiedziałem, jakie jest zdanie innych, co myślą o mnie i naszej gazecie.

– Brzmi nieźle. – Hutрила opuścił rękę i rozluźnił się. Oznaczało to koniec spotkania.

Wyszedłem z biura i przeczytałem nowe wiadomości. Nic nowego. Z jednym wyjątkiem. Spojrzałem na zegarek, a potem za okno.

Padał mokry śnieg.

3

Zacinający mokry śnieg i wiatr od morza zmiotły z drogi wszelkie ślady życia. Mustikkamaa była wyludniona. Na parkingu stał jeden samochód. Podszedłem do niego, otworzyłem drzwi i wsiadłem.

– Telefon – odezwała się Marjo Harjukangas.

Wyciągnąłem telefon z kieszeni i pokazałem jej. To jednak nie wystarczało. Wzięła aparat do ręki, upuściła do schowka między siedzeniami i zatrzasnęła pokrywę. Miała wyraźnie zły humor.

– Jakież inne urządzenia?

Pokręciłem głową.

– Mogę sprawdzić...

Harjukangas pomacała kieszenie mojej kurtki i szybko poklepała przednie kieszenie w dzinsach.

– Przejdźmy się – zakomenderowała.

Wysiedliśmy z samochodu. Wyglądało na to, że trasę zaplanowała z góry. Szedłem obok niej w stronę skraju lasu, który znajdował się między kortami tenisowymi a boiskami do piłki nożnej.

– Najwyraźniej przeczytałaś artykuł – zagailem.

Poruszaliśmy się zwawo naprzód. Śnieg wpadał mi za kołnierz.

– To amatorski błąd – odezwała się Harjukangas.

– Chodzi ci o to, że wspomniałem o informatorze z wewnątrz.

Nie wytłumaczyłem jej, dlaczego uznałem to za nieodzowne. Chciałem zdenerwować nieco głównych zainteresowanych. Między postawionym na sztorc kołnierzem kurtki a czapką przeświecał mniej więcej dwunastocentymetrowy pasek jej twarzy. Oczy, nos, usta.

– Za wcześnie – powiedziała. – Za wcześnie to wyszło. Ale to niejedyny powód. Główny powód jest taki, że twój szef na pewno zainteresował się sprawą i chce wiedzieć, kim jest informator.

Milczałem.

– Czyli zgadłam.

Kroki biegaczki. Energicznie prowadzące naprzód, lekkie.

– Powiedziałeś mu?

– Nie.

– Już raz się zapytałam i rozczarowałam się. Zapytam ponownie: czy można ci ufać?

– Oczywiście.

– Nie odpowiadaj za szybko. To budzi nieufność.

Bezlistne drzewa, szary horyzont pełen ciężkiego śniegu.

– Pamiętaj też – dodała Harjukangas – że jeżeli podejmujesz się interpretacji, powinieneś interpretować poprawnie.

Dotarliśmy do południowego brzegu wyspy i ruszyliśmy wzdłuż niego. Szliśmy przez tę część ścieżki, którą ostatnio opuściliśmy. Harjukangas musiała rozładować swoje niepokoje i frustracje. Byłem pewien, że zaraz przejdzie do rzeczy.

– Pamiętasz, jak tydzień temu zdarzył się wypadek, w którym zmarł jeden z członków kierownictwa? – zapytała podczas podejścia pod małą górkę.

– Tak.

– Straciliśmy też drugiego ze ścisłej góry, Alana Stilsona.

– Co się stało?

– Nie mam pojęcia. Ale wiem jedno. Najpierw podejrzewano atak choroby, ale teraz wydział kryminalny bada zarówno śmierć Stilsona, jak i Karmia. Tę drugą uważano jak dotąd za nieszczęśliwy wypadek.

Wciągnąłem powietrze.

– Jeżeli zajęła się tym kryminalna...

– No właśnie – odpowiedziała Harjukangas.

– Postaram się to wyjaśnić.

– Mam nadzieję.

– Czy masz pojęcie...?

– Groźby przychodziły od lat – powiedziała. – Kiedyś się o nich dużo mówiło. Czy należy je brać na poważnie, a jeśli tak, to na ile poważnie.

– Jakie groźby?

– Śmierć...

– Chodziło mi o to, co sprawiło, że ktoś zaczął wam grozić.

– Najpoważniejsze pogroźki wiązały się na pewno z obrońcami przyrody. Ja też je dostawałam. Skoro wy niszczyacie naturę, my zniszczymy was.

– Udało wam się ustalić, kto to przysyłał?

– Nie – odparła szybko, ale niemal natychmiast dodała: – W jednym przypadku grupa podała nazwę. Czarne Skrzydło. Czy może Czarnoskrzydli. Już nie pamiętam dokładnie. Zresztą nie ma to znaczenia, bo nic podobnego nigdy nie zostało zarejestrowane i nikt o nich nie słyszał.

Wspięliśmy się na wzgórze i doszliśmy do kortów tenisowych. Za nimi znajdował się parking, na którym stała samotna skoda octavia.

– Oddam ci telefon – powiedziała Harjukangas, nie patrząc w moją stronę. – Ale cię nie podwiozę. Na to trzeba zasłużyć.

Pracowałem do >wpół do dziesiątej. Dzwoniłem po kolegach z redakcji w nadziei, że dostanę jakiś sensowny kontakt w kryminalnej. Wiłem się jak piskorz. Każdy, z kim zaczynałem rozmawiać, wyczuwał, że jestem na tropie czegoś dużego. W końcu dostałem numer.

Podkomisarz Halonen niemal natychmiast przejął kontrolę nad rozmową, i zaczął mnie wypytywać. Skąd przyszedł mi do głowy podobny pomysł? Kiedy? Kto mi zarekomendował, żeby to do niego właśnie zadzwonić? Zakończyłem rozmowę, zanim rozpoczęło się oficjalne przesłuchanie. Nie byłem wcale mądrzejszy niż wcześniej.

Część papierów Lehtinena znajdowała się w pudełku pod moim biurkiem. Większość schowałem w jednej z szafek na dole

w kuchni. Wyjąłem te spod biurka i zacząłem przeglądać. Byłem zbyt zmęczony.

Życzyłem więc owocnej pracy nocnym markom, czyli Pohjanheimowi i Hannikainenowi, którzy jeszcze stukali coś przy swoich biurkach, i ruszyłem do stacji metra oddalonej dwieście metrów od redakcji. Natychmiast osaczył mnie mróz, śnieg padał równomiernie. Romscy żebracy w podartych ubraniach zjadali hamburgera za euro pod daszkiem przed McDonaldem. Grupa rażąco młodych narkomanów w markowych adidasach, džinsach i z plecakami darła się na siebie w brzydkim, przeszklonym holu przed wejściem na peron. Po schodach zjeżdżałem wśród wszechogarniającej mnie samotności. Kiedy na stację wjechał pomarańczowy wagon, dotarło do mnie, że przez cały dzień nie miałem żadnej wiadomości od Pauliiny. Na stacji Herttoniemi przesiadłem się w autobus, który zawiózł mnie przez ciemne osiedla do domu.

Nie zastałem tam powitania godnego powrotu dziennikarskiego bohatera. Pauliina była w kuchni.

– Jak tam Ella? – spytałem.

– Dobrze – powiedziała Pauliina, klepiąc coś w komputer.

– Czytałaś artykuł?

– Nie zdążyłam. Musiałam się potwornie uwijać, przygotowując dla Elli śniadanie. Wcześniej zmieniałam jej przecież opatrunek.

Popatrzyliśmy na siebie. Niezbyt ciepło. Wyjąłem z lodówki karton soku jagodowego, nalałem sobie do szklanki i usiadłem naprzeciwko Pauliiny. Podniosła wzrok znad ekranu, zdjęła z włosów gumkę i rozpuściła.

– Strasznie się rano spieszyłyśmy – odezwała się. – Byłoby lepiej, gdybyś mi powiedział, że tak wcześnie wychodzisz. Denerwowałam się, że nie zdążę na rozmowę.

– Na rozmowę? – spytałem i w tym momencie dotarło do mnie, co zrobiłem.

W spojrzeniu Pauliiny mieszały się rozczarowanie i wstręt.

– Zapomniałeś.

Tak. Zapomniałem. Teraz już sobie przypominałem. Rozmowa o pracę, którą od dawna się przejmowała. Opowiadała o niej już przed kilkoma tygodniami.

– Przepraszam – bąknąłem. – To moje...

– Twoje.

– Wszystko dzieje się w takim tempie...

– U ciebie.

Na dnie szklanki była jeszcze resztką soku. Jak pociemniała krew. Nie wiem, dlaczego akurat tak mi się to skojarzyło.

– Ciągle tylko ty, ty i ty.

Czułem potworne zmęczenie. Było już późno. Popełniłem błąd. To mnie gryzło najbardziej, poza wszystkim innym. Pauliina wprawnymi ruchami znów ściągnęła włosy w koński ogon.

– Jak ci poszło? – zapytałem.

– Dymaj się – rzuciła cicho, przez co zabrzmiało to jeszcze bardziej zdecydowanie.

Oparła się na krzesło i złożyła ręce na piersiach. Jeszcze nigdy nie patrzyła na mnie w ten sposób.

– To nie ja przestałem próbować – odezwałem się po chwili.

– Co próbować? Posuwać mnie? Owszem, to ty przestałeś.

– Widać miałem powód – powiedziałem zbyt szybko. Słowa poleciały na stół i teraz leżały tam brzydkie i nieodwołalne.

– Dobrze wiedzieć. Ty też nie jesteś taki cudowny.

– Coś jeszcze?

Pauliina wzruszyła ramionami.

– Oprócz tego, że w łóżku jesteś co najwyżej przeciętny? Tak, jest jeszcze parę spraw. Twój oddech śmierdzi kwaszoną kapustą i zepsutą rybą. Nie można z tobą nawet przez minutę porozmawiać o czymś innym niż ty i twoje osiągnięcia. Które zresztą nawet w połowie nie odpowiadają twoim wyobrażeniom. Mam mówić dalej?

– To po jaką cholere ze mną jesteś?

– Należałoby raczej zapytać, dlaczego ty tu jeszcze jesteś. Przecież nie interesuje cię nic oprócz ciebie samego. Dziecko rani

się w rękę, twoja partnerka ma najważniejszą w życiu rozmowę o pracę. Może należałoby ustalić, kto przyprowadzi i odprowadzi dziecko, zorganizować codzienne życie. Ale ciebie to nie obchodzi.

– Obchodzi, tylko...

– W kółko tylko, tylko. Tak, tylko. Już, już, tylko, tylko, tylko.

– Dość tego! – Szurnąłem szklanką po blacie. Na stole pozostała krwista plama po soku. – Do cholery!

– Rzeczywiście – powiedziała Pauliina. – Śpisz dzisiaj na kanapie.

Nie zamierzałem spać na kanapie. Poszedłem do przedpokoju, ubrałem się, zarzuciłem torbę na ramię i wyszedłem. Dotarłem na przystanek autobusowy, sprawdziłem rozkład i poszedłem na następny przystanek. Śnieg padał dużymi, rzadkimi płatami, mróz lśnił na powierzchni jezdni. Nadszedł autobus, wsiadłem i podjechałem do Hakaniemi. Hannikainen nadal tkwił przy biurku. Podniósł głowę, ale nie wiedziałem, czy rzeczywiście mnie zauważył.

Włączyłem komputer, chociaż zdawałem sobie sprawę, że to bez sensu. Nie miałem siły pisać, nie miałem siły myśleć. Wyłączyłem komputer, wyszedłem i instynktownie skierowałem się do centrum. Kawalek przed mostem Pitkäsiltä zadałem sobie pytanie, dokąd się wybieram, lecz nie umiałem na nie odpowiedzieć. Najważniejsze było, żeby iść, oddychać. Skręciłem w prawo drogą nad brzegiem zatoki. Śnieg wpadał do morza i znikał w nim. Nagie drzewa wzdłuż alei wyglądały jak skamieniałe. Ciemność parku Kaisaniemi po drugiej stronie zatoki, nad nią poświata okalająca centrum, zimne, czyste nocne powietrze. Kilkadziesiąt metrów przede mną widniał cypel.

To miejsce należało do moich ulubionych, jedyna w swoim rodzaju samotnia w samym sercu Helsinek. Jeżeli stanęło się plecami do stuletnich kamienic i popatrzyło nad zatoką na wznoszące się naprzeciwko Töölö, można było sobie wyobrazić, że jest się na wyspie. Przeszedłem przez ulicę i dotarłem do

brzegu, gdzie drzewa pochylały się nad morzem. Daleko przede mną i daleko za mną słychać było odgłosy miasta. Popatrzyłem w niebo. Płatki śniegu zostawiały na mojej twarzy zimne kropki, po czym niemal natychmiast znikwały. Stałem tak, dopóki zimno nie zmusiło mnie do dalszego marszu. Wróciłem na chodnik i kiedy doszedłem do rogu, obejrzałem się przez ramię. Z tej strony, z której przyszedłem, zmierzał w moim kierunku barczysty mężczyzna. Jego ruchy wydały mi się znajome. Ruszyłem dalej przed siebie. Z cypla wychodziły dwie drogi i brzeg Säästöpankki bardziej mi odpowiadał. Gdy za rogiem zobaczyłem światła Hakaniemi, upewniłem się, że nie jestem sam na świecie; pomyślałem, że może niepotrzebnie się spłoszyłem.

Szedłem w stronę światła, byle dalej od samotnego cypla, byle dalej od ciemnej zatoki. Teraz ulica skręcała łagodnym łukiem w stronę okrągłego biurowca i zobaczyłem sylwetkę mężczyzny, który kogoś mi przypominał. Nie potrafiłem go jednak z nikim skojarzyć. Doszedłem do rogu Saarinniemenkatu.

Przecznica ciągnęła się od jednej zatoki do drugiej. Po drugiej stronie ulicy zobaczyłem tego samego faceta co na cyplu. Zimno wdarło się do mojego żołądka, zaparło mi dech. Ten drugi, którego sylwetkę widziałem przed chwilą, ruszył wzdłuż bulwaru w moją stronę. Już wiedziałem, gdzie go spotkałem – Suomalahti, przy bramie kopalni, z resztkami fast foodu na brodzie. Kilkoma krokami skorygowałem kierunek; serce waliło mi jak młotem, kiedy przechodziłem na drugą stronę jezdni i wbiegłem po schodkach do knajpy Juttutupa.

W środku otoczyło mnie błogie, upajające ciepło; sala pękała w szwach. Podeszedłem do baru, zamówiłem piwo i brandy i spróbowałem wytłumaczyć samemu sobie, co się przed chwilą zdarzyło. Albo traciłem rozum, albo ktoś mnie śledził. Jeżeli to drugie, to gdzie byli teraz ci mężczyźni? Jeśli traciłem rozum, to... Drugie piwo smakowało o wiele lepiej niż pierwsze. Czasem tak bywa.

Poszukałem miejsca po drugiej stronie sali, naprzeciwko sceny. Nieznany mi duet gitarowy wykonywał jakąś przygnębiającą balladę. Jeden z gitarzystów śpiewał po angielsku historię o tym, jak kobieta zdradziła, zostawiła i zabrała jego ulubioną patelnię. Styl country. Opróżniłem szybko kufel i poszedłem po następny. Piwo smakowało tym lepiej, im szybciej i więcej się go piło. Wiedziałem, że coś takiego ma swoje konsekwencje. No i co z tego! Śledzono mnie, mój związek się rozpadał. Do cholery z tym wszystkim! Pociągnąłem porządnie piwa, kiedy za plecami usłyszałem:

– Przyszedłeś posłuchać muzyki?

4

Tytuł książki brzmiał *Potwory*. Miała ukoić mu nerwy. Emil znalazł ją w komisie naprzeciwko hali sportowej w Töölö.

Cesarzowa Liwia – czytał Emil – wytruła potencjalnych konkurentów, swoich synów, a nawet własnego męża, Oktawiana Augusta. Synowie nie przyszli na jej pogrzeb.

Żołnierze Bazylego II wykłuli oczy piętnastu tysiącom bułgarskich jeńców. Mężczyzn odesłano do domu w grupach po stu, prowadzonych przez jednookiego przewodnika.

Andronik I Komnen udusił panującego króla cięciwą łuku i ożenił się z jedenastoletnią wdową. Sam miał wtedy sześćdziesiąt pięć lat. Kiedy pozbawiono go władzy, tłum nabił go na pał; wyrwano mu brodę, obcięto ręce, wybito zęby i wykłuto jedno oko.

Gilles de Rais zadręczył, zgwałcił i zamordował dwieście młodych chłopców i dziewcząt. Swoje ofiary wieszał na suficie i przywiązywał do podłogi w komnacie tortur. Gwałcił je i wyrwał im wnętrzności. Głowy najpiękniejszych zdobyczy odcinał i przechowywał, żeby później się nimi napawać.

Tomás de Torquemada, pierwszy wielki inkwizytor, ogłosił, że heretycy, a w szczególności żydzi, stanowią śmiertelne zagrożenie dla duszy Hiszpanii. Kazał spalić na stosie ponad dwa tysiące ludzi i przywłaszczył sobie mienie oraz nieruchomości należące do osób, którym udowodnił, że są heretykami. Przyznanie się wymuszano torturami: „widełki heretyków”, których ostrza wbijano w skórę podejrzanych, zakłócały sen, doprowadzając do szaleństwa; rozwarcie się wciśniętej do ust „żelaznej gruszki” miażdżyło zęby i żuchwę; madejowe łoże

wyłamywało kołowrotem kończyny ze stawów, a następnie wrywało członki – jako pierwsze ramiona.

Instrukcje Włodzimierza Lenina z roku 1918: 1. Powieście (upewniwszy się, że ludzie patrzą) przynajmniej stu znanych kułaków, ludzi bogatych, krwiopijców. 2. Opublikujcie ich nazwiska. 3. Przejmijcie ich całe zboże. Zróbcie to tak, żeby ludzie w promieniu stu kilometrów widzieli, drżeli, wiedzieli i krzyczeli: „Duszą i zaduszą na śmierć krwiopijczych kułaków”. Wasz Lenin.

Grupy dowodzone przez chorwackiego faszystę Ante Pavelicia dawały tym, którzy przetrwali zbiorowe mordy i obozy zagłady, dwa wyjścia: śmierć lub katolicyzm. Niektórzy mogli spróbować obu naraz. W 1941 roku we wsi Glina kilkuset Serbów zamknięto w małym kościele podczas ceremonii nawrócenia i podpalono budynek.

Mao Zedong: „Musimy zabijać. Jesteśmy zdania, że dobrze jest zabijać”. Podczas gdy Chińczycy cierpieli najdotkliwszy głód w historii, Mao sprzedawał zboże za granicę, żeby mieć pieniądze na zakup broni. Trzydzieści osiem milionów ludzi umarło. Mao unikał mycia się. Plotka głosi, że z jego ciała wykluły się larwy.

Ławrientij Beria uwielbiał torturować. Stalin kochał Berię, który mówił: „Dajcie mi go na jedną noc, a przyzna się, że jest królem Anglii”. Beria uwielbiał przemoc. Obdzierał ludzi ze skóry, wsadzał im węże do ust, wrywał języki, uszy, wyłupiał oczy. To, co robił swoim przeciwnikom, robił też własnej rodzinie.

Heinrich Himmler jako dziecko był smukły, grał w szachy i zbierał znaczki. Był mężczyzną o słabym kręgosłupie, który na strychu trzymał meble i książki zrobione z kości i skóry żydów. Heinrich Himmler był skrupulatnym, wydajnym biurokratą: w kilka lat zorganizował zbiorowe zabójstwo sześciu milionów ludzi.

Pol Pot stworzył w Kambodży komunistyczną utopię, w której czas miał się liczyć od roku zerowego. Wszystko co niekomunistyczne trzeba było wymazać. Zamknięto gazety, inteligencję wybito. Rozkaz pojmano szeroko: okularników

zabijano jako „burżuazyjnych mądrali”. Ostatecznie wymordowano jedną trzecią ludności: większość żelaznymi prętami, siekierami i młotami. Żołnierze mieli oszczędzać pociski.

Idi Amin lubił ludzkie mięso. Odwiedzał kostnice, gdzie prosił, żeby pozostawiono go samego z ciałem. Swoje ofiary wieszał na drzewach. Amin kazał się nosić w lektyce.

Saddam Husajn chciał osobiście dozorować egzekucje swoich przeciwników. Stosował sarin do likwidowania kurdyjskich dzieci. Jego synowie byli psychopatami. Torturowanie sprawiało im przyjemność.

Turkmenbasza wzniósł wysoką na czterdzieści metrów połączoną statuetkę samego siebie pośrodku Turkmenistanu, naprzeciwko pałacu. Nadał nowe nazwy dniom tygodnia i opracował pomysłowe metody tortur. Jedną z nich polegała na założeniu maski gazowej i odcięciu dopływu powietrza; w uszy wtykano słuchawki, przez które torturowany słyszał, jak zamęcza się jego bliskich. W ciągu doby pomnik wykonuje pełen obrót wokół własnej osi.

Emil wstał i podszedł do okna. Świadomość, że na przestrzeni wieków ktoś kogoś okaleczył, zniewolił, wyrywał zęby, chłostał i zjadał ludzkie mięso, i robi to nadal, nie umniejszała jego winy. Nie stawiało go to w lepszym świetle, nie pozwalało na porównania i relatywizowanie, nie pozwalało zapomnieć, puścić w niepamięć. Stawiało go to raczej w krwawym rzędzie ze złymi facetami, którzy wyrywali ręce i głowy niewinnych ludzi, nudno i bezsensownie powtarzając koło historii. Myślenie o tym doprowadziłoby do szaleństwa i rozpaczki każdego, komu na rozważania starczyłoby sił na dłużej niż minutę.

Coś się zmieniło. Noc wydawała się inna. Już nie stanowiła osłony. Poruszał się w niej jak wzdłuż zasłony, w której nie może znaleźć szpary, żeby zanurkować w ciemność.

5

Pełen drink w prawej ręce, w lewej szara paczka belmontów. Maarit Lehtinen.

– Co takiego? – spytałem zmieszany.

– Muzyki – powtórzyła Maarit i machnęła lewą ręką w kierunku wykonawców.

Zupełnie zapomniałem o duecie country. Nie słyszałem już ich grania.

– Nie. Tak. Usiądź. To znaczy nie musisz. Jeżeli z kimś przyszłaś. Ale tak poza tym. To proszę.

Słowa wychodzące z moich ust brzmiały dokładnie tak samo nierealnie i niezgrabnie, jak w moim umyśle. Maarit namyślała się chwilę, zanim usiadła. Zajęła miejsce na kanapie blisko mnie, ale patrzyła jakby nieco w bok. Może chciała mieć widok na muzyków, których repertuar i rytm zmieniały kierunek w stronę wesołych pijackich przyśpiewek.

Promieniowała z niej pewność siebie, z jej niebieskich oczu była przejmująca jasność; do tego egzotyczne rysy twarzy i nagie ramiona.

– Sam tutaj pijesz?

– Mam nadzieję – odpowiedziałem.

Maarit spojrzała na mnie pytająco.

– Nic takiego. Zapomnij, że to powiedziałem. Co tutaj robisz?

– Przyszłam posłuchać muzyki. Wykonawcy to moi znajomi.

Wszystko u ciebie w porządku?

Napiłem się łąpczywie piwa.

– W absolutnym porządeczku.

– Czytałam twój artykuł. Strasznie krótki.

– Dłuższy jeszcze... no, pracuję nad tym nadal.

– Znalazłeś w papierach mojego taty to, czego szukałeś?

Popatrzyłem na Maarit.

– Sporo ciekawego materiału.

– To wszystko?

W jej tonie wyczułem coś więcej niż tylko słowa. Rozparłem się wygodniej na kanapie.

– Mogę cię zaprosić na jednego? – zapytałem.

Wskazała głową swoją szklanekę, nadal pełną.

– Piję tylko jednego na raz, dziękuję.

Fakt. Wlałem sobie do gardła brandy.

– A kiedy nastąpi ciąg dalszy? – spytała Maarit.

– Chwileczkę – rzuciłem.

Poszedłem do baru i zamówiłem brandy i piwo. Płyn w szklance Maarit jakoś nie ubywało.

– Mogę o coś zapytać?

– Jasne – odparła. – Zawsze mogę odmówić odpowiedzi.

– Czy ty i ojciec byliście sobie bliscy?

Dotarło do mnie, jak bardzo jestem wstawiony. Mówiłem do niej, jakbyśmy byli starymi znajomymi, jakbyśmy stali po tej samej stronie ważnej barykady. Tak czułem, chociaż wiedziałem, że jestem potwornie naprany. W chwili gdy podnosiłem szklanekę ze stołu, Maarit spojrzała obok mnie i niemal niezauważalnie pokręciła głową. Musiała to być reakcja na moje pytanie. Już miałem się wycofać, kiedy oznajmiła:

– Jeżeli mam być szczerą, to nie wiem. Nie mam porównania do nikogo innego. Mogę polegać jedynie na własnym doświadczeniu. Dużo rzeczy robiliśmy razem, opowiadaliśmy sobie, co mniej więcej u nas słyhać... oczywiście z zachowaniem pewnej ostrożności. Są rzeczy, których ojciec nie chce usłyszeć od córki i których córka nie chce usłyszeć od ojca, choć obie strony mają pewną świadomość tych rzeczy.

– Jasne.

– Mieliśmy różne wspólne zainteresowania. Dość często dyskutowaliśmy. Czy to nas czyniło bliskimi sobie?

Siorbnąłem brandy. Już nie paliła w przelyku, smakowała ciepło i przyjemnie. Spojrzałem na Maarit.

– Całkiem możliwe – odparłem najpierw, po czym zaraz dodałem: – Tak, czyni.

– Czemu pytasz?

Kanapa była miękka, alkohol rozgrzewał, dyskretne oświetlenie knajpy eksponowało rysy Maarit.

– Niedawno spotkałem swojego ojca, po raz pierwszy od trzydziestu lat. Można chyba powiedzieć, że nie jesteśmy sobie bliscy.

Maarit napiła się. Zorientowałem się, że uważnie mi się przygląda, bardzo uważnie.

– Od razu go poznałem – powiedziałem. – Poznałem, choć go nie znałem. Pogadaliśmy trochę. Opowiedzieliśmy sobie, gdzie pracujemy, gdzie mieszkamy, czy mamy rodziny. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

– Mój ojciec nie robił tak długich przerw, chociaż też go sporo nie było. To chyba typowe dla ojców. Że ich nie ma.

Przeszył mnie zimny dreszcz.

Ellu. Wybacz mi.

– Pewnie tak – przyznałem.

– Ale chyba nikt z nas nie jest ideałem.

– Nikt taki nie przychodzi mi w tej chwili do głowy.

Maarit się uśmiechnęła. Po raz pierwszy jej uśmiech był skierowany do mnie, tylko do mnie; towarzyszyło mu spojrzenie niebieskich oczu. Zauważyłem, że prawie dopiła drinka.

– Co byś powiedziała, gdybym poszedł i przyniósł nam coś do picia – zaproponowałem.

Tego wieczoru jeszcze wiele razy szedłem do baru. Coś zaskoczyło. Coraz lepiej nam się rozmawiało.

Mówiliśmy o wszystkim, otworzyliśmy przed sobą serca. Kiedy knajpę zamykano, wyszliśmy na mróz, trzymając się za ręce. Powiedziałem, że odprowadzę ją do domu. Umysł miałem lekki, podobnie jak nogi. Upojenie było świeże i mocne, nie spowalniające i nużące. Miałem wrażenie, że wszystko się

układa. Przede mną wielkie wyzwania. Dojdę do sedna sprawy, zbuduję relacje z ojcem. Pauliina wreszcie się uspokoi, kiedy tylko uda mi się jej wszystko wytłumaczyć. Nawet jeżeli mnie śledzono, wynikało to z tego, że jestem człowiekiem sukcesu. Za wszystko trzeba zapłacić, wszystko ma swoją cenę. Maarit – Maarit, którą obejmowałem ciepłem swojego ramienia, żeby ochronić ją przed mrozem – zostanie moją przyjaciółką. Wyjątkowo dobrą, wyjątkowo bliską przyjaciółką.

Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie, nasze oddechy parowały wśród powracającej śnieżycy. Było tak cicho, że mogłem usłyszeć bicie serca Maarit. Spoglądaliśmy za unoszącą się parą, nasze wargi się spotkały. Słodki, gorący pocałunek stał w takiej sprzeczności z otaczającym nas zimnem i rozpuszczającymi się na policzkach płatkami śniegu, że nie mogliśmy się od siebie oderwać, choć ledwie starczało nam tchu. Kiedy wreszcie odkleiliśmy się od siebie, z jakiegoś powodu poczułem w ustach krew.

Już w windzie rozpięliśmy spodnie. Ciemnobrązowe drewniane ściany starej windy i czarna podłoga zgrzytały i trzeszczały, na każdym piętrze winda wydawała z siebie ciche westchnienie.

Szóste piętro. Niemal zmiądzylem sobie rękę, energicznie odsuwając żelazne kraty na bok.

Zwaliliśmy się na podłogę w przedpokoju.

6

Wiadomość zawierała tylko dwadzieścia dwa słowa. Nie starczyłoby ich nawet po jednym na każdy rok. A jednak zdawało mu się, że upływ czasu nie ma znaczenia, że nie umiałby odróżnić dnia od roku. Z piersi buchał gorąc, ciało napełniała nadzieja i siła podobna do młodości.

Cześć, Emilu, zastanawiałam się nad tym, co powiedziałeś. Powinniśmy się spotkać. Mam czas rano i wieczorem, w dzień jestem w pracy. Leena.

Wykonywał poranną gimnastykę, starannie się rozciągał, jednocześnie porządkując umysł z chaosu nocy i koszmarów.

Po raz pierwszy od dawna przygotował sobie solidne śniadanie: jajka sadzone z płynnym żółtkiem, chrupiący boczek i miękki chleb, wątrobiankę, odtłuszczony jogurt z jagodami z mrożonki. I kawę, kawę, kawę.

Usiadł w oknie i patrzył, jak wstaje nowy dzień.

7

Dzień zapowiadał się masakrycznie. Leżałem na plecach. Nagi. Przebiegały przede mną urywki wspomnień minionej nocy, słowa i czyny. Głównie czyny. Maarit spała obok mnie, również nago. Nasze ciała były blade, białe, obnażone. Czarne niczym batuta dyrygenta wskazówki szarego zegara ściennego wskazywały za pięć dziewiątą. Pauliina zaprowadziła Ellę do żłobka już pół godziny temu. Oddychałem przez usta i starałem się pomyśleć o jakimś innym wyjściu niż skok z okna i lot w kierunku litościwego asfaltu.

Nie był to pierwszy raz. Jednak pierwszy od czasu Pauliiny. Nie chciałem dalej o tym myśleć. Zmusiłem się do podniesienia się do pozycji siedzącej i sięgnąłem po leżące na podłodze spodnie. Wciągnąłem je na nogi i wstałem. Uparty zegar nie chciał stanąć w miejscu.

– Kawa jest w szafce nad ekspresem.

Obróciłem się. Maarit nie wyglądała na przepitą.

– Jeżeli masz ochotę – dodała.

Znów spojrzałem na zegar. Już i tak było za późno, spóźniłem się niewybaczalnie. Właściwie nie chciałem zostawać, ale uznałem, że to w niczym nie pogorszy mojego położenia.

Odmierzając wodę i kawę, poczułem się jeszcze gorzej niż wcześniej. Nie w sensie fizycznym, lecz psychicznym. Usiadłem przy małym, kwadratowym stole. W innych okolicznościach pomyślałbym, że to bardzo ładna, przestronna kawalerka. Nieco ponad trzydzieści jasnych metrów kwadratowych, pięknie polakierowana sosnowa podłoga, dwa wysokie okna z jednej strony i jeden mniejszy kwadracik naprzeciwko. Byliśmy

wysoko. Odbijające promienie porannego słońca dachy przypominały zastygłe fale.

Ekspres do kawy brzęczał mi w uszach. Maarit podniosła się z łóżka, włożyła niebieską koszulkę i poszła w niej do toalety. Włączyłem przeglądarkę w telefonie i przejrzałem nagłówki wiadomości.

Wyglądało na to, że nikt inny nie pisze o Suomalahti.

Ta myśl nie przyniosła mi tyle radości, ile powinna, natomiast czytanie sprawiało mi ból. Kac spowalniał wszystkie czynności. Tekst nie trzymał się kupy, zapominałem początek zdania, zanim doczytałem do kropki.

– Coś nowego? – zapytała.

Stała obok mnie i patrzyła na telefon.

– Chyba nie – odparłem i zablokowałem klawiaturę.

Maarit nie poruszyła się, więc podniosłem głowę. Popatrzyła na mnie, jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu odwróciła się i wyjęła z szafki kubki, nalała kawy i usiadła po drugiej stronie stołu. Nie miałem pewności, co takiego mówiłem wczoraj wieczorem i w nocy. Wskazała głową telefon.

– Kiedy wreszcie czegoś się dowiemy?

W spojrzeniu Maarit, początkowo bezpośrednim i pytającym, szybko pojawiło się zwątpienie.

– Tak się tylko zastanawiałam – powiedziała. – Materiały mojego taty i...

Położyłem telefon przy ścianie, za łokciem. Jakbym chciał, żeby wrócił tam, skąd przyszedł. Usunąć go, tak jak i wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwunastu godzin. W tej samej chwili coś sobie uświadomiłem.

Byłem własnym ojcem. Chciałem wrócić do czegoś, czego nie było. Z tym że u niego chodziło o czas na przestrzeni trzydziestu lat, a u mnie o kilkanaście godzin. Staraliśmy się nadrobić zaległości. Ale żadnemu się to nie udawało. Porównania nie trzeba było szukać daleko: obaj kopaliśmy własny grób.

– Jeżeli w nocy mówiłem coś o Suomalahti – odezwałem się – możesz wszystko zapomnieć.

– Nie mówiłeś.

Maarit spojrzała za okno ponad moim ramieniem. Siedzieliśmy w milczeniu. Zerknąłem do przedpokoju. Zobaczyłem dzinsową kurtkę i znaczki. Przypomniało mi się, co powiedział sprzedawca na stacji benzynowej w Laponii.

Trzech facetów i jedna babka. Obrońcy przyrody.

– Chciałabyś o tym posłuchać? – spytałem.

Obróciła na tyle głowę, że równie dobrze mogła patrzeć mi w oczy. Wzruszyła ramionami.

– To ważna sprawa – dodałem.

– Na ile ważna?

Maarit poprawiła się na krześle. W jej postawie było coś ze zniecierpliwienia. Coś, co od dawna się w niej kotłowało.

– Tam się coś dzieje. Każdy, kto choć chwilę zastanowi się nad tą sprawą, natychmiast to zrozumie.

– Co zrozumie?

– Że nie ma czegoś takiego jak nieszkodliwe dla środowiska górnictwo. Górnictwo zawsze jest szkodliwe dla środowiska. Taka jest jego natura. Od samego początku. Jeżeli wydobywa się nikiel, to wydobywa się również mangan, fosfor i wiele innych rzeczy. Gdzieś to trzeba składować. Setki hektarów ziemi i zbiorników wodnych, miliony litrów wód gruntowych ulegają zanieczyszczeniu. Kiedy kopalnia zawiesza działalność, teren nigdy nie wraca do stanu początkowego. To jest prawda. I...

– I co?

Maarit popatrzyła na mnie. Miejsce zniecierpliwienia zaczynał zajmować żal, że wybuchła.

– Ktoś coś musi z tym zrobić. Na początek pewien dziennikarz mógłby napisać artykuł.

Wskazówka zegara na ścianie przesunęła się, lodówka zaszumiała. Gdzieś daleko z dołu dobiegał warkot samochodów.

– Mogę zadać ci pytanie? – rzuciłem.

– Już wczoraj ci mówiłam: oczywiście, że możesz pytać, ja niekoniecznie odpowiem.

– Byłaś tam? W Suomalahti?

- Wiem, jak to tam wygląda.
- Co to znaczy?
- Dokładnie to. Przyjrzałam się tej sprawie. Inaczej nie mówiłabym o tym. Nie zapominaj, czyją jestem córką. Jeżeli czymś się zajmuję, to dogłębnie. Uważnie.
- Jeszcze jedno pytanie. Czy to przypadek, że wczoraj spotkaliśmy się w tej knajpie?
- Maarit wypła kawę.
- Idę pod prysznic. Muszę być na dziesiątą w pracy.
- Chwilę później już słyszałem szum wody. Czułem, że znalazłem się w niewłaściwym miejscu. Wypłukałem kubek, ubrałem się i wyszedłem.

8

Tę fotografię przechował przez wszystkie lata. Była naderwana, pożółkła i pościerana na brzegach.

Młoda rodzina liże lody na moście prowadzącym do skansenu Seurasuari. Gorący, letni dzień, świeżo pobielone balustrady mostu, kolorowe – lata osiemdziesiąte to była zbrodnia popełniona na modzie – letnie ubrania, szorty i T-shirty, roczny chłopiec w wózku między mamą i tatą: młodo i szczęśliwie wyglądająca rodzina.

Dzień, kiedy zrobiono tę fotografię: jeden z najlepszych w jego życiu.

Dzień, w którym musiał się ich wyrzec: jeden z najgorszych w jego życiu.

Emil spojrział na obydwa telefony. Jeden numer podał synowi i jego matce. Do tej pory odebrał z niego jedną wiadomość, ale ani jednego połączenia. Z czasem dostrzegał, jakby z góry, z bardzo wysoka, jak bardzo jest samotny. To spoglądające z góry oko widziało, że wokół niego jest obręcz, do której wnętrza od dawna nikt się nie dostał. Nie było łatwo zrezygnować z tego niewidocznego muru ochronnego.

Wziął do ręki aparat, ten z numerem, który znali najbliżsi mu ludzie, i wybrał jeden z dwóch numerów. Po chwili ktoś odebrał.

Równie trudno było mi myśleć o jedzeniu, jak i o tym, że przed chwilą rozmawiałem przez telefon z własnym ojcem. Faktem było, że potrzebowałem świeżego powietrza. Potrzebowałem – jakkolwiek głupio by to brzmiało – opinii kogoś zaufanego i jednocześnie postronnego. Jeżeli przez trzydzieści lat nieobecny ojciec nie był tym kimś, to kto?

Znów zaczął padać śnieg. Wybrałem trasę przy targu. Przejście obok wczorajszej knajpy stanowiło zbyt duże wyzwanie. Wyjąłem telefon z kieszeni i mimo realnego ryzyka odmrożenia palców spróbowałem połączyć się z Pauliną. Włączyła się poczta głosowa. Nie nagrałem się.

Przeszedłem obok okrągłego budynku, który swego czasu wykorzenił stąd piękne secesyjne kamienice, również tak zwany dom Wendta. Ktoś, kto sądzi, że lata sześćdziesiąte były dekadą miłości, powinien poczytać o historii architektury w Helsinkach. Porównując budynki oddane do rozbiórki z tymi, które stanęły na ich miejscu, można stwierdzić wyłącznie jedno: lata sześćdziesiąte były czasem głębokiego rozpadu duchowego i niezmierniej destrukcji materii.

Za budynkiem, od strony Kallio, stała utrzymana w podobnej estetyce kombinacja od dawna nieczynnej budki z hot dogami i stacji benzynowej, kiedyś ucieleśniała ideę drive-thru. Zadaszona wiata z murkiem była jak magnes dla towarzystwa spod ciemnej gwiazdy. Do apteki i monopolowego w okrągłaku było jakieś trzydzieści metrów. Taki dystans można przebyć nawet w najgorszym stanie. Od świtu do późnej nocy pod daszkiem kłębiły się rozpacz i lament. Również teraz. Jakiś facet z nagim tarsem i świeżą szramą przy oku przeklinał padający

śnieg, kobieta obok niego spuściła spodnie i obsikiwała zasępę śniegu.

Poszedłem główną ulicą i skręciłem w lewo. W budynku na rogu znajdowała się tajska restauracja, w porze lunchu zawsze pełna. Ojciec powiedział, że zarezerwował stolik.

Dlaczego właśnie teraz? Dlaczego właśnie teraz, kiedy wszystko inne się waliło?

Przypomniało mi się, jak marzyłem, żeby do nas wrócił, i jak wymyślałem różne wytłumaczenia, dlaczego tego nie zrobił. Pamiętam zmieszane spojrzenie matki towarzyszące wymuszonym uśmiechom. Kiedy moim narzekaniom i tłumaczeniom nie było końca, na jej twarzy pojawiło się zniecierpliwienie, wreszcie smutek.

Nadal wymyślałem różne teorie, by wytłumaczyć nieobecność ojca, aż w końcu zaczynałem czuć to samo co ona – zniecierpliwienie i smutek. Kiedy byłem już dorosły, w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że od wielu lat w ogóle o tym nie myślałem. Nie wiem, kiedy te myśli zniknęły, nie potrafiłem ustalić, kiedy dokładnie się to stało. Gdy sam zostałem ojcem, sprawa zyskała nowy wymiar. Obiecałem sobie, że nigdy nie zostawię Elli. Wspomnienie tej przysięgi i myśl o tym, jak spartoliłem tę noc, przydała ponurości i tak już zimnej i szarej otoczce dnia. Strząsnąłem śnieg z ramion i wszedłem do restauracji.

Ojciec siedział w głębi sali z twarzą zwróconą do drzwi. Podniósł rękę, a ja w kilku krokach znalazłem się obok niego. Uścisk dłoni nie był zbyt mocny, a jednak czuło się w nim siłę. Już przy pierwszym spotkaniu moją uwagę przykuły jego wygląd i ruchy. Siwizna włosów pasowała do reszty. Spojrzenie oczu było wyczekujące, jakby czytało dwukrotnie, najpierw to, co widać, a potem to, co mogło się za tym jeszcze kryć. Szczupłe ciało, smukła sylwetka. Trudno mi było wyobrazić sobie, że naprawdę ma już sześćdziesiąt lat.

– Wyglądasz na zmęczonego – stwierdził, kiedy zamówiliśmy kurczaka w kolendrze i wieprzowinę w ostrym sosie

paprykowym. – Za dużo pracy?

– Tak... to znaczy nie. Pracy jest tyle co trzeba. Ale wszystkiego innego za dużo... w każdym razie sporo.

Nie od razu odpowiedział.

– Czytałem twój artykuł o górnictwie – odezwał się po chwili miękkim głosem. – Na pewno masz przy tym urwanie głowy.

– Można tak powiedzieć.

– Pojawiły się jakieś nowe głosy w tej sprawie? Dowiemy się wkrótce czegoś nowego?

Wszyscy chcą wiedzieć, wszyscy z wyjątkiem Pauliiny.

– Mam nadzieję. Robię co w mojej mocy.

– Czekam z niecierpliwością. Podoba mi się twój stosunek do pracy. Dla mnie praca też była zawsze ważna.

Ważniejsza niż własna rodzina.

– Jak długo zostaniesz w Helsinkach? – Ton, którym zadałem to pytanie, wymknął mi się spod kontroli. Zabrzmiało to jak oskarżenie.

Spojrzenie ojca – czyżby jednak lepiej pasowało słowo ojciec niż Emil? – pozostało spokojne; nie poruszył się.

– Myślę, że zostanę na dobre. Zauważyłem, że bardzo dobrze się tutaj czuję. Są tu ważni dla mnie ludzie.

– Dostaniesz pracę w Helsinkach? – zapytałem i uspokoiłem się; to pytanie zadałem przyjaznym, neutralnym tonem.

– Wygląda na to, że tak.

– W tej samej branży co wcześniej?

Ojciec napił się wody.

– Mogę ci coś pokazać?

Zanim zdążyłem się odezwać, jego ręka powędrowała do kieszeni na piersi i ostrożnie położyła coś na stole.

– Ty, twoja mama i ja.

Przez kilka sekund przyglądałem się fotografii. Nigdy nie widziałem wspólnego zdjęcia naszej trójki. Wiele się na niej mieściło. Serce ścisnęło mi się w piersi, brzuch przeszył ostry nóż. Trzyosobowa rodzina. Coś robiliśmy, wszyscy. Matka wiele razy zabierała mnie na Seurasaari, braliśmy ze sobą prowiant

i spędzaliśmy tam całe letnie dni. Ale nie pamiętałem, żeby kiedykolwiek była tam cała rodzina ze zdjęcia. Kolejne skacowane pytanie: czy Ella też tak będzie oglądać zdjęcia mamy i taty, rodziny z jej dzieciństwa? Będzie myśleć, że na tym brakuje jednego, na innym drugiego.

Kelner przyniósł nasze dania; parujący ryż utworzył między mną i ojcem zasłonę.

– To był wspaniały dzień – odezwał się Emil; miałem wrażenie, że wypowiada myśl, którą powtarzał sobie tysiące razy. – Jeden z najwspanialszych w moim życiu.

Zmuszałem się do jedzenia. Kawalek po kawałku szło mi coraz łatwiej.

– Chcesz o czymś porozmawiać? – odezwał się nagle. – Wyglądasz, jakby coś cię gryzło.

Spojrzałem na niego. W zasadzie byliśmy dwoma nieznanymi sobie mężczyznami. Ale coś w siedzącym naprzeciwko mnie człowieku sprawiało... Przełknąłem rozmiękły w mleku kokosowym ryż. Poczułem, jak chili pali mi język. Myśl przyszła sama z siebie. Mocną, niezależną, niewzruszoną. Ostatecznie: komu syn może zaufać, jeśli nie własnemu ojcu?

– Chyba jestem śledzony – wyznałem. – Z powodu pracy.

– Ach tak... – Jego spojrzenie pozostawało niezmiennie.

– Wczoraj wieczorem, późno, kiedy wyszedłem z pracy, chciałem się trochę przejść. Świeże powietrze i tym podobne. Miałem za sobą ciężki dzień w redakcji, rano wyszedłem z domu w nie najlepszym humorze. Poszedłem na cypel Siltasaarenkärki...

– Piękne miejsce. – Ojciec się uśmiechnął. – Jedno z moich ulubionych w tym mieście.

– Też tak myślę. – Jego uwaga nieco zbiła mnie z tropu, ale jednocześnie poczułem się bezpieczniej. – Poszedłem tam odetchnąć i kiedy chciałem już wracać, wydało mi się, że widzę mężczyznę, który już wcześniej mnie śledził. Poszedł za mną. A ten drugi...

– Wiesz, dlaczego cię śledzi?

– Mogę się domyślać. Jeżeli to ten sam mężczyzna, o którym myślę, łączy się to z Karim Lehtinenem...

– Kto to taki?

– Dziennikarz, zostały po nim materiały. Wiele z nich dotyczy Suomalaihti. Słyszałeś o nim?

Ojciec przez chwilę się nie odzywał.

– Nie – odparł w końcu.

– Lehtinen nie żyje – uzupełniłem.

Patrzył na mnie.

– Zatrzymałeś się na tym, że chciałeś wracać, i zauważyłeś, że ten mężczyzna cię śledzi. Co było potem?

– Uratowałem się. Już raz dostałem z glana. Uciekłem do Juttutupa.

– To dlatego masz dzisiaj kaca?

Spojrzałem na ojca. Uśmiech był krótki, ale ciepły.

– No i co potem? – dopytywał się.

– Spotkałem starą znajomą.

– A ci mężczyźni, którzy cię śledzili? Co się z nimi stało?

– Nie wiem.

– Ale jesteś pewien, że cię śledzili?

– A co innego mogło to być? Spotkałem tych facetów na północy.

Jego spojrzenie zaostrzyło się, opuścił głowę, podniósł ramiona o kilka milimetrów. Żadnej dramatycznej zmiany, ledwie dostrzegalny szczegół.

– Czyli wiesz, kim są. – Jego głos obniżył się o pół oktawy, prawie szeptał.

– Wydaje mi się, że to ci sami co w Suomalaihti – odpowiedziałem. – W kopalni. Zbierałem materiały i rozmawiałem z jednym z nich. Jest szefem ochrony na terenie kopalni.

Ojciec przez chwilę milczał. Gwar, typowy dla pory lunchu, też z wolna cichł.

– Cieszę się, że mi powiedziałeś – odezwał się ojciec, znów niemal szeptem. – Zawsze możesz się do mnie zwrócić... ze

wszystkim.

– Mogę ci zrobić zdjęcie?

Nie wiem, dlaczego o to poprosiłem. Może z powodu kaca, kłótni z Pauliiną, może przez Maarit albo wczorajszą ucieczkę, może przez ojca, którego przez trzydzieści lat nie widziałem, a który teraz siedział naprzeciwko mnie. Zapewne ze wszystkich tych powodów.

Po raz pierwszy na jego twarzy zobaczyłem zmieszanie, zakłopotanie, niepewność. Po chwili jednak wszystko to znikło. Wrócił ostrożny uśmiech.

– Oczywiście.

Wyjąłem z kieszeni telefon i uniosłem go. Na wyświetlaczu pojawił się zaginiony przez trzydzieści lat mężczyzna. Wcisnąłem wyzwalacz. Dwa razy.

Popatrzyliśmy na siebie. Coś się wydarzyło. Coś więcej niż tylko zrobienie zdjęcia.

Jeżeli on był dla mnie taki ważny, dla mnie, który nigdy nie miałem ojca... Pomyślałem o Elli. Skupiłem się na tym, co miałem na talerzu. Nałożyłem sobie na widelec mięso, warzywa, ryż i sos, wszystko w idealnych proporcjach. Na szczęście ojciec zdążył już zabrać ze stołu zdjęcie i schował je do kieszeni. Postanowiłem, że kiedy przepiszę tekst na czysto, odbiorę Ellę ze żłobka. Miałem dość czasu.

Wielkie, lekkie, miękkie płatki śniegu przyjemnie rozpuszczały się na skórze. Szedł w stronę południowego brzegu zatoki Töölö. Nigdzie się nie spieszył, a jednak nie potrafił opanować poruszających się szybko stóp. Leena kończyła pracę o piątej... to znaczy powiedziała, że wyjdzie z niej o piątej, co oczywiście nie oznaczało tego samego. Umówili się w kawiarni na Museokatu. Zdaniem Leeny, było tam cicho i można było spokojnie porozmawiać nawet wieczorem. Emil nie mógł jej powiedzieć, że mieszka w Töölö. Nagle przyznanie się do tego wydało mu się trudne.

Nie wiedział również, co myśleć o historii syna. Chłopak mógł się przecież mylić.

Ale zmysły Emila nie działały w tej chwili równie dobrze jak zwykle. Znajdował się zbyt blisko ludzi, których kochał. Przypomniawszy sobie zasłyszane zdanie: „Z bliska nie widać dobrze”. To musiało być w tekście, który kiedyś czytała mu Leena. Przypomniawszy sobie miękkie trawniki pod plecami w parku Sibeliusa, letni dzień dawno temu, gładkie dłonie Leeny trzymające książkę, korony drzew uciekające do nieba.

To prawda: z bliska nie widać dobrze.

Nie myślimy rozsądnie o tym, co kochamy.

Na twarzy wychowawczyni pojawił się najpierw strach, a potem złość. Zrozumiałem oczywiście, że to ja popełniłem błąd. Ona tylko powiedziała, jak się sprawy mają.

– Wszystko w porządku – odparłem i z wysiłkiem przywołałem na twarz uśmiech. – Tak się przecież umówiliśmy. Pauliina odbierze Ellę. Dokładnie tak.

Oczywiście niczego nie uzgadnialiśmy. Nie dodzwoniłem się do Pauliiny. Jej telefon co prawda nie był poza zasięgiem, ale nie odbierała. Wysłałem jej też SMS-y, z podobnym skutkiem.

– Wyszły już godzinę temu – powiedziała kobieta.

Najwyraźniej była przemęczona. Trzydzieści pięć lat, długie, gęste, ciemne włosy zawiązane w koński ogon, opatulona w dwa szale; pensja tylko nieco ponad minimum; na karku odpowiedzialność za bezpieczeństwo dzieci, a z drugiej strony wymagania i specjalne życzenia pewnych siebie rodziców. Jeszcze dwie zimy w ocieplaczach, ostateczne wypalenie i zmieni branżę. Będzie mnie wspominała jako jednego z tysiąca ojców, dla których wszystko inne jest ważniejsze niż własne dziecko.

– Dziękuję – rzuciłem. – Nawał pracy.

– Tak to zwykle jest.

– Tym razem... Przepraszam. Do zobaczenia jutro rano.

Nic już nie powiedziała. Odwróciła się i poszła.

Po drodze do domu przeżykałem rozczarowanie. Chciałem odebrać Ellę. Myślałem, że nadrobię tym poranną nieobecność. Spojrzałem na telefon – minuta po piątej.

W przedpokoju strzepnąłem śnieg z ramion; wielkie płatki wyglądały na tle kurtki jak białe pająki, trudno było się ich pozbyć. Kuchnię wypełniała paplanina Elli. Nie wybiegła mi na

spotkanie, chociaż słyszała otwierające się drzwi, brzęk wieszaka i opadającą na podłogę torbę.

Z twarzy Pauliiny wyczytałem, że coś się stało. Coś jeszcze oprócz mojej nocy spędzonej poza domem. Skupiłem się na córce. W kuchni pachniało ugotowane przez Pauliinę risotto. W zasadzie wszystko było na swoim miejscu: tata, mama, córka, gorąca kuchenka, pachnące jedzenie. Usiadłem obok Elli, naprzeciw Pauliiny, i nałożyłem sobie jedzenie.

– Jak było? – zapytałem.

Pauliina milczała. Dołożyłem sobie na talerz sałatę i nalałem wody do szklanki. Właśnie kiedy złapałem za widelec i zamierzałem sobie włożyć pierwszą porcję risotto do ust, podniosła coś z sąsiedniego krzesła i przesunęła to po powierzchni stołu w moją stronę. Koperta. Zaadresowana do nas obojga. Imię Pauliiny znajdowało się ponad moim. Zerknąłem na córkę zajęętą swoim jedzeniem. Pauliina zapytała ją, czy chce dokładkę. Ella odpowiedziała coś, czego nie można było potraktować jak jednoznaczną odpowiedź. Odłożyłem widelec na talerz, wziąłem kopertę i otworzyłem ją.

Dwie kartki formatu A4. List i kolorowe zdjęcie. Na zdjęciu powieszona rodzina: dziecko, kobieta i mężczyzna, wszyscy rozebrani do bielizny, ze śladami brutalnej przemocy na ciele. Mężczyźnie dorobiono w Photoshopie moją twarz. List był krótki, a jego przekaz jasny: jeżeli będę kontynuował, mnie i moją rodzinę spotka podobny los, przede wszystkim jednak moją rodzinę.

Schowałem obie kartki do koperty i odłożyłem ją na puste krzesło. Jedliśmy dalej kolację. Ella coś tam do siebie gadała.

Przyszedł za wcześnie, po raz kolejny. Kawiarnia na parterze składała się z dwóch pomieszczeń; w pierwszym znajdowała się witryna z wypiekami i kasa. Sala w głębi, za niskim, szerokim przejściem, przypominała staromodny salon. Fotele, lampy na stołach. Wybrał drugi stolik pod oknem, usiadł plecami do ściany i patrzył na padający bez ustanku śnieg. Dopadało już kilka dobrych centymetrów. Śnieg sprawiał, że świat wyglądał nierealnie, przykrywał kamienie, wyrównywał beton oraz maski samochodów.

Emil powiedział kelnerowi, że zamówi, kiedy jego... kiedy osoba, na którą czeka, przyjdzie. Młody człowiek uśmiechnął się przyjaźnie, a on popatrzył za okno. Czuł, jak bije mu serce. Najwyraźniej wytracony z równowagi, nie był sobą. Wahanie się, niepewność. Niby małe rzeczy, ale wiedział, że każde pęknięcie jest na początku cienkie jak włos, niezauważalne.

– Cześć, Emilu.

Wstał, nawet to zrobił niepewnie. Nie wiedział, czy pocałować ją na powitanie w policzek, objąć czy może uścisnąć rękę z galanterią. Najwyraźniej żadne z nich nie wiedziało. Ostateczne rozwiązanie było mieszanką tego wszystkiego: wysłane w ciepłą przestrzeń kawiarni suche pocałunki, jedno ostrożne objęcie tego drugiego za ramię i uścisk dłoni tak krótki, że zdali sobie z niego sprawę, dopiero kiedy opuścili już ręce.

Zamówili. Leena herbatę, Emil kawę, oboje drożdżówki cynamonowe.

– Przypomniał mi się dzisiaj letni dzień w parku Sibeliusa – zaczął Emil. – Czytałaś mi książkę.

Jej zdawkowy uśmiech zinterpretował jako przywoływanie wspomnienia. Oczywiście Leeny, które zawsze mówiły więcej niż usta. Ale tego, co mówiły, nigdy nie był do końca pewien, teraz też nie.

– Dzisiaj mi to przyszło do głowy, kiedy spotkałem się z Jannem. Zjedliśmy razem lunch.

– To miło.

Emil próbował ustalić, co kryje się w jej głosie. Żal, złość, obojętność? Niczego takiego nie zauważył.

– Szczerze mówiąc, wcale się nie zdziwiłam, kiedy cię zobaczyłam – powiedziała Leena.

– To przypadek...

– Nie chodzi mi o to, że spotkaliśmy się akurat tam i w tym momencie. Miałam na myśli raczej to, że minęło akurat tyle czasu, ile trzeba, i że wszystko ma swoją porę.

– No właśnie.

– Dotarło to do mnie bardzo wyraźnie, kiedy dostałam swoje wyliczenie emerytury. Wiesz, taki dokument, na którym jest cała historia pracy, wypłacone pensje i przewidywana emerytura.

– Jasne. – Emil wiedział, że istnieją takie dokumenty, tylko nigdy ich nie widział.

– Jak to dostałam, dosłownie usiadłam z wrażenia, taki to był ciężar... to znaczy w przenośni.

– Oczywiście.

– Nie wiem, czy tobie też się kiedykolwiek zdarzyło coś takiego – dodała Leena, a on pomyślał, że chciałby do końca życia patrzeć na tę drobną twarz o delikatnych rysach. – Że całe życie skupia się w twoich rękach, a wszystko, co się kiedykolwiek robiło, co było, znajduje się w pomniejszeniu, jak domek dla lalek, w którym widać każdy pokój i już nie ma żadnej kryjówki.

Emil pomyślał o swoich wspomnieniach, tych, które mógł pobudzić najdrobniejszy impuls. Zaskoczony mężczyzna, któremu strzelił prosto w czoło; zamarała z przerażenia szyja, w którą wbił nóż; wrzeszczący człowiek wypchnięty z balkonu.

– Mnie też zdarzają się podobne rzeczy – przyznał. – Szczerze mówiąc, właśnie dlatego wróciłem do Helsinek.

– Wiedziałam to od razu, kiedy cię zobaczyłam.

Patrzył na nią, kiedy jedli drożdżówki. Miał ochotę wysunąć palec wskazujący i przycisnąć nim do talerza grube kawałki cukru, żeby potem móc zlizać je ze smakiem. Przez jakiś czas rozmawiali o zaskakująco prozaicznych rzeczach: jak bardzo rozrosły się Helsinki, jak światowym miastem się stały, a jakie były, kiedy się poznali. Pomyślał, że jeżeli Leenie udziela się chociaż dziesiąta część tej nostalgii co jemu, to jej serce musi bić w przyspieszonym tęsknotą rytmie.

Przez jakiś czas siedzieli w ciszy, z twarzami zwróconymi do okna, ku ulicy, gdzie śnieg padał niemal bezgłośnie, chociaż było go już więcej niż dość. Emil popatrzył na kobietę, którą dawno temu utracił.

– Już nie jesteśmy młodzi, Leeno.

– Może to i dobrze – odparła cicho.

13

Koperta leżała przed nami na małym stoliku przy kanapie, w telewizji leciał po cichu amerykański serial kryminalny. Laboratorium prowadziła kobieta o wyglądzie topmodelki, którą pozostali bohaterowie nazywali patologiemi. Patolog-topmodelka z wyeksponowanym dekoltem mówiła pełnymi, błyszczącymi ustami, że morderca popełnił jednak błąd. Wyłączyłem telewizor i spojrzałem na Paulinę. Skuliła nogi, zdjęła okulary, odłożyła je na kanapę i rozmasowała oczy.

– Paulino – wskazałem na kopertę – to nic poważnego. To tylko... takie. Dokuczanie i przeszkadzanie.

– Skąd wiesz? Masz napuchniętą połowę twarzy, Ella ma opatrunek na rękę.

– To są dwie zupełnie różne sprawy. Nie musisz się o mnie martwić.

– Ja się wcale nie martwię o ciebie.

Siedzieliśmy w ciszy.

– Jest mi zupełnie wszystko jedno, gdzie spędziłeś wczorajszą noc – odezwała się w końcu. – Nie chcę słyszeć żadnych prawd ani kłamstw. I tak nie ma to znaczenia, bo nie dadzą żadnej odpowiedzi. Wniosłeś do naszego domu coś nieprzyjemnego i nie zamierzam tego tolerować. I nie chodzi mi tylko o tę kopertę.

– O pewnych sprawach trzeba mówić.

– Możliwe. Ale ty do tego nie jesteś potrzebny. Gdybyś był altruistycznym obrońcą przyrody, przekazałbyś informacje komuś, kto potrzebuje rozgłosu. Ty byłbyś zadowolony, a sprawa ujrzałaby światło dzienne. Ale ty to robisz dla własnej sławy i chwały, chcesz, żeby w gazecie znalazło się twoje nazwisko i zdjęcie.

Milczałem.

– Ten list mnie otrzeźwił – ciągnęła Pauliina. – Teraz wreszcie rozumiem całą sytuację. Za bardzo się pospieszyliśmy trzy lata temu. Od razu zaszłam w ciążę, kupiliśmy wspólnie mieszkanie, w ogóle się nie znając. Urodziła się Ella i nie było nawet jednej wolnej chwili, żeby się nad wszystkim spokojnie zastanowić.

Spojrzałem na wyłączony telewizor. Wyglądał, jakby też na mnie patrzył. Czarna dziura gotowa wszystko pochłonąć.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Mieszkamy razem, znamy się.

– Jaki mam rozmiar buta?

– Trzydzieści osiem.

– Trzydzieści dziewięć. Gdzie pracuję?

– W tej... agencji... komunikacji.

– Której?

– Korhonen and...

– Ta była wcześniej. Gdzie dostałam nową pracę?

– Nową... Nic mi nie powiedziałaś. Chociaż pytałem.

Gratulacje!

– Jaką lubię muzykę?

– Zanim urodziła się Ella, byliśmy na trzech koncertach...

– Żeby posłuchać twoich ulubionych zespołów. A co ja lubię?

– W ogóle czy w szczególności?

– Co lubię?

– Elle.

Pauliina obdarzyła mnie lodowatym spojrzeniem.

– Nic nas nie łączy.

Westchnąłem. I tak nie miało znaczenia, co powiem.

– Mam wrażenie, że to był... błąd, nieporozumienie – powiedziała.

Popatrzyłem na nią.

– Błąd?

– Tak.

– Nieporozumienie?

– Owszem. Powinnaś była rozumieć, że praca jest dla ciebie najważniejsza. Początkowo to mnie nawet urzekło. Ktoś pracuje

z takim poświęceniem, ze świadomością celu. Wie, czego chce. Ale kiedy to zawsze praca, za każdym razem, staje przed wszystkim innym, to znika wszystko inne. Nawet zainteresowanie, z kim się mieszka.

– Nie możesz mi zarzucić, że nie interesuję się Ellą.

– Nawet się nie pofatygowałeś, żeby zapłacić za żłobek.

– Zapomniałem, kiedy przyjechałem do motelu i... no... zapomniałem.

– Ja zapłaciłam.

– Zrobię ci przelew.

– Nie o to chodzi.

– Jedna opłata za żłobek!

– To nie jest jedna opłata za żłobek. To jest wszystko. Całe życie.

Mój telefon zadzwieczał na stole. Schyliłem się, żeby sprawdzić, kto przysłał SMS-a.

– Właśnie o to mi chodzi – rzuciła Pauliina.

– O co?

– W samym środku naszej rozmowy... nie możesz się powstrzymać. Wiesz, dlaczego nie zapytałam o twojego ojca? Bo i tak wiem. Jest taki sam jak ty. Myśli i postępuje czasami dokładnie tak samo jak ty teraz.

– Nie wierzę. Wydaje się...

– Inny? Ty też się taki wydawałeś. On teraz żałuje i próbuje na nowo nawiązać więzi, prawda?

– Na to wygląda – przyznałem.

Pauliina pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Poza tym, oczywiście, że tak dłużej być nie może.

– Co masz na myśli?

– To, co właśnie powiedziałam. Tak dłużej być nie może.

Wzięła kopertę ze stołu, wyjęła z niej zdjęcie i rzuciła mi na kolana. Robiło jeszcze bardziej przerażające wrażenie niż wcześniej: martwa rodzina, powieszona dziecko.

– Pauliino, to się nie zdarzy. Nam. To tylko straszak.

– Wszystko mi jedno. Ale oto do czego doszło. I mówię nie tylko o tym. Chodzi mi o wszystko. Możesz poprosić, żeby cię przenieśli choćby do działu kulinarnego albo na krytyka filmowego, albo gdziekolwiek indziej, a ty się skoncentrujesz na tym, żeby więcej czasu spędzać z córką.

– Nie mogę tak wszystkiego zostawić...

Jej twarz nie miała żadnego wyrazu. Pauliina nie była zła, rozzłoszczona, jak mógłbym oczekiwać.

– Ja nie... – zacząłem, nie wiedząc, jak z tego wybrnąć.

Opuściła nogi na podłogę i zaczęła wstawać.

– Poszukam – dodałem szybko. – Poszukam jakiegoś rozwiązania.

Pauliina zastanowiła się chwilę.

– Mam nadzieję – powiedziała cicho, wstała i wyszła z pokoju.

Cirrus, najwyższy budynek mieszkalny Finlandii, znajdował się w dzielnicy Vuosaari, przy stacji metra i centrum handlowym. Emil wiedział, że blok ma prawie dziewięćdziesiąt metrów wysokości. Na samej górze znajdowała się wentylatornia, a na dachu lądowisko dla helikopterów. Oprócz tego przewidziano dwadzieścia cztery piętra mieszkalne, parter z powierzchnią biurową i usługową oraz dwie kondygnacje podziemne. Na dwudziestym piątym piętrze urządzono saunę i taras widokowy. Tam właśnie zmierzał Emil. Do sauny na godzinę ósmą.

Przez trzydzieści lat całe Helsinki się zmieniły, ale zmiany na Vuosaari nastąpiły wykładniczo. Wybudowane w latach sześćdziesiątych tak zwane Stare Vuosaari – dalekie zachodnie przedmieścia – stało się zaledwie kwadracikiem wciśniętym w gigantyczne osiedla mieszkalne. Nowe Vuosaari powstało w latach dziewięćdziesiątych i podlegało nieustannej rozbudowie.

Emil szedł i słuchał. Imigranci. Obce języki. Aurinkolahti – dzielnica w dzielnicy. Bloki pobudowane nad brzegiem morza, bulwar, drogie mieszkania z balkonami wychodzącymi na morze. Widok podobny do tego dwa tysiące kilometrów bardziej na południe – nie licząc dziesięciu stopni mrozu.

Lodowaty, spokojny zimowy wieczór, świeże, ostre powietrze. Nadrobił drogi; wiedział, że musi zatoczyć pełne koło, to było niezbędne. Półtorej godziny w towarzystwie Leeny sprawiło mu więcej radości, niż początkowo śmiał przypuszczać. Oczywiście wspólne wspomnienia, jednak z przewagą tego co dzisiaj; mówili o tym, co myślą, jak postrzegają świat i życie.

Szedł spacerowym krokiem. Rzadkie płatki śniegu leniwie spadały z nieba. Przerabiał wszystko w myślach, za każdym razem od początku. W ten sposób zaczynał pracę, to było jak mantra, dzięki której izolował z umysłu wszystko, co nie należało do zadania. Na koniec działał. W każdym zleceniu najważniejszy był początek i skupienie się wyłącznie na zadaniu. Drogi na skróty nie było. Jeżeli spróbowałby jej poszukać albo podążyć za nią, popełniłby błąd.

Patrząc w morze, na ciemny horyzont, odetchnął głęboko i ruszył z powrotem. Szedł na oko półtora kilometra. Tak to oszacował. Nie mógł się upewnić w telefonie, ponieważ aparat został w Töölö. Oczywiście. Nikt wprawdzie nie wiedział, że to jego telefon, ale ostrożności nigdy nie za wiele. Telefony zdradzają o nas wszystko, a przede wszystkim to, któredy kiedykolwiek chadzaliśmy.

Apartamentowiec przypominał kwadratowy, niemal stumetrowy, pomalowany na biało słup. Trochę jak piętnaście ułożonych na sobie gigantycznych kostek cukru.

Pierwsza próba wejścia do środka zakończyła się niepowodzeniem.

Idealnie odmierzył kroki, ale pięć metrów przed wejściem mężczyzna upuścił coś na ziemię i szukał tego w kupie śniegu zmieszanego z piaskiem. Emil zmuszony był minąć wejście i iść dalej, na drugą stronę jezdni. W tym samym tempie obszedł małe rondo. Kiedy się upewnił, że mężczyzna znalazł zgubę i wszedł do środka, zwolnił, jakby na coś czekał; w końcu znalazł wzrokiem to, czego szukał.

Naprzeciwko wejścia do apartamentowca znajdowało się jedno z wejść do centrum handlowego. Sądząc po kierunku marszu, rozpiętym płaszczu i siatce z zakupami, Emil odgadł, że kobieta jest w drodze z supermarketu do domu, który znajduje się nieopodal. Kiedy dotarła do apartamentowca, wyciągnęła klucze i włożyła je w zamek, Emil nadszedł z boku i zdecydowanie złapał klamkę drzwi.

– Pomogę – powiedział ciepłym, uprzejmym głosem.

Kobieta podniosła wzrok i na sekundę puściła klucze. Emil otworzył drzwi i podał jej pęk kluczy, podmienionych. Nie zauważyła zmiany – kto mógłby podejrzewać coś takiego w zwykły wieczór ze strony uprzejmego dżentelmena? – wrzuciła klucze do kieszeni i pospieszyła do windy. Emil wsiadł za nią i przycisnął przed chwilą zdobytą kartę chipową do czytnika, który odblokował guziki windy. Cały czas pilnował, żeby klucze chowały się w dłoni.

– Jedzie pani na...

– Ósme – odparła.

– A ja dwunaste – powiedział i wcisnął dwa guziki.

Podczas jazdy na górę milczeli.

Kobieta wysiadła na ósmym piętrze, Emil pojechał na dwunaste. Gdy winda się zatrzymała, natychmiast przycisnął guzik zamykający drzwi i pojechał na najwyższe piętro. Zerknął na zegarek. Piętnaście po ósmej. Idealnie. Pierwsza runda. Wsiadł z windy i przez chwilę nasłuchiwał. Wejście do sauny było po lewej. Podszedł do szarych metalowych drzwi i przyłożył kartę. Zamek ustąpił z miękkim, cichusieńkim stuknięciem. Emil otworzył drzwi i znów słuchał przez chwilę. Woda wylewana na kamienie zamieniała się w parę.

Przy wejściu zdjął buty. Zrobił to szybko, ale bez zbędnego pośpiechu. Miał czas. Wiedział, że mniej więcej w tej chwili kobieta zorientowała się, że ma złe klucze, i nie wejdzie do środka. Możliwe, że zadzwoni i ktoś jej otworzy; kilka minut zajmie jej ustalanie faktów i wyciąganie wniosków. Jeżeli natomiast mieszka sama albo akurat nikogo nie ma w domu, tyle samo czasu potrwa wezwanie kogoś do otwarcia zamków.

Emil dobrze usłyszał. Pysznic, sauna – za drzwiami po prawej. Taras widokowy po lewej. Znając nazwę administratora budynku, dotarł nawet do planów pięter, do długich specyfikacji technicznych wyliczeń na temat konstrukcji i siły wiatru, opisów zamków, a co najważniejsze, na stronie internetowej administratora znalazł grafik działania sauny, którą można było wygodnie zarezerwować przez internet.

Otworzył drzwi na taras. Z dalekiego południa nadleciał zimny wiatr, może z Tallina. Hol wypełniło dość chłodne powietrze, dostatecznie kuszące. Emil przekreślił klamkę drzwi do pomieszczenia z prysznicami, które dalej otworzyły się już same. Wszedł na taras, wycofał się w ocienione miejsce i czekał.

Słyszał, jak otwierają się drzwi do sauny, plaskanie stóp na wykładanej kafelkami podłodze pod prysznicem. Nagle kroki się zatrzymały. Emil czekał. Mokre nogi znów zaczęły dreptać przez szatnię, wreszcie wyszły na taras. Mężczyznę można było rozpoznać nawet z tyłu. Ciemnowłosa, w ręczniku okręconym wokół bioder, podszedł do krawędzi tarasu. Z jego skóry unosiła się para.

Emil ruszył. Szedł bezgłośnie w miękkich, grubych skarpetach z gumą zapobiegającą poślizgnięciu się.

Prawdziwy zawodowiec – niezależnie od tego, czym się zajmuje – potrafi wykorzystał dowolną sytuację tak, by działała na jego korzyść. Wszystko można zamienić w energię, w ciągnącą naprzód siłę. Każdy ruch, nieważne skąd nadchodzi, może się do czegoś przydać. Ta umiejętność odróżnia profesjonalistę od najbardziej nawet entuzjastycznego amatora. Profesjonalista wszędzie widzi energię, pozwala jej płynąć, używa jej.

Mężczyzna zamierzał oprzeć ręce na barierce. Emil rejestrował każdy, nawet najdrobniejszy ruch. Ostatni krok tamtego był ciężki, kierunek właściwy – lekkie pochylenie w stronę balustrady, przeniesienie ciężaru ciała do przodu. Emil nie musiał robić nic więcej, jak tylko kontynuować ten ruch, kierując go nieco w górę i dodając impetu. Prawą ręką chwycił za owinięte ręcznikiem biodro mężczyzny, lewą wcisnął pod jego pachę, żeby móc go podnieść, a jednocześnie zablokować możliwość obrócenia się.

Ich ruchy były identyczne, równoczesne, jak w tańcu, gdzie ruchy pary sprawnych tancerzy zmieniają się w jedno, a jeden plus jeden daje więcej niż dwa. Ruch był pełen siły i zsynchronizowanego rytmu. Podniesienie i pchnięcie Emil

wykonał tak wspaniale, że nogi tamtego oderwały się od podłoża, jeszcze zanim do mózgu dotarło, co właściwie się dzieje. W tym momencie było już za późno.

Czysto przeleciał nad balustradą, tylko lewa łydka lekko zadźwięczała, uderzając w stal, zanim poleciała w jasną gwiazdzistą noc. Emil wrócił do środka, włożył buty, zjechał windą do piwnicy, niemal od razu znalazł wyjście i opuścił budynek.

Wrzucił pęk kluczy do kosza na śmieci.

Dopiero w metrze zdjął rękawiczki.

15

Emil był na nogach już od kilku godzin. Pogimnastykował się (mieszanka jogi, staromodnego treningu kondycyjnego i tai-chi), zjadł śniadanie i właśnie czytał ostatnio zakupioną książkę, kiedy zadzwonił syn.

– Mam nadzieję, że mogę pomóc – powiedział Emil i natychmiast zauważył, że mówi już nie tak łagodnym głosem jak wcześniej. – Raczej nie udzielam rad, ale mogę się podzielić własnym zdaniem i doświadczeniem.

– Jak mówiłem wczoraj – ciągnął syn. – Jesteś dostatecznie obcy, a jednocześnie...

Kim właściwie był?

– W każdym razie, znalazłem się w dość trudnej sytuacji. Pomyślałem, że może masz na to jakiś pogląd, z racji wieku albo tego, że musiałeś podjąć w życiu decyzje, które miały swoje konsekwencje.

– Czy coś się stało? – spytał Emil.

– Nie – odparł syn, po czym nieco ciszej dodał: – Na razie nie.

Emil czekał.

– Jesteś przecież osobą raczej zorientowaną na pracę – zauważył syn.

– Można tak powiedzieć.

– Praca jest dla ciebie ważna.

– Tak, bardzo ważna.

– Czy z perspektywy czasu kiedykolwiek żałowałeś czasu poświęconego pracy i podjętych w tym celu wyrzeczeń?

– Nie widziałem innych możliwości.

– Tak myślałem.

– Mogę zapytać, o co chodzi?

– O pracę, którą wykonuję.

Praca nas określa, ale również odrywa od innych rzeczy. Ta myśl sama wypłynęła na powierzchnię.

– Co byś bez niej zrobił? – zapytał Emil.

– Bez czego?

– Bez pracy.

– Nie wiem – odparł Janne. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie mogę sobie wyobrazić życia bez tego... bez niej.

Emil poczuł rosnącą gulę w gardle. Spróbował ją przełknąć.

– Jeden wybór prowadzi do kolejnego – oznajmił. – Możliwości odpadają jedna po drugiej. Ostatecznie robi się to, co zostało. I robi się to dopóty, dopóki starczy sił. – Do kogo on to mówi?

Syn milczał przez jakiś czas.

– Coś w tym stylu – rzucił wreszcie. – Muszę kończyć.

Ojciec nie zdążył powiedzieć nic więcej.

16

Czy naprawdę zadzwoniłem, żeby się poradzić? Chyba nie. Może już wiedziałem, co zrobię. Ruchomymi schodami wyjechałem z metra na ulicę i przeszedłem kilkaset metrów do redakcji. Słońce świeciło, miasto wystawało spod śniegu jak po zwycięskiej walce. Na placu targowym szalały pługi śnieżne, ich warkot odbijał się od kostki brukowej.

Przywitałem się z Pohjanheimem i resztą kolegów, ale nie poszedłem do swojego biurka. Hutrila był u siebie. Zapytałem, czy miałby teraz chwilę.

- Chwilę to może tak – odparł.
- Artykuł wymaga czasu, ale robię postępy.
- Brzmi dobrze.
- Jest jeszcze jedna sprawa.

Odchylił się lekko i położył palce na krawędzi biurka.

– Pomyślałem, że mógłbym przenieść się na przykład do działu kulturalnego. Albo robić strony kulinarne.

Hutrila popatrzył na mnie długo, jego ręce nadal leżały na stole.

- Dostałeś list z pogrózkami?
- Tak.
- W domu się przestraszyli?
- Tak.
- Chleb powszedni – rzucił.
- Możliwe – przytaknąłem. – Możliwe, że to całkiem normalne i jest częścią tej pracy. Ale akurat w tym momencie nie mogę tego zaakceptować, muszę znaleźć coś innego.
- Przemyślałeś to od początku do końca?
- Przede wszystkim do końca – odparłem.

– Wiesz, jak trudno jest się przenieść? Jeżeli się na to zgodzę, będzie to dla ciebie koniec. Znajdziesz się tam, dokąd trafisz, zostaniesz tam, będziesz wykonywał swoją pracę najlepiej, jak potrafisz, i nigdy więcej nie będziesz mi tym zawracał głowy.

– Tak jest.

– Wszyscy chcą pisać recenzje filmowe – powiedział Hutrila. – Wszyscy, oprócz tych, którzy to robią.

– Wcale nie chcę pisać recenzji.

– I tak nie ma tam miejsca. – Zastukał palcami w stół. – Pomyślałem o dziale rozrywkowym.

– Celebryci... – Westchnąłem.

– To bardzo ważna rubryka.

– Całkiem zbyt duża rubryka.

– To nasza najpopularniejsza strona.

– Tylko dlatego, że ludzie są głupi.

– Sam się do mnie zgłosiłeś.

W gruncie rzeczy była to prawda. A ludzie wcale nie są głupi. Ja byłem głupi. Wcześniej. Teraz już nie.

– Niech będzie.

– Jutro zaczynasz. Powiem Tanji, że będzie miała towarzystwo. Masz coś jeszcze oprócz artykułu o górnictwie?

– Właściwie to nie.

– Zostaw to i wyślij do mnie, co masz. Wybiorę kogoś, komu będziesz mógł przekazać materiały.

Już wychodziłem, kiedy Hutrila dorzucił:

– Ten artykuł...

– Tak.

– Naprawdę chcesz z niego zrezygnować? Masz informatora, byłeś tam, masz notatki Lehtinena i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze.

Właśnie tego pytania się obawiałem.

Jednocześnie zrozumiałem wreszcie, dlaczego zadzwoniłem do ojca. Żeby usłyszeć głos człowieka, który wszystko stracił.

– Tak będzie lepiej – odparłem.

Hutrila ściągnął usta, wzruszył ramionami.

– Nie znam nikogo lepszego – powiedział. – Ale to już twoja decyzja.

Z początku Pauliina mi nie wierzyła. Kiedy wreszcie udało mi się ją przekonać, zaczęła mówić innym tonem. Nie było w nim może gorącej miłości, ale przynajmniej brzmiał uprzejmie.

Ustaliliśmy, że odbiorę Ellę ze żłobka. Pauliina mogłaby zostać dłużej w biurze, żeby nadrobić zaległości. Skończyłem rozmowę i popatrzyłem na pudło z notatkami Lehtinena. Ciarki przebiegły mi po plecach. Powtórzyłem sobie, że podjąłem właściwą decyzję. Rozejrzałem się. Kogo wybierze Hutrila? Gdy obiegałem salę spojrzeniem, dotarło do mnie, co robię. To już nie była moja sprawa. Ale nadzieja, że ta myśl przyniesie mi ulgę, okazała się złudzeniem. W ciągu kilku sekund utraciłem całą jasność, którą miałem jeszcze przed chwilą, wchodząc do gabinetu naczelnego.

Żeby coś zrobić, wstałem i poszedłem na drugi koniec redakcji. Tanja Korhonen siedziała przy komputerze ze słuchawkami na uszach. Klepnąłem ją w złotobrazowe ramię.

– Hutrila już do mnie napisał – powiedziała, odwracając się. – Cieszę się, że ktoś do mnie dołączy. Nawet nie wiesz, ile przy tym jest pracy.

– Mógłbym od razu zacząć coś robić. Czekam, kogo Hutrila przydzieli do mojego artykułu o kopalni. Oddam to i po sprawie.

– Słyszałeś coś o twerkowaniu?

Tanja wskazała na ekran i kliknęła na początek wideo. Na teledysku czarne kobiety o zaokrąglonych kształtach potrząsały tyłkami. Rozwierały i zaciskały pośladki, kołysząc nimi, trzęsąc i kręcąc. Zbliżenia na okrągłe, błyszczące oliwą pośladki. Cztery i pół minuty drżących, kołyszących się, trzęsących się dup.

– Okay – rzuciłem.

– Oprócz artykułu na stronę internetową musimy przygotować coś w stylu: *Gdzie w Finlandii są najlepsze twerkujące dziewczyny?* albo *Czy umiesz twerkować?* Ja napiszę artykuł, a do ciebie należy przygotowanie ankiety.

– Ankiety, która ma odpowiedzieć na pytanie, czy umiesz twerkować?

– No, coś w tym stylu. I jeszcze jakiś krótki tekst o technice twerkowania. No wiesz, wskazówki. W necie na pewno coś się na ten temat znajdzie, coś jak kroki taneczne, tylko do twerkowania.

– *ABC twerkowania?*

– Wspaniale – ucieszyła się Tanja. – Świetnie się z tobą pracuje.

Poszedłem na swoje miejsce i usiadłem. Nogami natrafiłem na pudło notatek Lehtinena. Nieprzypadkowo na nie spojrzałem.

Już o wpół do piątej poszedłem po Ellę. Śnieg skrzypiał pod nogami, kiedy szliśmy do domu. Po chodniku dopiero co przejechał pług. Czysty śnieżny pas po naszej prawej był prawie dwa razy wyższy niż moja córka w czerwonej czapce. W domu przygotowałem jedzenie i usiedliśmy przy stole. Ella zjadła szybko swoją porcję, zsunęła się z krzesła i zniknęła w salonie. Nie otworzyłem gazety, nawet nie spojrzałem na wiadomości na komórce.

Decyzję podjąłem szybko, w poczuciu winy. Podjąłem ją, bo chciałem jak najszybciej rozpocząć nowe życie, za wszelką cenę. W takiej sytuacji nie ma znaczenia, czy decyzja jest dobra, czy zła. Takich decyzji nie warto później rozważać. Dlatego starałem się unikać wszystkiego, co mogłoby wzbudzić we mnie żal. Woląłem raczej skupić się na tym, co uzasadniało mój wybór.

Jedno z uzasadnień właśnie bawiło się na podłodze w salonie. Nagle uświadomiłem sobie, co robię: szukam ratunku u dwulatki.

W którymś momencie zadzwoniłem do mamy. Zapytałem, co u niej. Opowiedziałem – jak zawsze – że u nas wszystko dobrze,

że jesteśmy zdrowi, że Ella bawi się obok mnie i przesyła babci pozdrowienia. Na chwilę w telefonie zrobiło się cicho.

– Czytałam twój artykuł – odezwała się wreszcie mama. – Podobno widziałeś się z ojcem.

W jej głosie pobrzmiewała szczerść i ciekawość. Nigdy bym się nie spodziewał, że cokolwiek, co wiązało się z ojcem, mogłoby być dla niej nieskomplikowane. Z drugiej strony, od wielu lat ani słowem nie poruszaliśmy tego tematu.

– Tak. Nawet dwa razy. Byliśmy na piwie i na lunchu.

– Jak wrażenia?

– Sam nie wiem – odparłem. Coś w głosie mamy, w jej podejściu do sprawy, całkowicie mnie zaskoczyło. – Właściwie to dzwonię, żeby się zapytać, czy ty też się z nim widziałas.

– Jasne. Skontaktowałam się ze mną i spotkaliśmy się.

Jasne?

– On wygląda na... – zacząłem i chwilę się zastanowiłem nad właściwym określeniem. – ...na przeciętnego mężczyznę.

Mama milczała.

– Halo?

– Jestem – odezwała się. – Masz rację, wygląda na przeciętnego mężczyznę.

Powtórzyłem wszystko, co wiedziałem: mój ojciec mieszkał w Berlinie, pracował jako konsultant ze specjalizacją human resources, zamierzał przejść na emeryturę i osiaść w Helsinkach. Nie śmiałem zapytać, jakie to uczucie spotkać byłego męża po trzydziestu latach przerwy. Są sprawy, które ze swej natury nie powinny obchodzić nikogo poza bezpośrednio zainteresowanymi. Jedno pytanie chciałem jednak zadać.

– Kiedy Emil... mój tata... wyjechał z Helsinek... Czy zrobił to niespodziewanie?

Przez chwilę milczała.

– Tak naprawdę nie byłam zaskoczona.

Pauliina wróciła do domu kwadrans po ósmej. Odbyła z Ellą wieczorne rytuały i czytała jej tak długo, aż mała zasnęła.

Słyszałem, jak Pauliina zamyka drzwi do pokoju córki i idzie do kuchni. Zastałem ją przy kuchennym stole, włączała właśnie laptopa.

– W sobotę przygotuję jedzenie – oznajmiłem.

Pauliina popatrzyła na mnie.

– To fajnie. Ruusuvuori przychodzą o siódmej.

– Pracowałem dzisiaj nad artykułem o twerkowaniu. – Oparłem się o zlewozmywak.

– Ale za to cały wieczór spędziłeś z córką. To się nazywa dorosłość. Coś za coś.

A ty z czego zrezygnowałaś? – pomyślałem. I dlaczego?

– Święta prawda – powiedziałem i przyszło mi do głowy, że oto jest kwintesencja naszych czasów: potrząsać dupą i pisać artykuły o tych, którzy dupą potrząsają.

W kuchni zapadła cisza. Na dole ktoś tłukł kotlety albo robił coś innego, co wymagało twardej ręki. Pauliina potargała włosy, jakby myła je w powietrzu. Fala ciepła w stosunku do niej, która ogarnęła mnie w ciągu dnia, minęła.

– To oznacza także, że od teraz – pokazała palcem na drzwi szafki po mojej lewej stronie – kiedy będę szukać plastikowych misek, które są mi potrzebne do gotowania, nie będą na mnie spadać kartony papierów.

Pauliina poszła spać. A przynajmniej udała się do sypialni. Zresztą na jedno wychodziło, bo narodziny Elli stanowiły granicę, po której przekroczeniu sypialnia oznaczała dla nas obojga wyłącznie sen. Seks należał do przeszłości, podobnie jak długie nocne rozmowy; o czytaniu można było tylko pomarzyć. Przyłożenie głowy do poduszki oznaczało koniec gry. Nagie ciało tego drugiego nie było już obiektem namiętności. Zastąpiła je utrata świadomości. Na tak długo, jak to tylko możliwe.

Wyniosłem materiały Lehtinena z kuchni do przedpokoju i położyłem pod drzwiami, skąd rano miałem je zabrać. Na wpuł siedząc, leżałem na kanapie w salonie z komputerem na kolanach. Skłamałbym, gdybym przyznał, że wcale nie miałem

ochoty go otworzyć. Nie zaglądałem do poczty nawet w telefonie. Patrzyłem na swoje kontury w odbiciu z ekranu telewizora. W kącie pokoju stała lampa, która rzucała żółte światło. Jak łatwo mogłem sobie wyobrazić, że unoszę się w kosmosie w poszukiwaniu słonecznego blasku. *ABC twerkowania...* Westchnąłem i włączyłem komputer.

Czekał na mnie długi rząd wiadomości. Najstarszą przysłał Hutrila.

Jutro wybiorę kogoś na twoje miejsce. Rano przyjrzymy się tej sprawie. H.

Następna przyszła parę minut później. Z adresu <bol.daje.info@gmail.com>.

Janne,

czyżbyśmy się pomylili? Nie jesteś jednak tym, kogo szukamy? A może wcale nie jesteś dziennikarzem. Położyliśmy ci artykuł życia na talerzu. Więc w czym problem? Czyżbyś wiedział za mało albo za dużo? Czy ktoś chce ci zamknąć usta?

Jeżeli ktoś próbuje cię uciszyć albo ci grozi, to chyba możemy pomóc. Mamy do dyspozycji arsenał środków. Ale udzielenie ci pomocy uzależniamy od pewnych warunków. Dajemy ci dobę. Po jej upływie dokonamy ponownej oceny sytuacji. Możesz w dowolny sposób pokazać, że jesteś godzien naszego zaufania.

Podsumowując: kontynuuj pracę nad artykułem, daj nam znać, kto lub co ci zagraża, a my zajmiemy się resztą. Nie chcemy patrzeć, jak ponosisz klęskę.

Reszta wiadomości nie zawierała nic szczególnego: maile grupowe, potwierdzenia, przełożenie umówionego lunchu.

Wróciłem do anonimowego maila. Jego nadawcy albo wiedzieli o anonimie, albo prawidłowo odgadli. Dla mnie oznaczało to, że jego autorzy są blisko mnie i wszystko dobrze wiedzą lub też nie. Zastanawiałem się, czy warto odpisywać, ale doszedłem do wniosku, że nie ma to sensu. Faktem było, że nie pozwalali mi odpuścić. Jeszcze raz przeczytałem treść wiadomości. Wstałem z kanapy i poszedłem do przedpokoju.

Zegar na ścianie wskazywał dokładnie północ. Przez chwilę nasłuchiwałem. W mieszkaniu było zupełnie cicho. Cały dom tonął w ciszy. U sąsiadów niczego już nie tłuczono, ani kotletów, ani niczego innego. Z sypialni dobiegał równomierny oddech.

Przeniosłem kartony do salonu i ustawiłem je między kanapą a stolikiem. No dobra. Postanowiłem przejrzeć je jeszcze raz. Jeżeli coś znajdę, przekażę to redaktorowi wyznaczonemu przez naczelnego. Ułożyłem stertę papierów na stole i zabrałem się do pracy. Po trzech godzinach wstałem z kanapy i poszedłem do kuchni. Wyjąłem z lodówki ementaler, wrzuciłem pieczywo do tosterka i zabrałem do salonu kubek jogurtu owocowego. Usiadłem na kanapie, żeby zjeść. Przez chwilę patrzyłem na stertę, w końcu sięgnąłem do stołu po jogurt. Moja ręka zatrzymała się w powietrzu.

Mleko pasteryzowane, brzoskwinia (4%), kiwi (2%), ananas (1%), marakuja (0,25%), środki zagęszczające (modyfikowana skrobia kukurydziana, pektyna), aromaty (zaw. brzoskwinie, kiwi, ananas, marakuję), słodzik (glikozyd stewiolowy), regulator kwasowości (cytrynian sodu), E211, E013, E141.

Tak było. Coś, co łopocze ci przed nosem jak flaga na wietrze, a ty i tak tego nie dostrzegasz. Dopóki się o to nie potkniesz albo nie spróbujesz wsadzić do ust.

Szybko odszukałem kajet Lehtinena, w którym zapisane były wszystkie kontakty. Biolog Tero Manninen. Już gdzieś widziałem to nazwisko, ale gdzie? Przejrzałem szybko zeszyty, luźne kartki i wydruki. Złapałem wycinki z gazet i znalazłem. Wyrwany z gazety list czytelnika sprzed półtora roku, wzdłuż kartki nabazgrano długopisem ZADZWONIĆ!

Kto za to zapłaci?

W Finlandii przeżywamy właśnie drugi w historii kraju boom w górnictwie. Najnowsza kopalnia rozpoczęła swoją działalność kilka lat temu. To kopalnia niklu w Suomalahti, należąca do międzynarodowej spółki Finn Mining. Zarówno ona, jak i kilka innych zakładów wydobywczych zyskały przychylną opinię mediów, która wraz z pokładanymi nadziejami na rozwój ekonomiczny przyćmiła ciemne strony górnictwa.

Jedną z nich są ogromne konsekwencje dla środowiska. Występują one w przypadku każdej kopalni, choćby jej reprezentanci i entuzjaści mówili co innego. Te skutki należałoby śledzić, najlepiej za pośrednictwem niezależnej instytucji. Aktualnie jednak taka instytucja nie istnieje.

Problemy związane z systemem lokalnego nadzoru środowiska są znane każdemu, kto kiedykolwiek miał z tą sprawą do czynienia. W wielu przypadkach zauważono, że organy odpowiedzialne za nadzór nad kopalnią są pośrednio bądź bezpośrednio zależne od sukcesu kopalni.

Wynika to po części z położenia geograficznego. Kopalnie zakładane są na rzadko zasiedlonych terenach, gdzie priorytetem jest rozwiązywanie problemów socjoekonomicznych oraz bezrobocia. Kto chciałby mówić złe rzeczy o największym pracodawcy w regionie, który daje utrzymanie wielu rodzinom? Kto miałby odwagę domagać się zamknięcia kopalni, jeżeli oznaczałoby to ostateczny koniec dla całej wsi?

Dlatego niezbędny jest całkowicie niezależny organ, który – inaczej, niż to dyktuje zdrowy rozsądek – nie jest zainteresowany rozwojem danego regionu. Taki niezależny organ powinien składać się z ekspertów w różnych dziedzinach i powinien mieć upoważnienie do zamknięcia kopalni, jeżeli sytuacja tego wymaga. Zgłaszam się na ochotnika. Nie spodziewam się jednak szybkiego odzewu.

Tero Manninen

Biolog

Espoo

Nie musiałem zgadywać, czy tekst poddano adiustacji. Oryginalna wiadomość musiała być co najmniej dwa razy dłuższa, widać to było po przeskokach wątku i niespójności stylu. W notatkach Lehtinena znalazłem numer telefonu i adres poczty elektronicznej Manninena. Spojrzałem na zegarek: 3.19. Wstałem z kanapy, podszedłem do okna i oparłem się o parapet. Nad

karniszem znajdował się otwór wentylacyjny; twarz owiewało mi chłodne świeże powietrze. Pomyślałem o Elli, o domu, o rodzinie. Byłem daleki od tego, co właśnie wymyśliłem. W każdym razie bardzo się starałem. Próbowałem przedstawić to sobie w jak najmniej atrakcyjnej formie. Przycisnąłem czoło do chłodnej szyby, spojrzałem na bielący się na podwórku śnieg.

Między rzędami samochodów na parkingu lawirowały dwie zakapturzone postacie. Narkomani. W poszukiwaniu. Przyciśnięci potrzebą. Cokolwiek, co można by upłynnić. Oni stali na mrozie, ja w ciepłe. Oni byli wyraźnie poza nawiasem, ja byłem w środku. A jednak wiedziałem coś o tym, co ich popycha, sprawia, że lekceważą ryzyko wpadki, lekceważą wszystko, co mogłoby ich powstrzymać przed tym, co muszą zrobić. Zatrzymali się przy niebieskim peugeocie, zafalował plecak, szyba rozleciała się w drobny mak. Zawył alarm, jeden z zakapturzonych wyciągnął coś z samochodu. Po kilku sekundach podwórko było puste.

Napisałem do biologa Manninena krótkiego maila. Wysłałem go o godzinie 3.42.

Mężczyźni wyszli z klatki schodowej za dwadzieścia dziewięć. Duże, rozkołysane podczas lotu do ziemi płatki śniegu nie przeszkadzały w zidentyfikowaniu postaci. Jedną z nich najwyraźniej był Antero Kosola, odpowiadający za bezpieczeństwo na terenie, barczysty olbrzym z długimi łapskami. Pomimo imponujących rozmiarów Kosola poruszał się lekko. Szedł pewnie po śliskim chodniku.

Czarnobrody niższy mężczyzna reprezentował przeciwny typ. Świat stanowił dla niego przeszkodę nie do przeskoczenia: suwak grubej puchowej kurtki nie słuchał go, każdy krok mógł się zakończyć potknięciem, odpluta flegma lądowała w kąciку ust i musiał ją wycierać rękawem czerwonej kurtki.

Mężczyźni poszli w dół po Tunturikatu. Na rogu Oksasenkatu zatrzymali się i wsiedli do zaparkowanego przy krawężniku jeepa cherokee. Kiedy samochód ruszył, a ziemię przysypała śnieżna masa, która spadła z jego dachu, Emil przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów i pojechał za jeepem.

Mężczyźni przecięli centrum, postali w kolejce do skrętu przy dworcu kolejowym, minęli galerię sztuki Ateneum, park Kaisaniemi i wjechali po moście do Hakaniemi, gdzie pracował jego syn. Zjechali na Sörnäisten rantatie. Terenówka wrzuciła kierunkowskaz w lewo i Emil dojechał za nią do stacji benzynowej.

Mężczyźni zaparkowali i przez zaśnieżony plac poszli do barku z kawą. Emil zostawił samochód po drugiej stronie stacji, na końcu ustawionych w rzędzie pojazdów. W kawiarni zamówił kubek kawy i drożdżówkę i zasiadł przy stoliku obok tego, przy którym siedzieli ci dwaj. Pili kawę i jedli kanapki. Z bułki

brodatego wyleciał kawałek pomidora i spadł mu na kurtkę. Bardziej plastikowa niż papierowa serwetka tylko pogorszyła wygląd okrycia. Emil spojrzał przez okno.

Śnieg zaczął padać po siódmej. Pierwsze płatki pojawiły się, kiedy siedząc przy oknie, jadł śniadanie. Za każdym razem początek śnieżycy wydawał mu się czymś cudownym: nagle z nieba zaczynało coś lecieć, a zaraz potem cały świat robił się biały.

Przez długi czas mężczyźni siedzieli w milczeniu. Kosola siedział odwrócony do Emila plecami. Z jego postawy, z każdego ruchu, Emil wnioskował, że ten człowiek zasługuje na uwagę. Ponieważ jest niebezpieczny. Brodacza w ogóle zignorował. Ten mógłby się udławić kanapką albo poślizgnąć na śniegu, zanim cokolwiek zdołałby zrobić.

Drożdżówka była świeża, ze słodkim maślanym nadzieniem pośrodku. Pomyślał, że jest ona zadośćuczynieniem za to, na co musi patrzeć.

Kosola powiedział coś do brodatego, w którego kąciku ust zawisł kawałek skórki z bułki wielkości liścia brzozy. Obaj odwrócili głowy w stronę parkingu, gdzie na wolnym miejscu zaparkowała biała terenówka BMW; silnik i światła zgasły. Wsiadł z niej mężczyzna w garniturze; mimo śniegu miał na nogach półbuty. Wszedł do kawiarni, zobaczył Kosolę i jego towarzysza i podszedł do nich.

Do Emila docierały tylko pojedyncze słowa, którym trudno było nadać jakiś sens. Nie szkodzi, pomyślał. Jeżeli ktoś odpowiedzialny za bezpieczeństwo w kopalni spędza czas tysiąc kilometrów od miejsca pracy, to niewątpliwie ma ku temu dobry powód. I na pewno jest to związane z tym spotkaniem.

Pił kawę i patrzył na ruch za oknem. Jaką część życia spędził w ten sposób: na śledzeniu ludzi, podsłuchiowaniu i przenikaniu do ich otoczenia?

A mimo to nie wpadał w rutynę. Pomyślał o tym, że jeden z tej dwójki, najprawdopodobniej czarnobrody niezdara, świński klown, kopał jego syna w twarz. Ci dwaj śledzili Jannego, chcieli

go postraszyć albo zrobić coś gorszego. Trudno było mu opanować myśli związane z ich działaniami. Ale już dawno temu nauczył się, że aby dodać siły myślom, trzeba je najpierw poskromić. Dlatego też siedział i czekał, aż czarne chmury odsuną się za horyzont. Żeby coś złapać, trzeba to najpierw puścić, tyle już wiedział.

Mężczyźni skończyli jeść. Kosola spojrzął na telefon, coś na nim wystukał. Brodatemu złamała się w ustach wykałaczka i zajęczał.

Emil dość się napatrzył.

Kosola wstał pierwszy. Był już w drzwiach, kiedy brodaty niezdarnie próbował go dogonić. Szerokie plecy Kosoli zdradzały, co myśli na temat swojego towarzysza. Z jakiegoś powodu brodacz był mu jednak potrzebny.

Jeep wyjechał ze stacji. Emil zobaczył, jak tył samochodu zarzuca na świeżym śniegu, ślizga się na zalodzonej jezdni i wóz skręca na wschód.

Kiedy metro sunęło po moście na Kulosaari, a skały po bokach zniknęły, człowiek miał wrażenie, że wjeżdża w biały wir, który jest sercem świata. Zazwyczaj po lewej stronie widać było sylwetkę śródmieścia, po prawej wieżowce w Pihlajamäki, szereg bloków w Arabianranta i zieleń zatoki Vanhankaupunginlahti, a w dole morze, po obu stronach. Teraz istnienie tych miejsc było kwestią wiary. Drzwi wagonu trzeszczały, kiedy wiatr testował ich wytrzymałość, a pociąg gnał na oślep.

Mój telefon zadzwieczał. E-mail. Biolog Tero Manninen. Przeczytałem wiadomość i nastrój popsuł mi się jeszcze bardziej. Kiedy za piętnaście czwarta poszedłem wreszcie spać, myślałem, że rano mój umysł będzie jaśniejszy, a instynkt sam podyktuje, co mam robić. Co prawda znałem odpowiedź, ale nadal nie chciałem się do tego przyznać przed samym sobą. Przekaz wiadomości Manninena był jasny: nadal był gotów do działania.

W Hakaniemi wiatr traktował ludzi jak pociągi. Wepchnął mnie w tunel, którym szedłem w nadziei, że tory doprowadzą mnie we właściwe miejsce. Znalazłem drzwi do klatki, w której mieściła się redakcja, i pogałem po schodach na trzecie piętro. Strząsnąłem śnieg z kurtki na kamienną posadzkę, zdjąłem szalik, tylko po to, by stwierdzić, że to nie on odpowiada za moje złe samopoczucie.

Hutrila siedział u siebie w gabinecie. Podniósł wzrok i zobaczył, że nie mam ze sobą papierów Lehtinena. Jego oczy pociemniały. Odwrócił się z powrotem do komputera. Zniosłem kurtkę do mojego stanowiska, wyjąłem spod biurka karton zawierający część materiałów Lehtinena i postawiłem go na biurku.

Jeżeli ktoś kiedyś zapytałby mnie, skąd się biorą wielkie przewroty, to na podstawie własnego doświadczenia odpowiedziałbym: z nic nieznaczących codziennych zmian, ot, choćby przełożenia kartonu o metr wyżej. Zamiast po kawę, udałem się prosto do gabinetu naczelnego. W południowej części biura widziałem złotawe ramiona Tanji Korhonen.

– Zmieniłeś zdanie – odezwał się Hutrila. Nie odrywał wzroku od ekranu.

– Dowiedziałem się czegoś nowego – odparłem, zamykając drzwi.

– To chyba wpisuje się w naturę tego zawodu. Zdobywanie nowych informacji.

Zignorowałem tę złośliwość.

– Nie rozmawiałeś jeszcze z nikim? – spytałem.

Przeniósł palce znad klawiatury na biurko i oparł się na fotelu. Pomyślałem, że wie o mnie wszystko.

– Czy w domu też zmienili zdanie?

Pokręciłem głową. Twarz Hutrili pozostawała niewzruszona.

– Jeszcze z nikim nie rozmawiałem – oznajmił. – Odniosłem wczoraj wrażenie, że wcale nie jesteś przekonany co do słuszności swojej decyzji.

Milczałem.

– Wiesz, co teraz będzie? – spytał.

Tak. Mam nadzieję, że wiem. Niestety.

– Umówimy się tak – zaczął Hutrila. – Ty gruntownie zbadasz sprawę tej kopalni. Wydobędziesz z niej wszystko, tak że nie zostanie kamień na kamieniu. I to nie jest gra słów.

– Dobrze.

– Zaczynasz w tej chwili. W poniedziałek stawiasz się tutaj z gotowym tekstem. Jeżeli nie będzie gotowy, to przynajmniej bardzo zaawansowany, ja to ocenię. Jeśli nie będę zadowolony, następny tydzień zaczynasz jako korektor życzeń i nekrologów i zostaniesz tam aż do emerytury. Sam pokryjesz koszty podróży i wszystkie inne wydatki, a ja później zdecyduję, czy w ogóle zwrócić ci te pieniądze. Wszystko zależy od wyników.

Zobowiążesz się także, że przez najbliższe tysiąclecie o nic mnie nie poprosisz. Rozumiemy się?

Czy rozumiałem samego siebie? Zamiast odpowiedzieć na pytanie naczelnego zadzwoniłem do Manninena. Powiedział, że musi wiedzieć o wyjeździe z dwugodzinnym wyprzedzeniem, żeby mieć czas na zebranie niezbędnego ekwipunku. Odparłem, że w takim razie wyjeżdżamy za dwie godziny. Już mieliśmy skończyć rozmowę, kiedy zapytał, czy mam kogoś, kto zna dobrze tamtejsze tereny. Jeżeli nie, on miałby kogoś.

– Maarit Lehtinen – oznajmił.

Emil przycisnął ucho do słuchawki i rozejrzał się. Przed południem w księgarni panowała cisza, ale nigdy nie można być niczego pewnym.

– Wczoraj, kiedy się spotkaliśmy, opowiadałem ci o pracy i... o wszystkim innym, co się z tym wiąże – powiedział Janne. – Pomyślałem, że powiem ci resztę. Postanowiłem jeszcze raz pojechać na północ. Zamierzamy pobrać próbki.

– Zamierzacie?

– Tak.

– Jest was więcej?

– Jest nas... troje.

Głos Jannego zdradzał, że opowiada o czymś więcej niż tylko o pracy. Jakby się do czegoś przyznawał. A on był... przez chwilę szukał właściwego słowa: ojcem. Tak musiało być, pomyślał, tak mogło być.

– To pobieranie próbek – powiedział Emil i zanurzył się głębiej między regały, w początek thrillerów i kryminałów; na wysokości oczu widniało duże białe A – oznacza najwyraźniej coś... jak by to powiedzieć... nieoficjalnego.

– Nawet bardzo – odparł szybko syn i zawiesił głos. – Żeby pobrać próbki, musimy wejść na teren kopalni.

– Czy to konieczne? Czy nie dałoby się tego przeprowadzić z Helsinek?

Od kiedy był udzielającym rad rodzicem? Jakim prawem, z jakiej racji?

– To gówny płynie na północy – odpowiedział cicho Janne zdecydowanym głosem, jakby czytał w jego myślach.

– Oczywiście. Rozumiem – przyznał Emil szczerze.

– Odjazd za dwie godziny.

– Uważaj na siebie.

Chłopak milczał.

– Będę uważał – powiedział wreszcie. – Ty też uważaj.

Emil zamarł na chwilę z telefonem w dłoni. Wrzucił go do kieszeni, popatrzył przed siebie na książki od litery A do D, ustawione według nazwisk autorów: *morderca taki, morderca siaki, śmierć tu, śmierć tam, zabójstwo takie, zabójstwo owakie*.

Wyszedł ze sklepu i spojrzał w niebo. Wydawało się, że jest wyżej niż w ostatnich dniach. Śnieg padał zawsze z niskiego nieba. Emil próbował skupić się na faktach, ale sprawiało mu to trudność. Równie wielką jak przyznanie się do tego, co go przed chwilą tak wystraszyło.

Syn brzmiał jak własny ojciec.

Pełen zapis rozmowy, w wyniku której ostatecznie straciłem rodzinę:

JA: Przykro mi, Pauliino, ale...

PAULIINA: Żegnaj.

Samochód prowadził biolog Manninen, Maarit siedziała obok niego, a ja zająłem miejsce z tyłu, za kierowcą. Świeży, lekki, zmrożony śnieżek wirował na jezdni, tańczył i falował z prądem powietrza. Manninen zgarnął mnie spod redakcji, a potem podjechaliśmy po Maarit, która czekała nieopodal. Biolog pochwalił ją za pracę, którą wykonywała jako jego asystentka.

– To już tyle lat – odparła Maarit.

– Trzy i pół – podsumował. – Helsińskie Centrum Badań nad Środowiskiem. Istniało, dopóki nie zaczęły się cięcia i oszczędzanie. Moje ostatnie stałe miejsce pracy.

Samochód Manninena nie należał do najnowszych. Trząsał się, trzeszczał i sprawiał wrażenie, jakby nieuważny sześciolatek skleił go kiepskim klejem. Z kieszeni w oparciu fotela przede mną wystawały papiery. Wśród nich dostrzegłem logo znajomej pizzerii.

– Wy się już znacie, prawda? – spytał mnie.

Właśnie dlatego w Kurvi przesiadłem się do tyłu. Widziałem ich oboje, a oni nie spoglądali na siebie.

– Środowisko jest dość małe – powiedział Manninen. – Domyślam się, że wśród dziennikarzy jest dokładnie tak samo. Wszyscy wszystkich znają. Wszyscy mówią źle o wszystkich. Tylko nie prosto w oczy.

– Jakie środowisko? – spytałem.

Manninen zerknął na Maarit.

– Biolodzy się dobrze znają – wytłumaczyła Maarit.

– Helsinki to małe miasto – dodał Manninen.

Z jakiegoś powodu wcześniej myślałem, że jest młodszy. Z brzmienia głosu podczas naszej rozmowy przez telefon

wywnioskowałem, że jest to człowiek niski i chudy. W rzeczywistości miał pięćdziesiąt sześć lat, a wzrostem i kolorytem przypominał słynnego niegdyś zapaśnika Hulka Hogana.

– Tak, to prawda, na każdym kroku wpada się na kogoś znajomego – przytaknąłem.

– Maarit świetnie zna teren kopalni. – W górnym lusterku widziałem jego oczy.

– Ach tak – rzuciłem.

– Ja odpowiadam za pomiary.

Mój wzrok powrócił na drogę.

Niech będzie, pomyślałem. Ja piszę artykuł, wasze gierki, wasza sprawa. Wiem, że macie powody, żeby mi pomóc, a mnie to pasuje. Pracuję nad artykułem i wszystkie chwytaki są dozwolone. Każdy dziennikarz to wie, chociaż na zewnątrz nieustannie paplamy o przestrzeganiu zasad etycznych, o dobrych zwyczajach w tym zawodzie. Ple-ple-ple, powiedziałbym do Elli i połaskotał ją pod brodą. Zimne pożegnanie Pauliiny gryzło mnie w piersi, przygniatało. Nawet nie chciałem myśleć o konsekwencjach. Ktoś musiał napisać ten artykuł.

– Kiedy po raz ostatni byłeś w Suomalahti? – spytałem Manninena.

Maarit spojrzała za okno. Grube pnie brodziły w śniegu. Manninen zerknął w lusterko wsteczne.

– Czemu pytasz?

– Happy Pizza.

Prawa ręka kierowcy spoczęła na drążku skrzyni biegów, po czym wróciła na kierownicę.

– Prawda – powiedział. – Będzie z miesiąc.

– Po co tam pojechałeś?

– Byłem ciekaw.

– Dostałeś się na teren kopalni?

– Masz na myśli, czy znalazłem się po drugiej stronie płotu?

– A więc byłeś.

Zbył to milczeniem. Duża głowa i jasne, proste włosy sprawiały, że podobieństwo do Hogana było uderzające. W niebieskich oczach pojawiały się lodowate iskry, a potem spojrzenie ocieplało się jak lód, który za każdym razem roztapia się tam, gdzie padnie spojrzenie.

– I co z tego? – Maarit przerwała ciszę, którą wypełniał jedynie odgłos silnika samochodu. W ogóle nie widziałem jej twarzy.

– Tylko tyle, że jeżeli ktoś widział tam jego i samochód, to może ze sobą skojarzyć te dwie sprawy.

– Nikt nic nie widział – ucięła Maarit. – Wtedy było ciemno, a teraz jest jeszcze ciemniej.

Westchnąłem. Jeszcze ponad siedem godzin.

Śnieżne zwały rosły po obu stronach drogi, światło dzienne gasło, aż wreszcie znikło zupełnie. Ciemność otaczająca samochód wydawała się tak silna, że mogłaby mnie wchłonąć, jeżeli tylko wyszedłbym poza obręb blasku reflektorów. Ci z przodu milczeli. Nie narzekałem. Włączyłem laptop i przeglądając papiery Lehtinena, sporządzałem notatki. Zabierając jego materiały ze sobą, obiecywałem sobie po nich więcej. Włączyłem latarkę w komórce i wyciągnąłem z plecaka książkę *Droższe niż złoto. Historia Fińskiej Spółki Górniczej*. Wydano ją w 1994 roku. Nie było w niej ani słowa o dzisiejszych czasach, ale nigdy nie wiadomo, co można znaleźć w takiej lekturze.

Podróż trwała, czas mijał godzina za godziną.

W którymś momencie podniosłem głowę i obudziłem się. Rozmasowałem twarz. W tej samej chwili coś wystraszyło Manninena i skręcił gwałtownie kierownicą.

Prawym bokiem przytarliśmy śnieżny zwał na poboczu. Telefon i książka wypadły mi z rąk. Ciężarówka wioząca drzewo. Wznieciła chmurę śniegu, przypominającą gęste białe błoto. Wycieraczki włączone przez Manninena niemal w niej utonęły. Jechaliśmy jakieś sto kilometrów na godzinę. Zupełnie jakbyśmy zatonęli na głębini. Potem widoczność się poprawiła, a ciemność przypominała światło.

Serce waliło mi jak młotem. Podniosłem z podłogi spomiędzy nóg komórkę. Wyświetlacz zgasł. Włączyłem go i zobaczyłem zdjęcie taty. To, które zrobiłem podczas wspólnego lunchu. Im dłużej się w nie wpatrywałem, tym więcej widziałem. Już nie patrzyłem na obcego mężczyznę. To był mój ojciec. W głębokich zmarszczkach na policzkach widziałem bieg czasu, na wąskiej twarzy samodyscyplinę. Najwięcej mówiły oczywiście oczy. To, co początkowo wziąłem za chłód i wyrachowanie, okazało się skupieniem i cierpliwością. Wyglądał na kogoś, kto jest przyzwyczajony do czekania i niełatwo go wyprowadzić z równowagi. Oczy patrzyły prosto w obiektyw, na mnie.

Ojciec był częścią mojego życia. Nie wiedziałem, czy mam być rozzłoszczony, czy urażony, czy może rzucić mu się na szyję i zapłakać. Nie byłem zdolny do niczego takiego, a mimo to serce łomotało mi w piersi. A powodem nie była jedynie ciężarówka i to, że otarliśmy się o zwał śniegu. Chwila, w której zrobiłem to zdjęcie, zmieniła bieg spraw, przeniosła ciężar, obudziła w mojej duszy dawne, zapomniane życzenie. Jednocześnie ujawniła coś, czego wolałbym pozostać nieświadomy: cenę utraty i niemożność przywrócenia pewnych rzeczy.

Nie musiałem spoglądać w szybę samochodu, by wiedzieć, kogo w nim zobaczę.

Tego samego mężczyznę, tylko młodszego.

Do Suomalahti nie było drogi objeżdżającej wieś, ale może niepotrzebnie się martwiłem. Ciemna noc i gęsty śnieg zamykały ludzi w domach, na zewnątrz nie było widać nawet śladu życia. Manninen powiedział, że weźmie benzynę.

– Czemu nie zatankowaliśmy choćby w Kuusamo? – spytałem.

– Kto prowadzi ten samochód?

Wjechaliśmy na znajomą stację benzynową. Okna kawiarni były ciemne. Manninen wysiadł z samochodu i po chwili pistolet dystrybutora stuknął o wlew. Maarit niezmiennie patrzyła w prawo, tak jak to robiła mniej więcej przez całą drogę.

– No to jesteśmy – powiedziałem.

– Tak chyba miało być.
– To zależy, kogo o to zapytać.
– Nie martw się. Dostaniesz to, na czym ci zależy – uspokoiła mnie.

– A ty?

– A co ja?

– Czy ty też dostaniesz to, czego chcesz? – spytałem.

Maarit milczała kilka sekund, zanim się odezwała:

– Mój ojciec umarł. Z tego powodu. Jestem o tym przekonana. To go oczywiście nie wskrzesi, ale... Trzeba to zrobić, trzeba zrobić to, co można.

– To wszystko? – nie dawałem za wygraną.

Maarit nie zdążyła odpowiedzieć. Podczas naszej rozmowy światła samochodu, które wcześniej widziałem daleko za nami, skręciły i wolno wjechały na teren stacji. Samochód wyłonił się z ciemności, ze środka zamieci, a jego reflektory przez dłuższy czas były skierowane na nas, więc jego markę rozpoznałem dopiero wtedy, gdy przejechał na drugą stronę dystrybutora. Jednocześnie w żółtym świetle padającym spod zadaszenia stacji zdołałem zajrzeć do środka.

Jeden rzut oka mi wystarczył.

W ułamku sekundy rzuciłem się na siedzenie. Kierowca jeepa nie obrócił głowy w naszą stronę. Słyszałem, jak otwierają się drzwi terenówki. Nie słyszałem kroków dużego mężczyzny. Nie spodziewałem się ich dźwięku. Nigdy ich nie słyszałem.

Manninen odwiesił wreszcie pistolet i ruszyliśmy. Kiedy poczułem, że samochód skręcił już kilka razy i przyspieszył, podniosłem głowę. Obejrzałem się, ale nie zobaczyłem samochodu – jedynie żółty blask stacji benzynowej i padający śnieg. Gdzieś tam był szef ochrony Kosola.

– Znasz tego faceta, który stał przy dystrybutorze? – zapytałem biologa, kiedy już z powrotem usiadłem. Zastanawiałem się, czy Maarit w ogóle zauważyła to moje nurkowanie.

– Kogo? – spytał Manninen.

– Oprócz nas na stacji był tylko jeden samochód. Wsiadł z niego tylko jeden mężczyzna, żeby zatankować.

– Nie zwróciłem uwagi.

– I nie wydał ci się znajomy?

– Nie. Kto to był?

Spojrzałem na Maarit.

– To bez znaczenia.

Wiatr wył. Śnieg tańczył w świetle reflektorów coraz bardziej niespokojnie, jakby nosił tren, który coraz bardziej mu ciążył i utrudniał ruchy. Przez jakieś pół godziny jechaliśmy niemal po omacku. Szosa okrążyła tereny kopalni, aż zamieniła się w główną drogę dojazdową, od której odchodziły boczne leśne przecinki. Podjechaliśmy możliwie blisko wschodniej granicy kopalni. Zamierzaliśmy użyć latarek, więc potrzebowaliśmy osłony lasu. Ta strona doskonale się do tego nadawała.

Szybko się okazało, że samochód musimy zostawić na skraju większej drogi, bo inaczej nie zdołalibyśmy wrócić. Zaczęliśmy się ubierać. Tym razem byłem lepiej przygotowany niż poprzednio. Zaopatrzyłem się w mnóstwo ciepłych ubrań, a do plecaka zapakowałem nawet prowiant. Jasnoczerwony plecak Manninena, który przyczepił do pleców serią skomplikowanych węzłów, wyglądał na ciężki. W ręce miał wiertarkę. Ja dostałem do niesienia składaną saperkę.

– Jakies trzy kwadranse – powiedziała Maarit, stawiając pierwsze kroki w głębokim śniegu. – Szybkim marszem.

Wiatr wciskał śnieg do ust i oczu. Szliśmy zgięci jedno za drugim, ja na końcu. Najlepszą ochroną przed wiatrem i zimnem było dokładnie to, co robiliśmy: ruch. Stanie w śniegu stawało się męczarnią.

Po półgodzinnym marszu byłem pewien, że przez chwilę słyszałem ryk silnika. Wysoki warkot przyspieszającej maszyny. Zagłuszyło go wycie wiatru, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć dyszącemu przede mną, gigantycznemu biologowi.

Maarit przez cały czas robiła wrażenie, że wie, dokąd idziemy. Widziałem, jak co jakiś czas przysuwa nadgarstek do twarzy.

Kompas, pomyślałem. Szła szybko i lekko. Ja i Manninen musieliśmy się nieźle napocić, żeby dotrzymać jej kroku.

Śnieg rozpuszczał się nam na twarzach, wiatr smagał skórę. Ledwo starczało mi tchu, pot spływał z pleców. Nieustanne podnoszenie wysoko nóg męczyło mięśnie ud. Powoli zaczynały sztywnieć i ruchy robiły się coraz cięższe. Nikt nic nie mówił. Wiatr wiał. Oprócz niego słyszałem tylko nasze kroki.

Świat malał.

Doszliśmy do przecinki i wkroczyliśmy na otwartą przestrzeń. Natychmiast dotkliwiej odczuliśmy działanie wiatru. Byliśmy jakieś pięć minut drogi od miejsca, gdzie przebiegał nielegalny rów. Zimno przenikało przez ubrania. Szliśmy teraz wzdłuż rzeki. Wiedziałem o tym, chociaż nie widziałem jej koryta. Woda płynęła pod śniegiem, było ciemno, a śnieg, który chyba cały czas się wzmaczał, przypominał łopoczącą na wietrze zasłonę.

Wreszcie doszliśmy do miejsca, które można było znaleźć i bez latarki. Popatrzyliśmy po sobie; dotarliśmy tam, gdzie zamierzaliśmy.

Śnieg robił, co mógł, żeby wszystko przykryć, ale nie do końca mu się to udało. Kanał był głęboki i najwyraźniej długi. I świeży, biegł prostopadle do rzeki i do niej wpadał. Podczas ostatniej wizyty na terenie kopalni patrzyłem na to miejsce z przeciwnego kierunku, z odległości mniej więcej kilometra. Zeszliśmy pięć metrów w dół po stromym zboczu i zatrzymaliśmy się. Pod śniegiem był lód, a pod nim woda. Manninen odłożył wiertarkę, odpiął klamrę plecaka i zrzucił go z siebie. Wyjął z niego stojącą latarnię i plastikową zasuwaną torbę. Ustawił latarnię i włączył. Nagle całe dno rowu opromieniła jasność. W torbie miał słoiki z czerwonymi pokrywkami.

W milczeniu kontynuował przygotowania. Starłem się na coś przydać, wziąłem wiertarkę, wbilem w lód i zrobiłem odwiert. Zapach nie przypominał zapachu czystego lapońskiego strumyka. Odsunąłem się, żeby przepuścić Manninena, i świeciłem latarką, podczas gdy on przystąpił do pracy. Do napełnienia słoików używał małej ręcznej pompki. Maarit

spoglądała na kompas. Manninen napełnił słoiki i spakował je do torby. Wyciągnął jeszcze jedno urządzenie – wielkości staromodnego aparatu, ale bardziej solidne. Wyjaśnił, że zmierzy jeszcze prędkość strumienia.

Znów usłyszałem wysoki warkot silnika. To się podnosił, to opadał, a potem znikał na wietrze. Maarit obróciła się do nas plecami. Ona też coś usłyszała. Zajęty wodą biolog chyba nic nie zarejestrował. Zimno mroziło mi nogi, bolały mnie palce stóp. W świetle latarki dłonie Manninena przypominały kolorem kość słoniową. Znów rozległ się dźwięk silnika. Tym razem wszyscy go usłyszeliśmy.

– Jeszcze tylko kilka sekund – zamruczał Manninen.

Maarit i ja milczeliśmy, a on skupił się na pracy. Miałem ochotę uciekać. Warkot dobiegał już z bardzo bliska. Skuter śnieżny, teraz byłem tego pewien. Manninen wyciągnął urządzenie z dziury, wziął plecak i spakował go. Wyprostował się, poprawił czołówkę i już miał założyć plecak na plecy, kiedy głuchy wystrzał przerwał wszystko i gardło Manninena rozplatało się jak pod ostrzem noża.

Podążał za synem, jego towarzyszką podróży i potężnym blondynem najpierw do wyludnionej zamarznętej wsi, potem do świerkowego lasu, przez las, przecinkę aż do rowu. Patrzył, jak spuszczają się po stromym zboczu, jak syn wierci dziurę w lodzie w świetle latarni, jak solidnie zbudowany mężczyzna pobiera próbki.

Sposób poruszania się Jannego i wykonywania pracy sprawiły, że znów westchnął: jeszcze jedna rzecz, umiejętność syna, o której nie miał pojęcia; nie widział, jak się rozwijała w jego dziecku.

Wiatr rozdmuchiwał śnieg, wył w koronach, a mimo to Emil znów usłyszał dźwięk silnika jakiegoś pojazdu. Słyszał go już w lesie, po raz pierwszy zaraz po tym, jak wyruszył w ślad za trzema czołówkami w sam środek nieprzeniknionej, marznącej ciemności.

Czasami warkot znikał – może zagłuszał go wiatr lub wytłumiał śnieg – ale szybko stało się jasne, że pojazd podąża tam, gdzie aktualnie znajdował się jego syn. Emil widział, że syn też się już zorientował. Emil był jednak zbyt daleko, żeby usłyszeć, czy Janne coś mówi. Kobieta odwróciła się w stronę, z której nadjeżdżał skuter. Wielki mężczyzna kontynuował pracę, aż w końcu i on coś zauważył, sięgnął po torbę, spakował ją i wstał. W świetle latarni, w pełni wyprostowany, przypominał pomnik wzniesiony w niewłaściwym miejscu.

Strzał. Strzelba. Duży kaliber.

Trafienie. Mężczyzna niczym latarnia morska. Szyja. Śmierć.

Skuter śnieżny. Bardzo blisko.

I nagle stało się oczywiste, kryształowo jasne, jaką rolę Emil miał odegrać tu i teraz.

Palily go płuca, w gardle czuł drapanie. Szedł przez śnieg. Widział, jak czołówki lecą krzywo do góry po przeciwległym zboczu, a potem znikają w śniegu i zawiei. Domyślał się, że to Janne i kobieta zdarli je z głów i wrzucili w śnieg. Wcześniej zauważył, że mają również zwykłe latarki. Uznał, że wystarczą im, żeby dotrzeć do samochodu. Jeżeli tylko...

Poszedł w kierunku, z którego strzelano i z którego dochodził warkot.

Światło skutera pojawiło się jak znikąd na szczycie zbocza. Lampa świecąca na dnie rowu rzucała dość blasku, żeby dało się odróżnić kontury dwóch postaci na skuterze. Ta z tyłu miała na plecach strzelbę i była znacząco mniejsza niż barczysty mężczyzna o długich rękach, który prowadził skuter.

Emil wiedział, kim są mężczyźni. Siedział już obok tych dwóch i obserwował ich. Teraz już rozumiał, po co ten duży zabierał wszędzie tego drugiego: ten drugi, mimo śniegu i ciemności, trafił właśnie w mały cel na środku pustkowia.

Skuter się zatrzymał i mężczyźni zdjęli z oczu gogle. Jasnowłose olbrzym leżał na boku w śniegu na dnie rowu z rękami i nogami szeroko rozrzuconymi, jakby biegł i zamarł.

Emil potrzebował zaledwie paru sekund. Ściągnął rękawiczkę z prawej dłoni, otworzył nóż sprężynowy i go ścisnął. Był to najbardziej znajomy przedmiot w tym obcym otoczeniu.

Kciuk człowieka prowadzącego skuter miał właśnie wcisnąć gaz. A może Emilowi tylko się zdawało, że widzi to tak wyraźnie. Wyszedł z ciemności zza dużego głazu.

Ten wysoki obrócił się i zobaczył Emila; uniósł się na swoich długich, mocnych nogach, zrzucił rękawiczkę i sięgnął do pasa. Był szybki jak na swoje rozmiary – już stał wyprostowany. Jednym ruchem przerzucił lewą nogę nad siedzeniem i wylądował w śniegu przed Emilem. Prawa ręka znalazła się we właściwym miejscu przy pasie.

Pistolet.

Emil znów musiał improwizować. W grząskim śniegu wszystko działo się jak na zwolnionym filmie. Najpierw zrobił to, co było nieuniknione, czyli to, co było możliwe. Znalazł się przed przeciwnikiem.

Kiedy długie ramię trzymające broń prawie całkiem się wyprostowało, Emil przebił nożem nagi nadgarstek. Wyciągnął nóż, cofnął rękę i wyprostował się. Sprawdził, gdzie upadł pistolet, i zrobił jeszcze jeden krok w kierunku mężczyzny. Ten próbował uderzyć lewą ręką, lecz Emil zrobił unik, i natychmiast zaatakował. Atak był precyzyjny; koncentrował się na jedynej części ciała, która nie była przykryta grubą warstwą grubego materiału. Ostrze wbiło się w oko aż po rękojęść. Emil wyciągnął nóż i zatopił go w drugim oku. Przeciwnik zarył w śniegu po kolana i upadł na bok.

Małemu ciemnobrodemu mogło sprawiać trudność zjedzenie pączka lub zapięcie kurtki, ale nie obsługa broni. Chwilę, której Emil potrzebował na unieszkodliwienie jego towarzysza, brodacz wykorzystał do ściągnięcia z pleców strzelby, załadowania i podniesienia. Zanim jednak wykonał następny ruch, Emil zanurzył ręce w śniegu i znalazł zgubę. Podniósł pistolet i trzy razy wystrzelił z niego w twarz brodatego. Z kominiarki dobiegł jęk i mężczyzna zwałił się do tyłu. Palec na spuście zdążył jeszcze wykonać swoje zadanie; pocisk poszybował w miotające śniegiem niebo.

Emil zgasił silnik skutera, zostawił jednak włączone światła i przez chwilę nasłuchiwał. Tylko wiatr w drzewach i śnieżna zamieć. Popatrzył w dół na strumień.

Po raz kolejny zostałem wezwany na drugi koniec korytarza. Przesłuchanie trwało już półtorej doby i czułem, że wkrótce będę znał posterunek w Kemijärvi lepiej niż moje byłe mieszkanie.

Wiele razy powtórzyłem to, co wiedziałem. W przerwach próbowałem zasnąć w ponurej poczekalni, z której zazwyczaj korzystali policjanci z nocnej zmiany, sen jednak nie przychodził.

Była dziewiąta rano. Drzwi do pokoju przesłuchań były otwarte, wszedłem do środka. Za stołem siedział czterdziestoletni mężczyzna, który na mój widok wstał i wyciągnął rękę.

– Antero Halonen, rozmawialiśmy kiedyś przez telefon.

Skojarzyłem imię i głos. To do niego dzwoniłem, żeby dowiedzieć się, czy policja naprawdę bada przypadki śmierci wśród członków zarządu Finn Mining. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Halonen pachniał drogą wodą po goleniu – powiew wielkiego świata. Pod czarną marynarką miał śnieżnobiałą koszulę. Obie sztuki garderoby były najwyraźniej markowe. Włosy krótkie i ciemne, na skroniach modnie podkreślona siwizna. Miał mocno zarysowaną szczękę, a na niej celowo niegolony parodniowy zarost.

– Wydział kryminalny policji w Helsinkach – powiedziałem.

Halonen uśmiechnął się szarmancko.

– Tak, współpracujemy z lokalną policją – wytłumaczył. – Usiądź, proszę.

Sam zajął miejsce i rozłożył znajdującą się przed nim teczkę. Wyjął z kieszeni mały dyktafon.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu, że będę nagrywał naszą rozmowę – powiedział. Nie było to pytanie, nawet nie brzmiało jak pytanie. Spojrzał na mnie, a potem na leżące przed

nim dokumenty. Podniósł jeden z nich, przeczytał, a potem wypuścił go z rąk.

– Przyjechaliście do Suomalahti przedwczoraj wieczorem. Z kim i dlaczego?

– Już to przecież mówiłem...

– Powiedz to teraz mnie.

– Maarit Lehtinen. Tero Manninen. Ja. Chcieliśmy zbadać kopalnię, pobrać próbki.

– Wiedziałeś, że wchodzenie na teren kopalni jest zabronione.

– Wiedziałem.

Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem.

– Co się wydarzyło? – spytał.

– Dotarliśmy do celu. Do strumienia. Pobraliśmy próbki. Ktoś zastrzelił Tero Manninena. Maarit i ja uciekliśmy. Wróciliśmy do samochodu, ale klucze zostały u Manninena. To on prowadził przez całą drogę z Helsinek do Suomalahti. Zadzwoniliśmy na policję i ruszyliśmy patrolowi naprzeciw. Szliśmy pół godziny, zanim nadjechał pierwszy radiowóz. Dotarliśmy nim tutaj, do Kemijärvi.

– Co dokładnie wydarzyło się nad strumieniem? Opowiedz wszystko w takiej kolejności, jak to zapamiętałeś.

– Wywierciłem dziurę. Manninen pobrał próbki. Znowu usłyszałem warkot skutera, już wcześniej go słyszałem, ale nie wiedziałem, co to za dźwięk. Zaczęliśmy się zbierać do powrotu. Manninen spakował plecak. Zebrałem resztę rzeczy: saperkę i wiertarkę. Potem ktoś strzelił. Manninen upadł na ziemię, a ja i Maarit uciekliśmy.

– Nikogo nie widziałeś.

– Nie.

– Ani przed wystrzałem, ani po.

– Nie.

– W żadnym momencie nie zauważyłeś, żeby w lesie był ktoś jeszcze oprócz ciebie, Maarit, Manninena i wspomnianego przez ciebie skutera?

– Nie.

– A próbki?

– Były w czerwonym plecaku Manninena. Który został nad strumieniem.

Halonen przyglądał mi się swoimi zielononiebieskimi oczami hipnotyzera.

– Słyszałeś inne strzały?

– Inne strzały... Nie. Tylko jeden, który zabił Manninena.

– Przestraszyłeś się?

– Oczywiście. Nie mogę po tym zasnąć.

– To zrozumiałe.

Halonen znów skupił się na swojej teczce. Po kolei przewracał papiery: jeden, drugi, trzeci, czwarty... Przy dziesiątym odchylił się. Nadal siedział prosto, ale teraz patrzył na mnie jakby z daleką, całościowo.

– No dobrze – odezwał się. – Uciekliście stamtąd, Maarit i ty. Czy przez cały czas, do momentu przybycia policji, byliście razem?

– Tak.

– Żadne z was nie zostało przy strumieniu, na jakiś czas? Żadne z was nie zboczyło z trasy?

– Nie i nie.

– Jesteś pewien, że Maarit powiedziała to samo?

– Oczywiście. Czyżby mówiła coś innego?

Halonen nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Nie.

Przez chwilę milczeliśmy, a potem zapytał:

– Jak dobrze znasz Maarit?

– Nie za dobrze.

– Znasz Santtu Leikolę?

– Tego Santtu Leikolę, który...

– ...wspiął się na dach parlamentu. Znasz go?

– W ogóle. Co on ma do rzeczy?

Nie odpowiedział.

– Wróćmy do zdarzeń przedwczorajszego wieczoru – powiedział po chwili przerwy. – Czy w którymś momencie

zauważyliście, że jesteście śledzeni?

– Przecież mówiłem, że słyszałem skuter. Mówiłem, że ktoś zastrzelił Manninena. Tak. Zauważyliśmy, że jesteśmy śledzeni.

– A w drodze z Helsinek?

– Nie potrafię powiedzieć.

– A później, podczas ucieczki?

– Myślałem, że oni nas śledzą.

– Oni?

Zaczynałem się irytować.

– Skuter – odpowiedziałem powoli. – Jedna osoba albo więcej. Myślałem, że on albo oni nas śledzą.

– Nie wiedziałeś, że jadący skuterem mężczyźni też zostali zabici?

Popatrzyłem na Halonena.

– Nikt mnie o tym nie poinformował – rzuciłem.

– Prosiłem, żeby nie mówić.

W pokoju zapadła cisza. Czerwone oko dyktafonu świeciło niewzruszone. Po drugiej stronie stołu Mister Finland patrzył na mnie obojętnie.

– Teraz trochę lepiej rozumiem, dlaczego się mnie tutaj przetrzymuje i dlaczego nieustannie muszę odpowiadać na te same pytania – odezwałem się. – A nuż mi się coś wymysknie, popłaczę się w zeznaniach i niespodziewanie zdradzę, że to ja zabiłem w lesie paru facetów, chociaż myślę, że się nie domyślicie, że to ja. Mogę ci pomóc. To nie byłem ja.

Halonen patrzył na mnie jeszcze chwilę, po czym zamknął teczkę.

– Chciałbym cię prosić o przysługę – powiedział.

– Co takiego? Mam się przyznać?

Puścił moją uwagę mimo uszu.

– Chcielibyśmy utrzymać to możliwie długo z dala od mediów. Byłbym bardzo zobowiązany, gdybyś zachował to wszystko dla siebie. Na razie.

Wyciągnął prawą rękę, zabrał dyktafon ze stołu i wyłączył czerwone oko.

– Jak już mówiłem, przez jakiś czas zachowasz to, co widziałeś, dla siebie. Jeszcze jedna sprawa, równie ważna: zgłosisz się do mnie, gdy tylko przypomnisz sobie coś nowego albo usłyszysz o czymś, co w jakiś sposób wiązałoby się z wydarzeniami na terenie kopalni. Natychmiast. Do mnie. Jako dziennikarz rozumiesz na pewno znaczenie tych słów.

Patrzył, jak syn opuszcza w mroźny poranek posterunek policji, zwraca twarz do nieba, spogląda w prawo i w lewo i podchodzi do krawężnika. Janne rozejrzał się w obie strony, ale go nie zauważył. Dzielilo ich prawie dwieście metrów. Z takiej odległości dostrzega się tylko to, czego się szuka.

Janne ruszył główną ulicą. Ulicą Wolności. Emil nacisnął guzik i volvo XC70 ożyło. Wypożyczył je w Rovaniemi, posługując się belgijskim paszportem i kartą kredytową. Syn stawiał kroki zmęczonego człowieka. Apteka, księgarnia, sklep z ubraniami, kiosk. Nie spojrzął na żaden z nich. Zwolnił dopiero przy małym piętrowym hotelu.

Emil zrozumiał, czego Janne szuka. Sam był głodny. Zaparkował samochód dwadzieścia metrów od wejścia i zabrał czarną torbę z siedzenia obok. Mróz mimo swej intensywności (czerwone cyfry na dachu supermarketu wskazywały -18°C) nie doskwierał przesadnie; było sucho i bezwietrznie.

Syn zajął miejsce przy oknie. Sala była mała, typowa multifunkcyjna przestrzeń: jadalnia, restauracja, klub. Wykładzina podłogowa, reklamy wódki, ciemne meble. Kiedyś takie pomieszczenia budowano wszędzie. Janne zatopił wzrok w ekranie telefonu, tak jak to robili w dzisiejszych czasach wszyscy ludzie młodszy od Emila; poruszali się z miejsca na miejsce jak żywe trupy, które dostają instrukcje z małych wyświetlaczy. Syn oderwał wzrok od telefonu dopiero w momencie, gdy Emil odsunął sąsiednie krzesło i położył na nim czarną torbę.

Emil oszczędził stół i usiadł po drugiej stronie, naprzeciwko syna. Janne śledził jego działania, ale nawet nie spojrzął na

czarną sportową torbę.

– Dzień dobry – powiedział Emil, kiedy znaleźli się już twarzą w twarz. – Pora śniadaniowa. Zamówiłeś już coś?

– Tak. Dzień dobry.

– Co zamówiłeś?

Syn spojrzał na niego.

– Śniadanie. Jest tylko jedno. Owsianka, jajka, chleb, kiełbasa i ser. I kawa.

Emil obejrzał się, próbując złapać spojrzenie kelnera. Ten przyszedł, przyjął zamówienie i oddalił się. Najprawdopodobniej do kuchni, żeby przygotować ich porcje. Kelner był tutaj najwyraźniej również recepcjonistą, kucharzem, dozorcą, moderatorem karaoke i portierem.

W sali nie było nikogo oprócz nich. To dobrze, pomyślał Emil. Ludzie różnie reagują, ale jedno się nie zmienia: kiedy prawda wychodzi na jaw, każdy się denerwuje. Jedni mniej, inni bardziej. Nie można tego przewidzieć.

Janne wyglądał na zmęczonego, a może mu się zdawało. Spojrzeli na siebie.

– Human resources – powiedział syn.

Emil milczał.

– To całkiem pojemne pojęcie – rzucił Janne.

– Obu nam przyda się śniadanie. Zbyt niski poziom cukru już wiele razy był głównym winowajcą przy podejmowaniu złych decyzji.

– To przez zbyt niski poziom cukru śledzisz ludzi?

– Jak się czujesz?

– Jak ja się czuję? – Janne rzucił ojcu ostre spojrzenie. – Sam nie wiem.

Emil siedział i czekał. Tyle potrafił, miał w tym doświadczenie.

– Co ci przyszło do głowy, żeby tu przyjść? – spytał syn.

– Jechałem za tobą od posterunku policji.

– Skąd wiedziałeś, że jestem na policji?

– Jesteś moim synem – wytłumaczył Emil. – Chcę wiedzieć, gdzie jesteś.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
– Wydaje mi się, że odpowiedziałem.
– Spotkanie ojciec–syn – rzucił Janne. – Warto było czekać trzydzieści lat.

Przyniesiono śniadanie. Talerz z owsianką parował, dzbanek z kawą o pojemności litra był z metalu. Metkę i ser podano na jednym półmisku, do tego pokrojony chleb. Jedli z apetytem głodnych mężczyzn.

– Co jest w tej torbie?
– Zjedźmy najpierw.

Pili kawę; Janne najpierw zerknął na ojca, potem na torbę. Obrócił się i odsunął czarny suwak. Zobaczył pasek czerwonego plecaka i rozejrzał się. Oprócz nich sala świeciła pustkami. Tym razem cieszył się, że w hotelu nie ma ruchu. Zasunął suwak i spojrzał na ojca.

– Po to przyjechaliście – powiedział Emil.
– Można tak powiedzieć – przytaknął powoli Janne. – Skąd to wzięłeś?

– Znalazłem.
– Nieźle ci idzie znajdowanie wszystkiego. Mnie. Mamy. Plecaka należącego do zabitego biologa. Wiesz, że właśnie opuściłem posterunek policji.

– Wiem.
– Wiesz, że mogę tam wrócić z tą torbą.
– Życie zazwyczaj jest bardziej skomplikowane, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje. Impulsywne działania zostawiają głębsze ślady niż te zaplanowane.

– Teraz zrobisz mi wykład o życiu, przedstawisz wielkie prawdy?

– Dzielę się zdobytym przez lata doświadczeniem. To oczywiście nie jest dokładnie to samo. Chociaż czasami jest.

Starsi państwo przeszli obok okna. Ich ubrania były tak jasne, że niemal można było usłyszeć, jak szeleszczą. Janne odchylił się na oparcie krzesła, złożył ręce na piersiach.

– Kim ty jesteś?

– Twoim ojcem.

– Nie o to mi chodzi. Czym się zajmujesz, co robisz?

Emil spojrzał za okno. Zimne miasteczko na północy w zimowy poranek, a on dobijał do sześćdziesiątki. Oto do czego doszło. Do tego wszystko prowadziło. Tak to już jest: to, gdzie skończymy, jest zagadką. Spojrzał synowi w oczy.

– Zabijam ludzi.

Czasami czas pędzi do przodu, czasami stoi w miejscu. Czasami czas znika, zostawia nas w próżni kosmicznej. Potem jest powrót na powierzchnię ziemi, do życia, które nieodwołalnie nabrało kruchej, zaskakująco bezkształtnej formy. Dwaj mężczyźni, którzy ponownie spotkali się po raz pierwszy.

– Mówisz poważnie – powiedział Janne. – Ludzi?

– Mężczyzn – uściślił Emil. – Którzy sobie na to zasłużyli.

– Jak można sobie na to zasłużyć?

– Przekraczając granicę.

Janne przyglądał się mu.

– I ty decydujesz, kiedy ją przekraczają?

– Nigdy w życiu. Sami to robią.

– W jaki sposób?

– Każdy z nas wie, kiedy robi coś, czego nie powinien.

– To dość szeroka definicja.

– W praktyce bardzo wąska. Żeby przekroczyć granicę, o którą mi chodzi, musi nastąpić świadoma decyzja. Przyjmuję wyłącznie zlecenia, które spełniają to kryterium.

– Jesteś płatnym mordercą.

Emil milczał. Nadal patrzył synowi w oczy. Powierzam moje życie w twoje ręce.

– Nie wiem, co powiedzieć – odezwał się Janne. – Albo nie mówisz prawdy... Ale masz plecak Manninena i wiesz, o co chodzi. Przed chwilą dowiedziałem się, że mężczyzna, który zastrzelił Manninena, nie żyje. Nie wiem, od czego umarł, ale wątpię, żeby był to zawał serca. Pozostaje zatem jedno pytanie. Dlaczego mi o tym mówisz?

To pytanie zaskoczyło Emila. Nie tak to sobie wyobrażał. Z drugiej strony, tak to się właśnie odbywało.

– Masz rodzinę...

Janne westchnął, oparł łokcie na stole i pochylił się nad stołem.

– Miałem.

– Miałeś?

– Moja partnerka ma mnie dosyć. Chce się rozstać, chce, żebym się wyprowadził.

– I zrobisz to?

– Nie widzę innych możliwości.

– Bardzo mi przykro.

– Tobie jest przykro.

– Rodzina to ważna rzecz. – Emil czuł ciężar tych słów; wiedział, że mogą się obrócić przeciwko niemu. – Bliscy ludzie.

Syn popatrzył na niego.

– Nie jesteśmy tutaj na terapii rodzinnej. Biorąc pod uwagę to, co przed chwilą powiedziałaś.

Chłód w głosie Jannego. Emil pomyślał, że to skorupa. Jeżeli nie, syn był taki sam jak on. Ta myśl nie była tak przyjemna, jak mogłaby być w innych okolicznościach.

– Chciałem powiedzieć, że w którymś momencie życia przychodzi chwila... – szukał właściwych słów, doskonale wiedząc, że nie istnieją – kiedy chce się wiedzieć, co było, co jest. Co zostanie. I tak naprawdę to się zawsze wiąże z ludźmi. Nie umiem tego powiedzieć lepiej, ładniej.

Janne spojrział przez okno, a potem z powrotem na ojca. Do tej pory wszystko poszło lepiej, niż Emil się spodziewał.

– Trzydzieści lat – rzucił. – To zbyt długi czas.

– Zbyt długi na co?

– Żeby coś zostało, żeby cokolwiek zostało.

Radość Emila była chyba przedwcześnie.

– Przykro mi, że uważasz...

– Znów jest ci przykro.

– Bo jest, naprawdę. Z mojego punktu trzydzieści lat to nie jest zbyt długi czas. W ogóle nie jest długi.

Janne pokręcił głową.

– Nie wiem, co jest w tym najgorsze. Czy ty w ogóle rozumiesz, w jakiej sytuacji się znalazłem?

– Wiem, jak to jest stracić rodzinę.

– Stracić? Ty nic nie straciłeś. Ty... Nawet nie chcę mówić, jaki jesteś. Skąd mam wiedzieć, jaki jesteś.

– Wiem, jak to jest być samotnym.

– Czego chcesz?

Zapomnieć. Pamiętać.

– Być twoim ojcem.

Przyszedł kelner i pozbierał naczynia, zostawił tylko dzbanek z kawą i filiżanki. Emil nalał im obu. Tak zwyczajne bywały tylko najważniejsze chwile w życiu. Świat nie wybucha, kiedy strzela korek od szampana. Świat pęka w szwach, słońce i gwiazdy zapalają się, gdy niczego nie przeczuwając, człowiek siedzi w autobusie ze spojrzeniem zatopionym w nadmorskim krajobrazie albo z bólem w plecach zmywa naczynia. Wtedy dzwoni telefon i serce zamiera na chwilę. Właśnie w takich chwilach wieloletni towarzysz życia oświadcza przy kolacji, że poznał kogoś nowego i jutro się wyprowadza.

Emil nie chciał drążyć siebie, swoich myśli. Nie chciał też pozwolić uciec tej chwili, stracić szansy.

– Co ty byś mi mógł zaoferować jako ojciec? – zapytał Janne. – Nauczyłyś mnie różnych metod zabijania ludzi?

Pytanie było ironiczne i najwyraźniej miało stanowić cios poniżej pasa.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział szczerze Emil i znów się rozejrzał. Sala była pusta. Takiej rozmowy nie chciałby prowadzić w zaludnionej restauracji.

– Co w takim razie? – spytał Janne.

– Mogę słuchać. Możemy rozmawiać.

– O czym?

– O czymkolwiek. O życiu.

– Okay. Więc porozmawiajmy o życiu od razu – odparł Janne. Łokcie znalazły się na blacie, ramiona się uniosły. – Zaczniemy od tego, że już przy pierwszym spotkaniu mnie okłamałeś.

– Zrobiłem to, żeby cię chronić. Rodzice tak robią.

– Ale nie, kiedy dzieci mają już trzydzieści lat.

– Zwłaszcza wtedy, kiedy mają trzydzieści lat.

To, czego nie powiedziałem, pozostanie niedopowiedziane na wieki.

– Jestem innego zdania.

– Dobrze. No to porozmawiajmy.

– Czy mama, moja matka, wie o tobie? Czy wie, czym się zajmujesz?

Myślę, że wie. Na jakimś poziomie, w jakiś sposób. Bo to, co się stało...

– Nie.

– Zamierzasz jej powiedzieć?

– Nie.

– A jeżeli ja jej powiem?

– To już twoja sprawa.

– Jak myślisz, co powie, kiedy się dowie?

– Powie to, co będzie chciała.

Janne spojrzał na ojca.

– Nie rozumiem.

– Uważam, że ludzie mają swoje powody, żeby coś robić albo nie robić – wyjaśnił Emil. – Inna sprawa, czy ja te pobudki rozumiem.

– Dlaczego mi powiedziałeś?

– Jesteś moim jedynym dzieckiem, moim synem. Chciałem, żebyś mnie poznał.

– Podejmujesz duże ryzyko.

– Wiem o tym.

– Jestem dziennikarzem, w praktyce jesteśmy dwójką obcych sobie ludzi. W moich oczach jesteś materiałem na artykuł.

Miesięczny dodatek. Zdjęcie. Historia niezwykła i wzruszająca, ponieważ jesteśmy ze sobą spokrewnieni.

– Nie wierzę, że mógłbyś to napisać.

Janne wziął szklankę z wodą i opróżnił ją jednym haustem.

– Czy to ty zabiłeś tych mężczyzn w lesie? – spytał.

– Tak.

– Dlaczego?

– Zabili waszego towarzysza. Bałem się, że zrobią ci krzywdę. Jeden z nich był wyborowym strzelcem. W ciebie też by trafił. Mieli nad wami sporą przewagę. Skuter, strzelba, dwóch wyszkolonych...

– Więc było ich dwóch?

– Tak.

– I ty ich obu zabiłeś?

– Tak, obu.

Janne przyglądał się ojcu. Ciemne oprawki okularów podkreślały ostrość spojrzenia.

– Jeden strzelił – powiedział cicho. – To oznacza, że ten drugi był niewinny.

– Zrobiłby ci krzywdę. Znałem go. To znaczy nie osobiście. Ale znam typów takich jak on. Wiem, jacy są. Do czego są zdolni.

– Czy nie... – zaczął Janne, lecz zamilkł.

Emil odwrócił się, zobaczył nadchodzącą kelnerkę. Chciała posprzątać, zanim zacznie się pora lunchu. Poprosił o rachunek.

– Razem czy osobno? – spytała kobieta.

– Razem – powiedział Emil.

– Osobno – rzucił Janne.

Kelnerka czekała. Emil powtórzył słowo „razem” tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, i odeszła.

– Czy nie wystarczyłoby, żebyś ich powstrzymał?

– Wszystko odbyło się zbyt szybko. Tak jak w prawdziwym życiu. Przez długi czas nic się nie dzieje, a potem wszystko naraz.

Kelnerka wróciła, położyła rachunek przed Emilem i odeszła. Żaden z mężczyzn się za nią nie obejrzał. Patrzyli na siebie.

– Może i coś w tym jest – przyznał Janne.

– Mam samochód. Jeżeli jedziesz do Helsinek...

– Pojadę autobusem. Do Rovaniemi. Stamtąd polecę do domu.
Albo pojadę pociągiem.

Przez kilka sekund siedzieli jeszcze naprzeciwko siebie. Potem Janne wstał, włożył kurtkę, zawiązał szalik, narzucił plecak na ramię i wyszedł.

Śnieżny krajobraz był bardzo dynamiczny. Wznosił się, zakręcał, opadał, wyrównywał. Niekiedy szumiał las, potem drzewa znikaly i wszystko zamieniało się w jeden arkusz śniegu. Oprócz mnie w ostatnim rzędzie autobusu nie było nikogo, od okna ziało lodem na moje ramiona. Długo siedziałem, trzymając telefon, zanim udało mi się wreszcie zadzwonić. Wyjaśniłem, że chciałbym zbadać jakość wody w studni na naszej rodzinnej posiadłości i pobrałem już próbki. Dowiedziałem się, że laboratorium jest w Vancie, mogę tam dostarczyć próbki i wypełnić formularze dotyczące położenia posiadłości oraz innych wymaganych przez prawo danych. Odpowiedziałem, że nie ma problemu.

Podobne trudności miałem z wysłaniem pierwszej wiadomości. Maarit odpowiedziała natychmiast. Napisała, że jest w Helsinkach i moglibyśmy się spotkać. Jej też najwyraźniej odpowiadała esemesowa forma kontaktu; żadne z nas nie chciało usłyszeć głosu drugiego. Myślałem o tym, o co ja podejrzewałem ją, i o tym, o co ona może podejrzewać mnie, a także o tym, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi. Dzielilo nas wiele nieprzyjemnych i niewłaściwych rzeczy. Razem patrzyliśmy na śmierć człowieka, w pewnym sensie sami się do niej przyczyniliśmy. Do tego dochodziły wcześniejsze sprawy: pijacka namiętna noc, która albo była wspólną pomyłką, albo obustronną próbą wykorzystania tego drugiego.

I ojciec – całe to spotkanie, rozmowa z nim kołatały mi w umyśle. Słowa nabierały nowego ciężaru, rosły niedopowiedzenia. Głos ojca to odbijał się echem, to znikał, dobiegał z bliska, a potem się odsuwał, jakby leciał ponad wodą.

Znaczenie jego słów zmieniało się – od absolutnie nie do przyjęcia do całkiem powszechnych sądów, brzmiących logicznie, jedynych sensownych. Staralem się myśleć o nim jak o człowieku, sześćdziesięcioletnim mężczyźnie próbującym odnowić więzi z ludźmi, których opuścił dawno temu. Moje uczucia stanowiły mieszanekę smutku i niepokoju. Najgorsze wydawało mi się to, że byłem w stanie się z tym wszystkim utożsamić. Rozumiałem własnego ojca. W tym względzie. Ale oprócz tego – to, co robił i zrobił ostatnio – wydawało się koszmarem.

Halonen prosił, żebym skontaktowałem się z nim natychmiast, gdy tylko sobie coś przypomnę albo czegoś się dowiem.

Przede wszystkim na sercu leżała mi Ella. Moja córka, moje dziecko. Chociaż tak często myślałem, że nigdy nie powtórzę błędu własnego ojca, właśnie to robiłem, i to z taką łatwością. Z łatwością mogłem sobie wyobrazić, jak tłumaczę Elli, co zrobiłem, jak mówię, że może mi zaufać – po tym, jak zawiodłem jej zaufanie, opuszczając ją.

Jednego się nauczyłem. Praca utrzymuje człowieka przy życiu. Skupienie się na niej pomaga wtedy, gdy nic innego pomóc nie może. Pisałem artykuł. To, czego do niego potrzebowałem, znajdowało się w torbie obok mnie. Wiedziałem mnóstwo rzeczy, o których inni nie mieli pojęcia. A przynajmniej nikt z dziennikarzy.

Spółka górnicza, która bogaci się kosztem katastrofy ekologicznej. Spółka, której członkowie zarządu zostali najprawdopodobniej zamordowani. Ostatnia sprawa skierowała moje myśli na aktywistów. Czy policja ich podejrzewała? Czy należała do nich Maarit?

Zrobiłem tak jak zwykle, kiedy nie miałem pod ręką kartki i długopisu, napisałem do siebie maila na telefonie. Wyszczególniłem fakty: *Kopalnia niklu w Suomalahti najwyraźniej zatruwa środowisko. (Potwierdzenie z próbek). Działalność celowa. Odpowiedzialność ciąży na kierownictwie spółki matki.*

Po napisaniu tych słów zrozumiałem, że mam już pierwszy artykuł. Dodałem tło: *śmieszny koszt zakupu praw do prowadzenia wykopów, historia spółki, firma rodzinna*. Nagle zauważyłem, że wszystko prowadzi do Mattiego Mali. Poszukałem w telefonie jego zdjęcia. Przyjrzałem mu się. Jeżeli w zarządzie ginęli ludzie, być może winą za to nie należało obarczać aktywistów. Byli pełni werwy i lubili działania przynoszące rozgłos. I tyle. Nie wyglądali mi, nawet kiedy wspinali się na gmach parlamentu jak Santtu Leikola, na zdolnych do porywania się na życie ludzi. Matti Mali natomiast grał o wszystko: przyszłość rodzinnej firmy, dzieło własnego życia.

Wiele razy przewijał się w różnych kontekstach, ale zawsze spychałem go na bok. Miała na to wpływ Marjo Harjukangas, która powiedziała mi o pogroźkach, jakie dostawali.

Autobus zatrzymał się. Wysiadłem. Zapakowałem ostrożnie słoiki z próbkami, zawinałem je w sweter, żeby się nie potłukły, i nadałem bagaż. Lot do Helsinek trwał godzinę. Słuchając zakrapianej rozmowy dwóch handlowców, zasnąłem. Każda minuta oczekiwania na bagaż dłużyła się niemiłosiernie. Wreszcie odebrałem torbę, sprawdziłem próbki. Wszystkie całe, nic nie wyciekło. Pospieszyłem do taksówki.

Laboratorium Water Analytics Finland mieściło się w krytym cegłą biurowcu z lat osiemdziesiątych. W szarości zimowego popołudnia i zimnej pustce oświetlone okna oraz oplatające ciepło holu wydały się przytulne. Z drugiej strony, fakt, że budynek biurowy w Vancie uznałem za przyjemne miejsce, wiele mówił o stanie mojego ducha.

Wyłożyłem swoją sprawę w recepcji i dostałem do wypełnienia druczki. Posiadłość umieściłem w Suomalahti, dziesięć kilometrów od terenu kopalni. Kiedy już wypełniłem formularze, zapytałem, czy mógłbym porozmawiać z kimś, kto jest odpowiedzialny za badania. Recepcjonistka, dość młoda

kobieta, najwyraźniej studentka, patrzyła na mnie przez chwilę, a potem wykręciła numer wewnętrzny.

Czekaliśmy jakiś czas. Dziewczyna spoglądała na mnie z troską. Wreszcie rozległy się kroki i ktoś przyszedł.

Czterdziestoletnia kobieta przedstawiła się jako Susanna Salmela. Krótkie, ciemne włosy odsłaniały uszy, w których było więcej kolczyków, niż byłem w stanie zliczyć. Miała na sobie długi biały kitel, na nogach sandały Birkenstock. Przekazałem jej próbki pobrane przez Manninena i powiedziałem, że to bardzo ważna i pilna sprawa, i pieniądze nie mają znaczenia. To ostatnie słowo było już wierutnym kłamstwem. Na koncie miałem najwyżej kilkaset euro. Wszystkie były przeznaczone na spłatę raty kredytu mieszkaniowego. Sumę, do wykorzystania której upoważnił mnie Hutrila, już dawno przekroczyłem.

Susanna Salmela ustawiła próbki na wysokim wózku, który przemieszczał się bezgłośnie na miękkich kołach, i powiedziała, że skontaktuje się ze mną najszybciej, jak to będzie możliwe. Potem, popychając przed sobą wózek, ruszyła długim korytarzem na którym drzwi przypominały kalendarz adwentowy – część była otwarta na oścież, część przymknięta, inne całkiem zamknięte.

W redakcji przywitałem się zdawkowo z tymi, którzy akurat byli na miejscu. Nikt nie interesował się, gdzie byłem. Gabinet naczelnego był pusty. Wolałem z nim jeszcze nie rozmawiać. Najpierw musiałem coś napisać.

Pisanie oznaczało myślenie, porządkowanie świata. W ten sposób zyskiwałem jasność tego, co robiłem, i krystalizowałem swoje opinie. Pisząc, izolowałem się od świata zewnętrznego. To była moja tajemnica, to była prawda na temat pisania. Niezależnie od sytuacji życiowej, od tego, co akurat działo się na świecie, w pisaniu byłem szczęśliwy. Przynajmniej na tyle, na ile mogłem być szczęśliwy. Choćbym nawet pisał o czymś innym niż to, co akurat zajmowało mój umysł, układanie zdań, formowanie ich na papierze pomagało mi na kłopoty i sprawy, którymi

w trakcie pisania się nie zajmowałem. Pisanie nadawało dniom sens, przywracało równowagę. Przerwa w pisaniu dawała o sobie znać, przynajmniej mnie, już po paru dniach. Wszystko stawało się nieposkładane. Im dłużej nie pisałem, tym bardziej irracjonalny i niespokojny stawał się mój umysł, aż w końcu nie wiedziałem, o co mi chodzi, gdzie jest moje miejsce i co w ogóle robię.

Włączyłem komputer, poszedłem po kawę, wróciłem i usiadłem. Jak zwyczajnie się zrobiło, akurat teraz. Ale na skraju umysłu, tam gdzie nie sięgało skupienie, czekała Ella, Pauliina, ojciec, zmarły biolog Manninen, Maarit, nocne zdarzenia w lapońskim lesie. Rozejrzałem się. Najzwyklejszy dzień w redakcji średniej wielkości gazety. Nic specjalnego. Poza...

Przystąpiłem do dzieła.

Im więcej pisałem, tym jaśniejszy obraz rysował się przede mną. Matti Mali. To od niego wszystko się zaczęło: wszystko, co wiedziałem na pewno i co podejrzewałem. Wysłałem prośbę o telefon do Marjo Harjukangas. Ilość znaków w artykule rosła z prędkością światła. Robiłem krótkie przerwy. W którymś momencie zauważyłem, że redakcja opustoszała. Przeszedłem się. Przez okno widziałem skąpo oświetlony skwer, czarne pnie i gałęzie drzew, światła hotelu naprzeciwko i część własnej sylwetki; obróciłem się i wróciłem za biurko.

Pisałem, dopóki całkowicie nie opadłem z sił, już po prostu nie mogłem dłużej. Artykuł wyszedł mi długi, ale trzeba go było jeszcze przerobić. Musiałem poczekać, żeby dołączyć wyniki testów z laboratorium. Nagłówek artykułu: *Matti Mali*. Tytuł roboczy: PAN NA HAŁDZIE.

Poszedłem do łazienki. Kiedy wróciłem, zobaczyłem nieodebrane połączenie na telefonie. Popatrzyłem na zegarek. Dziewiąta wieczorem. Oddzwoniłem do Marjo Harjukangas. Miała nowiny.

Ktoś próbował zabić Mattiego Mali.

CZĘŚĆ III
ZŁOTO

1

Oczy Leeny były mądre i ciepłe. Emil nie przypuszczał, żeby to ciepło było w całości przeznaczone dla niego, dla niego samego, chociaż z pewnością uczestniczył w nim w jakimś stopniu. Pomyślał, że w którymś momencie życia każdy musi podjąć decyzję, która – wtedy jeszcze tego nie rozumiemy – jest ostateczna i determinuje to, co przyniosą kolejne lata. Stajemy na rozstajach, których kierunek poznajemy o wiele później. Leena wybrała właściwą drogę. To było widać. Emil wiedział, że po tym, co zrobił, mogła iść w zupełnie innym kierunku.

Ale oto siedziała przed nim, piękna i mądra, w tej samej restauracji co trzydzieści lat temu, przy tym samym stole. Nie pamiętał, jakie wtedy zamówili wino. Dzisiaj była to butelka ciemnego, aromatycznego chilijskiego czerwonego wina, którego kieliszek trzymała w pewnych, spokojnych palcach kobieta niegdyś tak młoda i niespokojna.

Lata. Toniemy w nich, o niczym nie mając pojęcia, albo przyjmujemy je jak prezent od losu. Coś w tym stylu. Emil zauważył, że od jakiegoś czasu się nie odzywa.

– Dziękuję, że się zgodziłaś – powiedział. – Nie wiedziałem, czy to odpowiednie miejsce już teraz... tak szybko.

Leena uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Też mi chodziło po głowie. Chciałam nawet zaproponować na pierwsze spotkanie... – Urwała, uniosła czarne brwi i mówiła dalej: – Na pierwsze spotkanie... od trzydziestu lat... Może i lepiej, że nie jesteśmy już tacy młodzi. Mój znajomy, już w podeszłym wieku... sam o sobie mówi „stary”, bo jego zdaniem to określenie lepiej oddaje faktyczny stan rzeczy... mówi, że zaletą każdego minionego roku jest to, że w zanadrzu pozostaje coraz mniej tego

kurewstwa, którym trzeba się przejmować. Przepraszam za wyrażenie. I ja się z tym zgadzam. Kiedyś pomyślałabym, że spotkanie z tobą w tej restauracji to niepotrzebne wywoływanie nostalgii, że powinnam mieć więcej dumy, ty powinienes się bardziej starać, że co najmniej raz powinnam odmówić albo przynajmniej mocno się wzbraniać i tak dalej.

Emil mógłby słuchać jej cały dzień. Nie rozumiał mężczyzn, którzy skarżyli się na swoje gadatliwe żony. Czemu nie znaleźli sobie żon, których chcieliby słuchać?

– Z czasem człowiek lepiej rozumie, czego chce – powiedział.

Odstawiła kieliszek na stół.

– I czego nie chce.

Popatrzyli na siebie. Twarz Leeny – poważna, a jednocześnie taka pogodzona ze wszystkim. Emil zdał sobie sprawę, że stracił apetyt.

– Rozumiem, że odszedłeś – powiedziała. – Rozumiem, że nie utrzymywałeś kontaktu. Ale nie musimy o tym rozmawiać. Zrobiłeś to... co musiałeś.

Znów ich spojrzenia się spotkały. W Emilu roztapiała się góra lodowa. Rozmowa z synem, wyznanie prawdy, słowa Leeny.

– To wszystko stało się dawno temu – dodała.

Risto Hukkinen wydzwania do Leeny po dwadzieścia razy dziennie, wyzywa ją od kurew, grozi gwałtem, przemocą, zniesławieniem, puszczeniem z torbami. Raz za razem, dzień po dniu.

Leena zmienia numer telefonu, Risto zdobywa nowy w ciągu kilku dni. Risto wyczekuje na nią pod pracą, przed klatką schodową. Siedzi w tym samym tramwaju, gapi się na nią w milczeniu. Risto idzie za nią po ciemku od przystanku do domu. Risto stoi przy drodze podczas spaceru, w kinie, w bibliotece. Risto przysyła listy, jak gdyby nadal byli parą.

Dręczy ją prawie rok. Siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Spotykali się przez trzy potworne lata. Leena szybko zrozumiała swój błąd. W zasadzie przez ten trzeci rok próbowała się tylko rozstać, odczepić.

Risto to kłamca, manipulator, świnia; prawdziwa natura wychodzi z niego, kiedy jest już za późno. Leena nie może nic zrobić. Nikt nie może. Policja rozkłada ręce, przyjaciele i znajomi słuchają przez jakiś czas, ale szybko zaczyna ich to nużyć.

Leena spotyka Emila. Zakochują się w sobie i wkrótce ona jest w ciąży. Emil szybko się orientuje, że wisi nad nimi czarna chmura, na twarz Leeny zawsze pada cień. Stara się sam odbierać telefony, zawsze jej towarzyszyć. Ale to oczywiście nie wystarczy. Kiedy Emil podnosi słuchawkę, nikt się w niej nie odzywa. Gdy wychodzi z Leeną, nikt ich nie śledzi, nikt nie stoi po drugiej stronie ulicy. Ale telefon w pracy dzwoni, Leena dostaje listy i widzi Rista wszędzie tam, dokąd idzie sama.

Leena i Emil prowadzą normalne życie. Rodzi im się syn. Risto znika. Emil widzi, jak Leena promienieje szczęściem. Życie jest pełne miłości. A raczej byłoby, gdyby Risto nie zaatakował ponownie ze zdwojoną siłą. Dziecko z innym mężczyzną to w jego oczach ostateczna zdrada. W listopadowy ciemny wieczór Emil odbiera telefon. Od Rista. Dziwka i bękart zasługują na śmierć.

Odkłada słuchawkę i mówi Leenie, że wychodzi do sklepu. Kiedyś powiedziała mu, gdzie mieszka Risto Hukkinen. Emil jedzie autobusem do Munkkivuori. Na ziemi nie ma jeszcze śniegu, jest mokra i goła. Asfalt błyszczy czernią i olejem. Emil patrzy przez okno na marznącą mżawkę, pogoda doskonale oddaje stan jego ducha. Wsiada z autobusu przy centrum handlowym. Obchodzi sklepy, szewca, księgarnię. Deszcz kłuje go w twarz, wlewa się za kołnierz.

W marnie oświetlonej przestrzeni wysokie bloki przy Ulvilantie wyglądają jak statki kosmiczne. Drzwi do klatki są otwarte. Emil sprawdza piętro w spisie lokatorów. Szóste. Winda jest mała i powolna, w przyczepionym do ściany lustrze Emil patrzy na swoje odbicie. Nigdy jeszcze nie widział takiej twarzy.

Po drodze na górę przed oczami przelatuje mu całe życie. Myśli o rodzicach, którzy umarli dawno temu. O agresywnym ojcu alkoholiku, o ogarniętej strachem matce. O pracach, którymi się parał: kierowca, budowlaniec, rzeźnik. Myśli o ludziach, którzy wnieśli w jego życie coś dobrego: trener boksu w młodości, który wspierał go także poza ringiem; bibliotekarka, która pokazała mu miłość i książki – kombinację mogącą uratować ludzkie życie, Emil dobrze to wie. A potem myśli o największym cudzie: o Leeni i Jannem, o rodzinie.

Naciska dzwonek i czeka. Dzwoni ponownie. Zagląda przez szparę na listy, widzi kilka mrocznych metrów kwadratowych podłogi w przedpokoju. Buty. Męskie i damskie. Risto Hukkinen mieszka z jedną, a prześladowuje drugą.

Emil pamięta, co mówiła Leena. Risto Hukkinen lubi samochody, ma starego forda mustanga, o którym nieustannie papie. Emil wraca na podwórze, znajduje rząd garaży między blokami. Drzwi do jednego są uchylone; ciepła, żółta smuga światła przecina kałużę na asfalcie. Emil podchodzi do drzwi, powoli je uchyla. Piękna opływowa maska białego mustanga jest podniesiona, Risto Hukkinen pochyla się nad silnikiem. Emil stoi przez chwilę w drzwiach, zanim wejdzie do środka. Hukkinen zauważa, że ktoś przyszedł, i prostuje się. Rozpoznanie intruza zajmuje mu ułamek sekundy.

Uśmiecha się. Nie ma się czego bać. Emil jest od niego niższy o trzynaście centymetrów i dwadzieścia dwa kilo lżejszy.

Hukkinen to postawny mężczyzna, szeroki w barach i wysoki. Ma na sobie koszulkę. Jego ramiona są jak uda Emila.

Emil nie może przestać myśleć, że Leena była narażona na ciosy mężczyzny, który waży od niej pięćdziesiąt kilo więcej. W garażu jest ciepło.

Inżynier Hukkinen buduje mosty. Specjalizuje się w pomiarach. Człowiek z betonu i stali. Dodaje, odejmuje, mnoży. Patrzy na Emila, szczupłego, żylastego trzydziestolatka, niemal bez grama tłuszczu, i widzi w nim worek treningowy.

– Powiedz mi – zaczyna Emil. – Co trzeba by zrobić, żebyś przestał.

Uśmiech Hukkinena zwięża się nieco. Jasnoniebieskie oczy patrzą prosto w cel.

– Przestał co?

– Prześladować ją. Telefony. Śledzenie. Pogróżki. Straszenie. Wszystko.

– Ty w to wierzysz?

Emil nic nie mówi. Patrzy na Hukkinena.

Ten wybucha śmiechem.

– Ktoś tu jest pod pantoflem – mówi.

Patrzą na siebie.

– Poza tym ona to lubi – rzuca Hukkinen. – A zresztą co ci do tego, kurdupłu?

Światło zawieszony pod sufitem jarzeniówki jest jasne, ale i tak większość pomieszczenia tonie w ciemności. Prawa ręka Hukkinena nurkuje po coś głęboko pod maskę.

– Swoją aktualną babę też bijesz? – pyta Emil.

– Dziwki dostają to, na co zasługują. A ja mogę cię pozwać do sądu za zakłócanie miru domowego i za zniesławienie. Zaraz zadzwonię po policję.

– Dzwon.

Hukkinen nie porusza się. Oprócz prawej ręki pozostającej w ukryciu za maską samochodu. Okalające usta broda i wąsy błyszczą, sprawiając, że przypomina niedźwiedzia, który przed chwilą coś zjadł.

– Leena to zwykła kurwa – mówi. – Nie można jej ufać. To dziecko jest kogoś innego. Mały bękart.

– Wszyscy jesteście tacy sami. – Emil znów czuje we wnętrzu mrozący deszcz.

Tamten spogląda na niego.

– Mężczyźni, którzy biją żony, zawsze mają mnóstwo wymówek – dodaje Emil. – Powiem ci coś, czego nigdy nikomu nie mówiłem. Jako sześciolatek patrzyłem z boku, jak ojciec walił głową mojej matki o ścianę w kuchni, wykręcał jej ramiona ze

stawów, a kiedy już leżała na podłodze, kopał ją w krocze. Potem przysłuchiwałem się, jak opowiadał krewnym, że matka przewróciła się na rowerze. Słyszałem też, jak tłumaczył matce, że musiał to zrobić, ponieważ zawiodła jego zaufanie. Na wszystko zawsze znalazło się wytłumaczenie. Za każdym razem.

W garażu jest tak cicho, że brzęczenie jarzeniówki aż kłuje w uszy.

– No, no – zareagował Hukkinen po chwili.

Emil pokręcił głową.

– Nic nie zrozumiałeś. Nie mówiłem tego ot tak sobie.

– Więc po co?

– Żeby pokazać ci, że cię nie szanuję. Co wart jest facet, którego nie szanują? Nic. Jesteś niczym.

– A kim ty, do kurwy nędzy, jesteś, żeby to oceniać?

– Ja nie oceniam. Taka jest prawda.

– Prawda – przedrzeźnia go Hukkinen.

– Jesteś niczym. Sam to sobie zrobiłeś. Nie znam tego uczucia, ale z pewnością nie jest byt przyjemne.

Hukkinen patrzy na Emila, z jego oczu bije nienawiść, narastająca złość.

– Myślisz, że się ciebie boję?

– Nie obchodzi mnie to. Nie obchodzi mnie to, co myślisz.

Prawa ręka Hukkinena nareszcie znalazła to, czego szukała. Emil domyśla się tego, widząc jego postawę.

– A ja myślałem, że przyszedłeś tutaj, żeby się czegoś domagać.

– Ja też tak myślałem. Ale zmieniłem zdanie.

– Czyli nie prosisz mnie już, żebym skończył z tym, co zarzuca mi jakaś dziwka.

– Ja cię o nic nie proszę – mówi Emil. – Czas minął. Teraz to rozumiem.

– W takim razie rozumiesz też, że możesz stąd wypierdalać.

– Tego akurat nie mogę zrobić.

Hukkinen przenosi ciężar ciała na lewą nogę, tę, która nie opiera się o samochód.

– A to dlaczego?

– Z powodu Leeny i mojego syna – odpowiada Emil.

Tamten znów się złośliwie uśmiecha.

– Co powiedzą w domu, kiedy przyjdiesz z czapką pod pachą, w obsranych gaciach i z fioletowym okiem i będziesz się nad sobą użalał?

– Nie wracam do domu – mówi Emil.

– Wiesz co? Zanim spiorę tę twoją śmierdzącą cipę, która cię tutaj przysłała, dam ci nauczkę.

– Leena mnie tutaj nie przysyłała. Nie wie, że tu jestem. Nikt nie wie.

Hukkinen zastanawia się; widać to po jego minie, po ułożeniu sylwetki. Coś sobie oblicza. Ostateczny wynik wydaje się dla niego korzystny.

– A zatem – odzywa się w końcu – jesteśmy tutaj we dwóch.

– Otóż to.

Słysząc, jak deszcz uderza o dach garażu. Emil patrzy Hukkinenowi w oczy. Ten rzuca się na niego, wyciągając prawą rękę zza maski. Cios Hukkinena jest zaskakująco szybki. Emil prostuje lewą rękę, żeby odeprzeć atak, klucz francuski uderza go w przedramię, ręka traci czucie. Ból promieniuje z potworną siłą na całe ciało.

Jak na tak zwalistego mężczyznę, Hukkinen jest zwinny i szybki. Wywija ciężkim francuzem w dwóch kierunkach. Obaj są z boku mustanga. Klucz uderza w szybę po stronie pasażera. W spojrzeniu napastnika Emil widzi, że to ostatnia kropla, która przelała czarę; w swoim umyśle Hukkinen winą za zbitą szybę obarcza jego. Wybucha, wrzeszczy, że go zabije. Gdy rzuca kluczem, Emil robi unik, ale nie całkiem udany. Metal rozrywa policzek, Emil czuje, jak skóra na twarzy rozchodzi się i tryska krew. Rzuca się na ziemię, przetacza się obok Hukkinena i staje przed samochodem, gdzie jest więcej miejsca.

Tamten znowu atakuje. Lewa ręka Emila nadal odmawia posłuszeństwa. Hukkinen go dopada i razem lecą na regał z narzędziami. Emil traci dech; napastnik przyciska go do pólki,

tak że metalowe narzędzia wbijają się w plecy, niektóre tak, jakby wgrzyzały mu się w skórę i ciało.

Hukkinen coraz bardziej na niego napiera; lewą ręką łapie go za gardło i dusi. Emilowi mało nie pęknie krtań, o oddychaniu nie ma mowy. Ból jest potworny. Udaje mu się złapać prawą rękę przeciwnika, tę z kluczem. Ze wszystkich sił naciska wewnętrzną stronę jego nadgarstka. Kciuk zatapia się między kośćmi w przedramieniu Hukkinena. Emilowi wydaje się, że jeżeli kciuk wejdzie jeszcze głębiej, to zaraz przejdzie na wylot. Wreszcie klucz wypada tamtemu z ręki. Emil puszcza jego nadgarstek, zaciska dłoń w pięść i wali przeciwnika w sam środek twarzy. Słysząc trzask kości nosowej i Hukkinen puszcza szyję Emila. Potem cofa się o dwa, trzy kroki. Cios, który powaliłby przeciętnego mężczyznę, jego oszołamia tylko na sekundę. Z nosa strumieniem bluzga krew, spływa po wąsach i brodzie.

Hukkinen uderza obiema rękami. Emil ma sprawną tylko prawą, w dodatku nadal nie może złapać tchu. Czuje, że krtań wciąż jest ściśnięta, chociaż przeciwnik już dawno ją puścił. Może nawet ją uszkodził. Emil robi uniki i napastnik nie może trafić w cel. Nagle Hukkinen dostrzega narzędzia i chwytą finkę. Do Emila dociera, że ma mało czasu. Nadal nie może oddychać, a tamten trzyma w ręce błyszczący, ostry nóż.

Emilowi udaje się uniknąć ataku i schylając się, brawurowo odskakuje od Hukkinena. Dzięki zaskoczeniu przeciwnika Emil zyskuje niezbędne setne sekundy. Podnosi z ziemi klucz w momencie, gdy tamten znów atakuje. Po raz kolejny Emilowi udaje się uniknąć ciosu, ale zużywa na to resztki tlenu z płuc.

Obracając jeden koniec klucza – ten ze szczękami – w dłoniach, bierze potężny zamach, i pakuje drugi koniec narzędzia w usta nacierającego przeciwnika. Hukkinen zaczyna się osuwać, głowa odchyła się do tyłu. Siła ciosu była ogromna. Emil prostuje się, podczas gdy tamten pada na kolana. Emil tymczasem staje nad nim i wpycha klucz jeszcze głębiej w jego gardło. Nieubłagana stal chromowana prze naprzód. Gdy Emil puszcza narzędzie, szczęki francuza wystają mężczyźnie z ust jak

nienaturalna proteza. Hukkinen zwała się teraz na ziemię, przez chwilę drży, a potem już tylko leży nieruchomo na betonowej podłodze.

Emil pada na kolana. Mijają minuty, zanim udaje mu się odzyskać oddech na tyle, żeby stanąć na nogach. Wokół ust Hukkinena powstała kałuża krwi.

Nie wracam do domu.

Tak powiedział.

– Gdzie cię zanosło?

Emil zobaczył przed sobą talerz ze stekiem w sosie pieprzowym, usłyszał gwar restauracji, pytanie Leeny i dostrzegł jej przyjazne spojrzenie. Jak długo był nieobecny? Teraz pewnie tylko kilkanaście sekund. Uśmiechnął się do Leeny.

– Coś sobie przypomniałem – wyjaśnił. – Przepraszam.

– Nie musisz mnie za nic przeproszać.

2

- Po co dzwonicz?
- Jak sądzisz?

Wyłączyłem telefon, przeczytałem ponownie artykuł i zauważyłem wszystkie dziury, szpary, odstępy, które umknęły mi, kiedy pisałem. Śmiały się i drwiły ze mnie. Jesteśmy tutaj, tuż przed tobą, a ty i tak nas nie widzisz. Zamknąłem plik. Większość tekstu do niczego się nie nadawała.

Ktoś targnął się na życie Mattiego Mali – w tym samym czasie, kiedy ja jadłem niezapomniane śniadanie w towarzystwie własnego ojca. Według słów Marjo Harjukangas, Matti Mali wychodził rano do pracy, kiedy nieznana mu osoba zaskoczyła go na podwórzu przed domem. Informacje co do tego, czy napastnik użył noża, czy też strzelał, były niedostępne. Mali najwyraźniej nie był poważnie ranny, skoro dochodził do zdrowia w domu, stwierdziła Harjukangas.

Nic więcej nie udało mi się z niej wyciągnąć. Poprosiła, żebym już nie pisał o informatorze i w żaden sposób nie próbował się z nią kontaktować. Była niewątpliwie zdenerwowana i nie potrafiła powiedzieć, dlaczego do mnie zadzwoniła. Nie wiem – powiedziała i rozłączyła się.

Zadzwoniłem do Pauliiny, żeby posłuchać głosu Elli. Były u dziadków. Mogłem się domyślać, co Pauliina im opowiedziała: o naszym rozstaniu i jego powodach. Rozmowa z Ellą była możliwa najwyżej przez kilka sekund, potem słuchawka wróciła do Pauliiny i tylko się pożegnaliśmy.

Puste, ciemne biuro zaczynało żyć własnym życiem. Ciszę wypełniały głosy, słowa. Z mroku wyłaniały się cienie. Kiedy nie

miałem już siły, żeby skupić się na pracy i pisaniu, zaczęło nade mną krążyć wszystko, co do tej pory wypierałem z umysłu. Ludzie, rozmowy, własne postępowanie. Włożyłem kurtkę i wyszedłem.

Spotkaliśmy się w tej samej knajpie. Maarit przyszła pół godziny po mnie. Zobaczyłem ją od razu w drzwiach, jak wchodziła, i wszystko się we mnie zagotowało. Serce zaczęło mi bić nierówno. Maarit wytarła śnieg z butów, rozejrzała się i wreszcie mnie dostrzegła.

Siedziałem przy stole w kącie nad pełnym kuflem – już drugim tego wieczoru. W restauracji było znajomo gwarno, chociaż tym razem scena była pusta. Wydawało mi się, że od naszego ostatniego spotkania w tym miejscu upłynęła wieczność.

Maarit poszła do baru, wróciła z butelką czeskiego piwa, postawiła ją po drugiej stronie stołu, zrzuciła szybko kurtkę i usiadła.

– Kiedy wróciłaś do Helsinek? – spytałem, patrząc, jak poprawia sobie szalik.

Ostateczny efekt chyba ją usatysfakcjonował.

– Wczoraj – odparła.

Patrzyła na mnie, ja na nią. Napilem się piwa. Nie smakowało mi specjalnie.

– Przykro mi z powodu Manninena – powiedziałem. – Byliście przyjaciółmi. Trudno mi wyrazić cokolwiek innego niż współczucie.

– Dziękuję. – Zakręciła parę razy butelką po stole w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, tekst na etykiecie biegł więc od tyłu do przodu.

Nie spuszczałem wzroku z oczu Maarit. Włosy opadały jej na twarz, tak że trudno było zobaczyć oczy, nos i usta. Coś ukrywała. Do tej pory wypowiedziała tylko dwa słowa.

– A więc wróciłaś wczoraj – zacząłem.

Skinęła głową.

– Co dzisiaj robiłaś?

Jej mina w tym momencie była taka, jakby Maarit dopiero co przyszła na nasze spotkanie, dopiero mnie zauważyła, zarejestrowała moją obecność.

– Co takiego?

– Pytałem, co...

– Nic szczególnego – odpowiedziała. – Dlaczego pytasz?

Napiłem się piwa. Ile trzeba by go było jeszcze wypić, żeby wreszcie zaczęło jakoś smakować? Maarit poprawiła się na krześle, wyprostowała plecy, skupiła spojrzenie na mnie i odchyliła do tyłu szerokie ramiona. Żadna z tych zmian nie była wielka, ale kiedy złożyło się je razem, widać było znaczącą różnicę. Zerknąłem na rzuconą na sąsiednie krzesło zwiniętą kurtkę. Znaczków nie było widać, nie szkodzi. Już je przecież widziałem. Ale dopiero teraz udało mi się połączyć fakty. Już miałem otworzyć usta, kiedy Maarit się odezwała:

– No i do czego to doszło?

Nie przerywałem jej.

– Zawsze myślałam, że nigdy nie posunę się tak daleko jak tata. W żadnej sprawie. Świat nie potrzebuje kolejnych fanatyków. A jednak... To ja znałam drogę. To ja nas tam zaprowadziłam. Manninen mi ufał.

Wypiła łyk piwa, złożyła usta w dzióbek i ciągnęła:

– Chciałam zrobić coś dobrego, naprawdę, zrobić coś, co przyniesie jakieś pozytywne efekty. A to wydawało mi się ważne... jest ważne, wiem o tym... Tylko że ja już zmieniłam zdanie.

– Jesteś jeszcze w szoku – powiedziałem.

Spojrzała na mnie chłodniej niż wcześniej.

– Może – przytaknęła bez przekonania; chyba wcale nie uważała, że może nią kierować szok lub coś podobnego. – A ty?

– Ja pracuję nad artykułem. I go napiszę.

– Nadal?

– Czemu nie?

Maarit obejrzała się w lewo, potem w prawo, wreszcie jej spojrzenie przeniosło się na mnie.

– Nie przestraszyłeś się tego... co się stało?

– A powinienem?

Staralem się wyczytać cokolwiek z jej twarzy.

– Nie wiem... – Przesuwała butelkę z piwem. Na blacie powstawały mokre smugi, które przez chwilę lśniły jak najczystszy deszcz. – Ja już nic nie wiem.

– Naprawdę mi przykro – powtórzyłem. – Choć w sumie nie wiem... bo jakoś ci nie wierzę.

Popatrzyła na mnie i po raz pierwszy jej spojrzenie nabrało jakiegoś wyrazu. Zacerpnałem powietrza i pochyliłem się nad stołem.

– Ten znaczek. Grupa aktywistów o nazwie Czarnoskrzydli. Pogróżki wysłane do członków zarządu Finn Mining, a potem ich śmierć. A ty pojawiaasz się w mniej lub bardziej zaskakujących sytuacjach i miejscach. I to, co stało się dziś rano... Ty i twoi przyjaciele, kimkolwiek oni są i jakkolwiek się nazywacie, jesteście odpowiedzialni za śmierć ludzi.

Maarit patrzyła na mnie. Nadal nic nie mówiła. Z jakiegoś powodu jej twarz kryła się bardziej w cieniu niż wcześniej. Może wynikało to z oświetlenia, może z ułożenia głowy, może z powodu gęstych włosów opadających na twarz.

– Przepraszam – rzuciła. – Ale tylko za jednego. Za Tero Manninena.

– To akurat jedyny przypadek, za który nie musisz przeproszać. Manninen znał ryzyko. Sam chciał pobrać próbki.

Oczy Maarit załśniły.

– Dla artykułu zrobisz wszystko, prawda?

Oko za oko.

– Dla idei zrobisz wszystko, prawda?

Pokręciła głową.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz dobrze. To wy zabiliście członków zarządu Finn Mining, a dzisiaj rano próbowaliście zamordować Mattiego Mali. To było zwieńczenie waszych marzeń. Do waszej grupy należy... albo przynajmniej należał... Santtu Leikola i świętej pamięci Tero

Manninen. Nie jestem w stanie tego udowodnić, ale wystarczy, jeżeli przyznasz mi rację.

– W żadnym wypadku – odpowiedziała Maarit.

– Dlaczego? Boisz się, że ciebie też zabiją?

Wilgoć jej oczu zaczęła się przelewać; łzy przez chwilę błyszczały w kącikach, a potem spłynęły i schowały się we włosach. Twarz jej jednak nie drgnęła. Maarit siedziała wyprostowana, niemal przyklejona do stołu.

– Straciłam przyjaciela. Wszystko przez to, że chcieliśmy zrobić coś dobrego. Chcieliśmy zdemaskować zło. Chcieliśmy, żeby prawda wyszła na jaw. Myśleliśmy, że ty, jako dziennikarz, jesteś tego samego zdania. Że jesteś po naszej stronie. Czytałam twoje artykuły i... Pomyślałam, że warto cię poznać.

Wbiła spojrzenie w blat stołu.

– Oczywiście, że spotkaliśmy się tutaj nieprzypadkowo. Santtu napisał mi, że mój ulubiony redaktor tu jest. Akurat jechałam do domu tramwajem, pomyślałam, że przyjdę i zapytam, jak tam papiery ojca, czy się do czegoś przydały. To, co zdarzyło się potem, stało się samo z siebie.

– Santtu Leikola? To on za tym wszystkim stoi?

– Za czym?

– Za serią morderstw. Za próbą zabicia Mattiego Mali dzisiaj rano.

Maarit patrzyła na mnie, jakbym przewrócił jej szklankę.

– Nic dziwnego, że między nami zaiskrzyło – powiedziała. – Jesteśmy tacy sami. Nie ma znaczenia, co zostanie, a co się utraci, grunt, że dostanie się to, czego się chce... albo się myśli, że się tego chce. Zrozumiałam to od razu, kiedy cię słuchałam. Rozpadający się związek, przez trzydzieści lat zaginiony ojciec, a w głowie nic innego, tylko własna praca, własne dążenia. Jesteś taki jak ja. A ja jestem taka jak mój ojciec.

Odczekałam chwilę, po czym zauważyłem:

– Nie odpowiedziałś na moje pytanie.

– W pewnym sensie odpowiedziałam. Ale niech ci będzie, drukowanymi literami: nie, nie należę do żadnej grupy

terrorystów, a Santtu... Santtu odpowiada tylko za maile, które dostałeś. I nie stoi za niczym innym poza tym wygłupem na dachu parlamentu. Gdyby było inaczej, natychmiast bym o tym wiedziała. On mówi mi wszystko, dosłownie wszystko. Jest cudownym człowiekiem. Ale czasem niepotrzebnie otwartym. Dlatego nie braliśmy go pod uwagę, kiedy nasza trójka wyjeżdżała do Suomalahti. A ten znaczek... ten czarny, o, tutaj... to tylko czarny znaczek. Taka jest jego idea. Że jest czarnym znaczkiem na piersi. Przyciąga uwagę. Właśnie dlatego. Czasem rzeczy są tym, na co wyglądają.

Odłożyła kurtkę na krzesło. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Oczy Maarit wyschły. Wypiła trochę piwa.

– Santtu jest cudownym człowiekiem – powtórzyłem za nią.

Nie patrzyła w moją stronę.

– Owszem, jest – powiedziała cicho, ale co do jej tonu nie można było mieć wątpliwości.

– O Boże.

– Spójrz na siebie. Jesteś w związku, masz małą córeczkę. Świętoszek się znalazł! Czemu uważasz, że kobietom nie wolno tego co mężczyznom.

Znów podniosła na mnie wzrok.

– Czy to wszystko? – spytała.

Odsunęła butelkę na bok. Została jeszcze jedna trzecia piwa. Spojrzeliśmy na siebie. Maarit zaczęła się ubierać. Mignął mi czarny znaczek – odbił światło lampy, jakby chciał pokazać mi język, zadrwić ze mnie.

– Wybaczyłeś mu? – spytałem.

Włożyła już kurtkę, ale jeszcze siedziała.

– Komu?

– Swojemu ojcu. To, że był taki, jaki był.

– Jasne. Ale on nie żyje i jest już za późno na wszystko inne. Na wszystko inne niż przebaczenie. Miałabym jeszcze parę innych pomysłów.

Maarit wstała i zaciągnęła suwak.

– Powodzenia z tym artykułem – rzuciła.

Przeszła przez salę, nasunęła na głowę kaptur i wyszła w zimowy wieczór. Podniosłem kufel do ust. Piwo już nie smakowało mi tak jak kiedyś.

Wróciłem do redakcji i przez chwilę siedziałem przy biurku. Dotarło do mnie, jak potwornie jestem zmęczony. Wstałem i podszedłem do okna. Znowu zaczynał padać śnieg. Pierwsze płatki kręciły się w stojącym powietrzu, jakby rozglądały się dokoła.

3

Emil przyciska kciuk do jabłka Adama i miażdży je. W oczach mężczyzny pojawia się zdziwienie, strach i wreszcie spokój. Emil nie puszcza, wciąga go do środka budynku, kładzie na dywanie w przedpokoju i powolutku rozluźnia uścisk. Mężczyzna wygląda na podłódze, jakby odpoczywał. Emil zatraskuje drzwi za sobą i przechodzi obok niego do kuchni, wyjmując z zamrażarki pudełko lodów lukrecjowych, w górnej szufladzie znajduje łyżeczkę i idzie z nią do kanapy, na której siedzi rodzina mężczyzny. Emil zajmuje miejsce na środku. Na lewo siedzi wyczerpana matka, po prawej bawiący się telefonem syn, obok niego – córka z ufarbowanymi na różowo włosami. Oglądają telewizję, w której w kółko leci ten sam urywek. Emil dusi w nim głowę rodziny i zostawia na podłódze w przedpokoju. Raz za razem. Kładzie przed sobą pudełko lodów, chce zanurzyć w nich łyżeczkę, ale się zatrzymuje. Pudełko jest pełne oczu martwego mężczyzny: zdziwionych, przestraszonych, spokojnych, usatysfakcjonowanych własnym losem.

Emil się obudził. Koszula przykleiła się do niego, jakby próbując się napić, wylał na siebie litr wody. Spojrzał na zegarek: 4.19. Wyglądało na to, że im więcej dobrego go spotykało, tym gorsze stawały się koszmary i wspomnienia.

Po przyjemnej kolacji z Leeną odprowadził ją na postój taksówek, gdzie wymienili gorące całusy w policzek. Potem poszedł do domu.

Wypił tylko kieliszek wina do posiłku. W domu powtórzył sobie informacje, które przed dwudziestoma czterema godzinami trafiły do jego skrzynki w sieci TOR. Zmienił ubranie, poszedł na parking przy stadionie olimpijskim, ukradł samochód i pojechał do Mankkaa.

Powiesił męczyznę w jego garażu, wrócił do Helsinek, pojechał do centrum sztuki w dawnej fabryce kabli, bez odrobiny zadowolenia z tego, że wykonuje to, w czym jest dobry, i tylko na tym się skupia. To już nie było jego życie. Popatrzył na światła na wyspie Lauttasaari i jadąc wzdłuż brzegu morza, wrócił do wynajmowanego mieszkania. Wziął gorący prysznic, napił się herbaty i zasnął. Obudził go koszmar.

Wstał, zrobił kilka kroków, poczuł chłód podłogi na bosych stopach. Zza okna spozierała na niego z pełną mocą ciemność. Słyszał windę, trzask drzwi. Na dole taksówka przyspieszała, jadąc w kierunku centrum. Świat kręcił się po orbicie, ale on stał w miejscu.

Jeszcze jeden raz.

I jego praca dobiegnie końca.

4

– Jaki jest stan naszej wiedzy na dziś?

Kroki. Drzwi. Jasność. Obróciłem się, żeby wstać. Ach tak: patrzyłem przez chwilę na płatki śniegu, a potem postanowiłem odpocząć chwilę na kanapie w sali konferencyjnej.

Halonen stał w drzwiach.

– Która godzina? – spytałem.

– Siedem po siódmej. Dlaczego śpisz w biurze?

A dokąd mam iść?

– Lubię tę kanapę.

– Byłeś do późna w pracy?

Kiwnąłem głową.

– Nad czym pracujesz?

Wstałem z kanapy. Halonen nie spuszczał ze mnie wzroku. Przeciąganie się i prostowanie ubrania pod czujnym okiem podkomisarza nie należało do najprzyjemniejszych. Sądziłem, że wiem, co oznacza to pytanie.

– Ani słowem nie wspomniałem o tamtym.

– O morderstwach w kopalni?

– Tak.

– To dobrze.

Wyglądał, jakby właśnie przybył z sesji zdjęciowej dla „Vivy”. Ciemny garnitur, śnieżnobiała koszula z kołnierzykiem, górny guzik rozpięty, bez krawata. Wszedł do sali i zamknął za sobą drzwi. Niepotrzebnie. Przez przeszkloną ścianę widziałem, że w biurze jest pusto.

– Na wypadek gdybyś chciał się upewnić... – zacząłem.

Halonen włożył ręce do kieszeni. Stał po drugiej stronie sali i pachniał drogim zapachem wody po goleniu. Mandarynka,

kadzidło, las.

– Na pewno już słyszałeś, że ktoś próbował wczoraj zabić Mattiego Mali.

– Tak. Taka wiadomość krąży od wczoraj po sieci, a ja nie...

– Nie o to mi chodzi. Pewnie pamiętasz, jak za pierwszym razem zadzwoniłeś do mnie, żeby zapytać, czy policja bada sprawy śmierci ludzi z Finn Mining.

Kimmo Karmio. Alan Stilson. Członkowie zarządu Finn Mining.

– Pamiętam.

– Wiele osób o tym nie wie. To nie jest tajemnica, ale byłbym zobowiązany, gdybyś jeszcze nie czynił żadnych publicznych spekulacji na ten temat. Nie wspominał trzech przypadków śmiertelnych i pisał co najwyżej o tym wczorajszym, o Mattim Mali.

Milczałem.

Twarz Halonena wydawała się szczerą. Może już powiedział, po co przyszedł.

– I? – zapytałem.

Jego usta leciusieńko się zwężyły.

– Mógłbym ci coś zaoferować w zamian – rzucił.

– Kiedy?

Halonen rozłożył ręce.

– Choćby zaraz.

Czekałem.

– Jeżeli dostawałeś listy z pogrózkami i zastanawiałeś się, skąd pochodzą, to z prawie stuprocentową pewnością mogę ci powiedzieć, że ich autorem był jeden z tych zmarłych mężczyzn z ochrony kopalni. Najwyraźniej działali z upoważnienia któregoś z członków zarządu, jeżeli nawet nie z polecenia.

– Dziękuję za informację.

– Nie ma za co.

Przez kilka sekund nie ruszaliśmy się z miejsc. Halonen patrzył mi w oczy. Potem wyjął ręce z kieszeni, wygładził poły marynarki i chciał się odwrócić. Gest był oczywiście

wystudiowany – od razu to pojąłem – ale skuteczny. W połowie obrotu zatrzymał się, odwrócił z powrotem, spojrzał na mnie i zapytał:

– Widziałeś się z Maarit Lehtinen po tym, jak wróciłeś do Helsinek?

Zanim zdążyłem otworzyć usta, uśmiechnął się i powiedział:

– Widziałeś.

Skinąłem głową.

– Rozmawialiście o ostatnich wydarzeniach. – Nie miałem wątpliwości, że nie było to pytanie.

Halonen podszedł bliżej. Jego ręce nie wróciły do kieszeni.

– Czy Maarit wspominała o Santtu Leikoli albo innych aktywistach?

– Nic nie mówiła, oprócz tego... że do nich nie należy.

– Widziała się z Leikolą?

– Czemu nie zapytasz jej samej?

Nie odpowiedział. Głębina jego oczu zdawała się nie mieć dna.

– Przemoc, bliskość śmierci – odezwał się wreszcie. – Nadal jesteś pod wrażeniem wydarzeń z Suomalhti.

Zanurzył ręce w kieszeniach, przyjął bardziej rozluźnioną postawę, taką, którą druga strona konwersacji może zinterpretować jako wycofanie się. Pomyślałem o naszej rozmowie z Maarit.

– Jeżeli ją podejrzewasz... – zacząłem.

Natychmiast mi przerwał.

– Kto mówi, że podejrzewam. Zrobiła na tobie wrażenie. Wcale się nie dziwię. Na każdym robi wrażenie.

– Nic nie zrobiła.

– Razem z tobą wdarła się bez pozwolenia na teren prywatny. Razem z tobą była świadkiem zabójstwa. Jest częścią śledztwa.

– Chodziło mi o to, że jest niewinna – wyjaśniłem. Wiedziałem, że tak jest. Maarit była równie niewinna jak inni. Ella. Pauliina. To ja byłem winien.

– Niewinna – powtórzył cicho Halonen.

– Tak.

– Ktoś kiedyś powiedział, że po przekroczeniu pewnego wieku nikt z nas nie jest niewinny. Jaki, twoim zdaniem, jest ten wiek?

Spojrzałem w bok, potem znów na Halonena. Patrzył na mnie beznamiętnie.

– Jest trochę za wcześnie na takie filozoficzne pytania – powiedziałem. – A poza tym nie znam odpowiedzi.

– Ja też nie. Dlatego pytam. Wiesz, dlaczego jeszcze pytam?

– Nie mam pojęcia – odparłem.

– To twoja praca.

– Wspaniale.

– Na czym polega twoja praca?

– Aż tak bardzo nie różni się od twojej – powiedziałem.

Pomieszczenie zaczynało się zmniejszać. Mimo to nie mogłem się powstrzymać:

– Podejrzewasz kogoś o te morderstwa w Suomalampi?

– Dlaczego pytasz?

– To moja praca.

Halonen uśmiechnął się, tylko na chwilę i niemal niezauważalnie.

– Coś ci przyszło do głowy? Przypomniałeś sobie coś, co widziałeś?

– A więc nie macie podejrzanego.

– Bez komentarza.

Znów cisza.

– Tak czy inaczej, dziękuję za rozmowę – powiedział Halonen. – Rozumiemy się. To najważniejsze.

Tym razem obrócił się do końca. Wychodząc, zostawił drzwi otwarte. Odczekałem chwilę i poszedłem sprawdzić, czy naprawdę zniknął, wyjąłem telefon z kieszeni i na resztkach baterii zadzwoniłem.

Podkomisarz Halonen mówił o trzech przypadkach śmierci i o jednej próbie zabójstwa. Tak było. Giorgi Sebrinski popełnił samobójstwo, rzucając się z balkonu sauny w swoim domu na Vuosaari. Spadł z dobrych siedemdziesięciu metrów. Chociaż na

ziemi leżał mniej więcej metr śniegu, nie zamortyzowało to upadku.

Halonen pomógł mi wyostrzyć wzrok. Był przekonany o udziale Maarit i aktywistów w zabójstwach. To oczywiście było logiczne.

Pytanie: komu zależało na wymordowaniu członków zarządu spółki górniczej?

Odpowiedź: komuś, na kim ciąży odpowiedzialność za coś niewybaczalnego i chce z nich zrobić przykład.

Reasumując: aktywiści, którzy już wcześniej działali bez poszanowania dla prawa i porządku i którzy postanowili działać efektywniej, wejść na inny poziom.

Nie wiedziałem, czy Halonen ma dowody, a nawet jeśli miał, to nie powiedziałby mi tego. Nie miało to zresztą znaczenia. Bo spojrzenie Halonena podporządkowywało się logice, wierciło blisko, a jednak trafiało zbyt daleko.

Trzech martwych: Karmio, Stilson, Sebrinski.

Jeden ranny: Matti Mali.

Jeden żywy: Hannu Valtonen.

5

O ósmej rano Mankkaa tętniła życiem. W tym przypadku oznaczało to SUV-y jadące do miasta, w których transportowano dzieci do szkoły, dwujęzycznych przedszkoli, oraz vany, w których duszący się w krawatach handlowcy wysyłali wiadomości do kochanek i plamili sobie nogawki kawą.

Taksówka zatrzymała się za pustym radiowozem. Kierowca spojrział w lusterko i zapytał, czy to właściwy adres. Sądząc po numerze domu, tak – powiedziałem i zapłaciłem. Wysiadłem z samochodu i poszedłem w kierunku piętrowego, pomalowanego jasną farbą, murowanego domu.

Świeży śnieg, który spadł w nocy, skrzypiał pod nogami. Powietrze na cichych przedmieściach było rześkie. Drogi jeszcze nie odśnieżono, szedłem więc po śladach opon. Większość okien dokoła była ciemna. W ogrodach pustki. Wszyscy wyjechali z domów do zwykłych zajęć. Wszyscy, z wyjątkiem mieszkańców domu Hannu Valtonena.

Podłużne podwórko wspinało się od samej drogi, więc z wysiłkiem szedłem w kierunku domu i garażu, przed którym zaparkowała biała terenówka BMW i ambulans. Nie było to jednak pogotowie: samochód był pusty, miał wyłączone światła. Przechodząc obok terenówki, zajrzałem do środka. Na tylnym siedzeniu i w otwartym bagażniku były walizki. Z przodu leżał pękaty neseser, bagaż podręczny. Wyglądało na to, że ktoś wybiera się w podróż.

Zatrzymano mnie dopiero w otwartych drzwiach garażu.

Był duży i wysoki, podzielony na dwa boksy identycznych rozmiarów. Po prawej stał pięknie odnowiony sportowy triumph z lat sześćdziesiątych, a obok niego leżały różne narzędzia

potrzebne do konserwacji. Z belek w suficie zwisały rozmaite przewody oraz kolejne narzędzia. To był prawdziwy garaż entuzjasty samochodów. W boksie po lewej na betonowej podłodze stali dwaj policjanci i osoby, które przyjechały ambulansem. Jeden z mężczyzn musiał być lekarzem. Na środku podłogi leżał szary worek na zwłoki z zaciągniętym suwakiem. Z sufitu, z belki nad workiem, zwiślał biały sznur o długości metra; wyglądało na to, że ktoś go przeciął.

– Kim pan jest? – zapytał policjant, kiedy mnie zauważył. Był młody i barczysty. – Jest pan członkiem rodziny?

– Nie.

– W takim razie proszę wyjść.

– Co tu się stało?

Policjant zdążył już do mnie podejść i złapał mnie za ramię. Zanim się zorientowałem, wyprowadzał mnie z garażu. Na podwórzu się zatrzymałem.

– Co tu się stało? – powtórzyłem.

– Zgon.

Puścił moje ramię. Chwył był mocny i pewny.

– Proszę opuścić teren.

– Hannu Valtonen?

Policjant przyglądał mi się przez chwilę, po czym uniósł ręce. Cofnąłem się dwa kroki.

– Nie trzeba – rzuciłem. – Sam wyjdę.

Opuściłem podwórko, zawiązałem szalik, zapiąłem kurtkę, wyjąłem z torby czapkę i rękawiczki i ruszyłem w drogę.

Redaktor naczelny Hutrila złapał się za głowę, zamknął oczy i starał się głęboko oddychać – wdech, wydech, spokojnie, trzy razy. Odchylił się na oparcie krzesła. Wyglądał, jakby uprawiał jogę. Zdradziłem mu tyle, ile mogłem powiedzieć. Potem przedstawiłem swoją prośbę. Hutrila otworzył oczy.

– Jeszcze więcej czasu?

– Tak – odpowiedziałem.

– Wiesz, że inni zdążą napisać przed tobą wszystko, czego tylko się dowiedzą?

– Mogą sobie pisać – odparłem. – To tylko ochłapy. My mamy więcej. To jest nasz punkt, właśnie to, co nas wyróżnia spośród innych. Nawet dobrze, że inni zatroszczą się o wstęp, opowiedzą ogólnie o całej sprawie. Kiedy ludzie będą wprowadzeni w temat, my z łatwością wciągniemy ich w szczegóły. Będziemy mieć to, o czym inni mogą tylko pomarzyć.

– Jesteś pewien?

Z Mankkaa wróciłem autobusem. Przy wschodzącym słońcu, które oświetlało kontury świata, podjąłem decyzję.

– W stu procentach.

– Kiedy wyjeżdżałeś na północ, umówiliśmy się, że wrócisz z gotowym reportażem.

– Sprawy się pokomplikowały.

Hutрила zastanawiał się chwilę.

– Wielokrotnie prosiłeś o więcej czasu, o przeniesienie, o odwołanie przeniesienia, wydałeś pieniądze, wróciłeś bez artykułu. Co się zmieniło?

– Mam deadline. Jutro rano o dziewiątej.

Opuścił ręce tak powoli, że znów zacząłem go podejrzewać o jogę.

– Pierwsze rozsądne zdanie, jakie usłyszałem od ciebie od dłuższego czasu.

6

Jeszcze jeden raz. Ten najtrudniejszy. Najtrudniejszy, właśnie dlatego, że ostatni.

Teraz ryzyko jest największe, Emil dobrze o tym wiedział. Dziesiątki razy był świadkiem, jak ludzie potykają się na ostatnich metrach, są nieuważni, działają w złudnym poczuciu bezpieczeństwa. To ludzkie i zrozumiałe.

Każdemu może się zdarzyć.

Kiedy cel jest już blisko, ma się wrażenie, że się go osiągnęło. Człowiek zaczyna żyć życiem za metą. Wyobraża sobie, że końcowe metry pójda równie łatwo jak poprzednie. Myśli, że może już zacząć napawać się krajobrazem, budować przyszłość. Zaczyna tak postrzegać samego siebie, wreszcie wolnego od zmartwień. Ręka obejmuje puchar zwycięstwa, spojrzenie spoczywa na podium.

Człowiek wyobraża sobie, że między nim a metą już nic nie ma.

Ale tam jest wszystko.

7

W sali konferencyjnej zebrałem wszystkie kartony Lehtinena i zamknąłem drzwi. Posortowałem wydruki, zeszyty i wycinki z gazet na osobne sterty. Ta z wydrukami była najwyższa. Od niej należało zacząć. Na każdy dokument spoglądałem świeżym okiem. Robiłem notatki. Ustaliłem sobie regułę: za każdym razem muszę znaleźć coś, czego wcześniej nie zauważyłem. Jak powiedziałem naczelnemu, inne gazety mogły raportować o tym, co się wydarzyło, co być może się wydarzyło. Przygotowałyby to grunt pod mój artykuł, który miał wyjaśnić, o co naprawdę chodzi. Poszedłem po telefon i zadzwoniłem do laboratorium.

Poprosiłem do telefonu laborantkę, Susannę Salmelę. Przełączono mnie. Jeszcze nie było wyników. Zapytałem, czy byłaby w stanie powiedzieć coś o próbkach na pierwszy rzut oka, na podstawie własnego doświadczenia. Przez chwilę milczała.

– Ale tego się nie robi na wycucie – powiedziała. – Na tym to właśnie polega. Możemy stwierdzić tylko to, co zmierzylimy, co można wykazać.

Przyznałem jej rację. Poprosiłem, żeby zadzwoniła, gdy tylko będą wyniki. Już miałem zakończyć rozmowę, kiedy zadała jakieś pytanie. Nie dosłyszałem i musiałem poprosić, żeby powtórzyła.

– Czy naprawdę ktoś używał tej wody w gospodarstwie domowym?

Dwie godziny później poszedłem po coś do jedzenia na drugą stronę ulicy. Połknąłem macburgera z frytkami i wróciłem do pracy – do artykułów przechowywanych przez Lehtinena. Przejrzałem wszystkie, niektóre czytałem słowo po słowie. Potem

zająłem się jego kajetami. Wziąłem staromodny czarny brulion A4 w twardej oprawie.

Strony wypełnione pismem Lehtinena. Już wcześniej przeglądałem te notatki, ale za pierwszym razem zbyt lekceważąco potraktowałem poszczepiane zszywaczem kartki. Teraz pomyślałem, że wynikało to z tego, że tak trudno było je otworzyć. Zszywki były porządne, w wielu miejscach kilka naraz. Lehtinen musiał mieć ku temu dobry powód. Udało mi się otworzyć jedną.

Papiery zawierały wydruki maili. Nie była to jednak korespondencja Lehtinena. Wśród adresów przewijał się między innymi Giorgi Sebrinski, Kimmo Karmio, Hannu Valtonen, Alan Stilson i Matti Mali. Była to wewnętrzna korespondencja między członkami zarządu Finn Mining.

Poszedłem do biurka Tanji i zapytałem, czy ma coś, co nadawałoby się do otwierania zszywek.

– Bardzo mnie rozczarowało, że nie napisałeś tego artykułu o twerkowaniu – powiedziała i podała mi małe metalowe narzędzie, przypominające wściekłe metalowe usta. – Teraz wszyscy o tym mówią.

Wróciłem do sali konferencyjnej. Powyciągałem zszywki i przeczytałem notatki Lehtinena. Nie wiązały się z treścią korespondencji. Albo było to celowe, albo nie. Wreszcie wszystkie papiery znalazły się na stole. Usiadłem i czytałem.

Pół godziny później poszedłem po laptopa, włączyłem wyszukiwarkę, a kiedy znalazłem właściwą firmę, zamówiłem wszystkie niezbędne dokumenty: wyciąg z rejestru spółek, historię kredytową, sprawozdania finansowe, raporty księgowe. Wydrukowałem je i sprawdziłem, czy wszystko się zgadza w czasie. Wziąłem jedną z wydrukowanych wiadomości i upewniłem się, że jej treść naprawdę oznacza to, co myślę. Zadzwoiłem do Marjo Harjukangas i przeprosiłem, że znów zawracam jej głowę.

Udzieliła mi składającej się z dwóch słów odpowiedzi na moje pytanie, podziękowałem jej i rozłączyłem się.

Błękitne, jasne niebo pulsowało. Śnieg, który w nocy zebrał się na parapecie, skrzył się milionem iskier. Już się ubierał, ale przerwał i podszedł do okna. Oparł się o parapet, poczuł zimno kamienia pod dłońmi, na nadgarstkach przeciąg ze szpar w oknach.

Spojrzał na dół na podwórze, gdzie bawiły się ubrane w kombinezony dzieci. Wspinały się na górkę śniegu, przewracały i zjeżdżały na jabłuszkach. Od czasu do czasu poślizg udał się tak dobrze, że zatrzymywały się dopiero na wysypanym piaskiem dziedzińcu. Słysząc było szuranie, kiedy jabłuszko trafiało na piasek i dzieciak się zatrzymywał. Nie chciał tego brać za omen, ale tak to z jakiegoś powodu odbierał.

Miał deadline. Zawsze podobało mu się to słowo. Stanowiło esencję tego, co robił, sedno tej pracy. Ale najbardziej podobało mu się znaczenie tego słowa. Lubił regularny rozkład i granice czasowe. Zauważył, że kryje się w tym również pewien paradoks. Deadline mobilizuje do działania, zdziera ze wszystkiego nieokreśloność, pomaga się skupić, skupić siły. Kiedy wszystko wisi w powietrzu, powiewa na wietrze, nic nie jest gotowe ani zrobione. Czas nigdy nie jest odpowiedni. Powinien być zadowolony. Wszystko poszło tak, jak trzeba. A jednak...

Szukanie odpowiedzi na zewnątrz nie miało sensu.

Świat nie zmienił się ani odrobinę.

On tak.

Stał jeszcze przez chwilę w oknie, a potem zaczął się ubierać. Na warstwę ciepłych ubrań włożył strój do biegów narciarskich, przyczepił saszetkę na biodra; sprawdził, czy oprócz okularów

przeciwsłonecznych, smarów i batonika energetycznego
spakował też klucz.

Z autobusu numer 20 wysiadłem na pętli, na końcu wyspy Lauttasaari, i przeszedłem po moście na Kaskisaari. Ta bardzo mała wyspa należąca do największych bogaczy wielu mieszkańcom Helsinek jest zupełnie nieznaną. Nic dziwnego. Zarówno budynki, jak i położenie są dość ekskluzywne. Niektóre domy przypominają lotniska z wielkimi dachami, długimi ścieżkami i wielopiętrowymi, wysokimi oknami. Działki oplatają wysokie płoty obwieszane jasnożółtymi i czerwonymi tabliczkami informującymi o zainstalowanych systemach alarmowych.

Szedłem odśnieżoną drogą i przecierałem oczy. Śnieg i słońce oślepiały. Między domami zobaczyłem morze. Na zachodzie brzegi Espoo. Biurowce w Keilaniemi wznosiły się niczym szare, tępe zęby. Na wschodzie kryła się Seurasaari ze spokojem skansenu. Z powodu długotrwałych mrozów i opadów śniegu morze zamarzło. Poruszającymi się po lodzie punktami byli narciarze. Jazda po niczym nieograniczonej przestrzeni, po świetnie niosącym śniegu stanowiła prawdziwą frajdę.

Dom, którego szukałem, znajdował się po zachodniej stronie wyspy, przedostatni budynek na końcu ulicy. Najstarszy ze wszystkich, chyba z lat trzydziestych. Sądząc po położeniu i czasie powstania, właściciel cenił sobie spokój i ciszę. W tamtych czasach na wyspę można było dotrzeć wyłącznie łodzią. Przybyszów obserwowały szare kamienne lwy siedzące po obu stronach schodów prowadzących do wejścia. Z każdej strony znajdował się balkon. Dom nie był może perłą ówczesnej architektury, ale wydawał się solidny i wyróżniał się spośród pozostałych. Główną różnicę stanowił kształt i rozmiar działki. Po

obu stronach szerokiego pasa rosły gęste świerki. Jeśli patrzyło się na dom od strony drogi, nie dostrzegało się znajdującego się za nim morza.

Furtka była zamknięta, podobnie jak brama do garażu na dwa samochody. Przy furtce znajdował się domofon, nad nim głośnik i czarna, błyszcząca soczewka, pod którą oczywiście kryła się kamera. Całą kompozycję wieńczyła naklejka informująca o zainstalowanym systemie alarmowym. Na Kaskisaari, gdzie rzadko ktoś się pojawiał, obwarowywano się wszelkimi możliwymi zabezpieczeniami przed nieproszonymi gośćmi. Już miałem wcisnąć metalowy przycisk, kiedy w mojej kieszeni coś zabrzęczało. Wycofałem się spod furtki całkowicie za mur.

Laborantka Susanna Salmela już spieszyła z informacjami, kiedy ja dopiero wymawiałem swoje nazwisko. Siarczany, sól, rtęć, ołów, cynk, mangan, ług. Wszystkie normy przekroczone tysiąc razy. Woda zagraża życiu. Salmela zapytała, skąd ona jest, bo jeżeli ze studni w posiadłości rodzinnej, to znaczy, że w okolicy znajduje się jakaś bardzo nieszczelna elektrownia atomowa albo nie mówię jej prawdy. Przyznałem, że nie podałem wszystkich szczegółów. Salmela milczała przez chwilę, po czym zapytała o adres mailowy, na który mogłaby wysłać mi resztę analizy.

Telefon zapiszczał na znak, że przyszła wiadomość zaraz po zakończeniu rozmowy. Zadzwoiłem do furtki, otworzyłem pocztę na wyświetlaczu i usłyszałem znany mi z telewizji głos i pytanie, w jakiej sprawie przyszedłem.

– Siarczany czterdzieści dwa miligramy na litr, sól dwadzieścia miligramów na litr. Rtęć, ołów, cynk, mangan...

– Kim pan jest?

– Janne Vuori, „Głos Helsinek”.

Krótką przerwę.

– Czego pan chce?

– Powiedzieć, co wiem.

Usłyszałem trzask w głośniku – połączenie zostało przerwane. Cofnąłem się o dwa kroki i popatrzyłem na dom, ale w oknach

nie zobaczyłem nikogo. Drzwi na górze pozostawały zamknięte. Zadzwoiłem ponownie. Żadnej odpowiedzi. Spróbowałem popchnąć furtkę, lecz była zamknięta. Śnieg i cisza otaczały wyspę, dom, mnie. Zastanawiałem się właśnie, co teraz, kiedy głośnik znowu zatrzeszczał. Ktoś znów się odezwał:

– Halo? Jest pan tam jeszcze?

Pospieszyłem do domofonu. Powiedziałem, że jestem.

– Musiałem sprawdzić jedną rzecz. Proszę wejść.

Uśmiech Mattiego Mali był szeroki i przyjazny, opromieniał jego twarz od zewnątrz i od środka. Stanowiło to spory kontrast z całą resztą jego powierzchowności. Lewe oko miał podbite. Przez czoło biegła spuchnięta nadal rana – od kącika lewego oka do linii włosów. Lewa ręka spoczywała na temblaku zawiązanym pod uniesionym kołnierzykiem koszuli. Brzeg kołnierzyka niemal dotykał uszu. Mali był potężnym, zwalistym mężczyzną, stał twardo na szeroko rozstawionych nogach. Pomijając rany, nie tak wyobrażałem sobie byłego właściciela spółki górniczej; kojarzył mi się raczej z kimś, kto gra w bingo. Podkreślały to kraciaste, brązowe kapcie na nogach, brązowe wytarte sztruksy, wyciągnięty granatowy wełniany sweter zapinany na guziki i srebrzystoszare loki. Po kilku sekundach zacząłem wątpić w siebie i własne wnioski. Matti Mali chyba to zauważył.

– Natychmiast rozpoznałem nazwisko. Czytałem pana artykuły. Chodźmy porozmawiać do salonu.

Odwiesiłem kurtkę, zdjąłem buty i poszedłem za gospodarzem, który mimo odniesionych obrażeń poruszał się pewnie i sprężysto. Tak jak myślałem.

Zeszliśmy po dwóch stopniach łączących hol z dużym salonem. Z okien rozciągał się widok na otwarte morze, pokryte śnieżną warstwą aż po horyzont.

Zasiedliśmy w fotelach po dwóch stronach małego stolika. Ustawiono je nieco pod kątem w porównaniu z innymi meblami. Rozumiałem dlaczego. Z fotela, na którym siedział Mali, widać było zarówno morze, jak i telewizor znajdujący się za moimi

plecami, nieco z prawej. Ja natomiast miałem widok na morze i drzwi na taras, trochę na lewo za Malim. Na stoliku stały dwie filiżanki na spodkach i dzbanek.

– Kawy?

– Poproszę.

Mali nalał do obu filiżanek i przesunął jedną w moją stronę. Rozpoznałem serwis, z którego pochodziły naczynia: Arabia Singapore. Wyciągnąłem z torby papiery. Mali popatrzył na mnie. Milczał, kiedy kładłem je na stole i po raz setny sprawdzałem, czy niczego nie brakuje.

– Mleka, cukru?

– Nie, dziękuję.

– Ja też piję czarną. Tak, moim zdaniem, należy pić kawę.

Przyglądałem mu się przez chwilę.

– Mam tutaj różne dokumenty, z których wynika... – zacząłem w końcu.

– Ma pan rodzinę?

Na fotelu siedział stary człowiek o przyjaznym, ciekawym spojrzeniu niebieskich oczu.

– Tak – przyznałem. – Właściwie to nie.

Uśmiechnął się, a potem jego twarz znów posmutniała.

– Mam córkę – dodałem.

– Ja nie mam dzieci. Miałem żonę. Teraz jestem sam. Rano przychodzi do mnie ktoś do pomocy. To tajemnica.

– Jaka tajemnica?

– Właśnie to – zatoczył ręką łuk – że nie uczestniczę w działalności spółki. Już od jakiegoś czasu.

– Ja to zrozumiałem dzisiaj.

Chyba nie interesował się tym, co zrozumiałem, a czego nie. Spoglądał na morze, założył nogę na nogę i wziął ze stołu filiżankę. Podmuchał, para uniosła się ponad krawędź naczynia. Wyciągnąłem jeden papier i popchnąłem w jego stronę po powierzchni stołu. Zerknął na niego, upił łyk kawy i odstawił filiżankę. Wyciągnął z kieszeni koszuli okulary, po czym wziął papier do ręki. Zaczął czytać:

Do: Matti Mali <matti.mali@finnmining.fi>
Od: Hannu Valtonen <hannu.valtonen@finnmining.fi>
Kopia do: Giorgi Sebrinski <giorgi.Sebrinski@finnmining.fi>,
Kimmo Karmio <kimmo.karmio@finnmining.fi>, Alan Stilson
<alan.stilson@finnmining.fi>
Temat: Oferta

Drogi Matti,
zebraliśmy się dzisiaj, żeby omówić twoją ofertę. Zdecydowaliśmy się odmówić. Twoja propozycja jest nie do zaakceptowania, ani teraz, ani w przyszłości.

Pozdr.
Hannu Valtonen

Hannu Valtonen
Dyrektor ds. badań i rozwoju/Director of Research and
Development
Tel. +358 46 8739 223
hannu.valtonen@finnmining.fi

Finn Mining – Commitment and Excellence in the Arctic

Mali odłożył kartkę na stół, zdjął okulary i włożył je z powrotem do kieszeni na piersi. Popatrzył na morze.

– Początek końca. Dla wszystkich.

Ton jego głosu był neutralny, jakby Mali mówił o sprawie, która w ogóle go nie obchodziła. Spojrzał na mnie.

– Dobrze, że mój ojciec tego nie widzi – dodał. – Spółka górnicza była dla niego jeszcze ważniejsza niż dla mnie. Ale to ja zrobiłem to, co on by zrobił na moim miejscu, w każdym razie myślałem, że właśnie tak by postąpił. Rozumie pan treść tej wiadomości?

– Tak – odpowiedziałem i wziąłem do ręki pozostałe kartki. – Tak mi się wydaje. Mam tutaj więcej dokumentów, które opowiadają resztę historii. Poza tym muszę przyznać...

– Przyznać co?

Popatrzyłem na śliwkę pod jego okiem, ranę na czole i zabandażowaną rękę.

– Udało się panu upaść w bardzo dobrym miejscu.

Mali przyglądał mi się obojętnie.

– Kiedy przeczytałem te papiery i wreszcie zrozumiałem, o co w nich chodzi, wykonałem jeden telefon i dostałem odpowiedź – oznajmiłem. – Nikt nie widział ataku. To tylko pańskie zeznanie. Cóż za zbieżność w czasie!

Milczał przez chwilę. Potem uśmiechnął się, a kiedy uśmiech zniknął, Mali obrócił się nieco bardziej w moją stronę.

– Jak pan pewnie zauważył – odezwał się w zamyśleniu – schody są dość śliskie. Myślę praktycznie. Trzeba wykorzystywać możliwości. Potrzebowałem trochę czasu.

– Czasu na co? Czas się kończy, to właśnie chciałem panu powiedzieć...

Podniósł prawą rękę. Zamilkłem.

– Ma pan ochotę na czekoladkę, zanim przejdziemy do sedna sprawy? Mam zarówno belgijskie pralinki, jak i szwajcarskie...

– Dziękuję, ale...

– Zapewniam, że i jedne, i drugie są wyśmienite. W tych belgijskich są, jeżeli dobrze pamiętam, trufle. Szwajcarskie są z gorzkiej czekolady. Proszę chwilę poczekać.

Mali wstał z fotela i wyszedł na moment z pokoju. Słyszałem, jak zamyka szafkę. Słyszałem brzęk szkła. Powrócił z dwoma kryształowymi pucharkami, wziął po czekoladce z każdego i zaczął odwijać papierki.

– Możemy się umówić – wpakował sobie jedną do ust – że sprostuję, jeżeli gdzieś się pan pomyli.

Nie tego się spodziewałem. Myślałem, że będę musiał mu co najmniej grozić, szantażować zdobytymi informacjami. Patrzyłem na niego. On patrzył na mnie i gryzł pralinę.

Widziałem go wyraźnie w świetle zimowego dnia i zapalonych lamp. Potem zrozumiałem. Alzheimer. Demencja. Jedno z dwojga.

– Jeżeli pan myśli – odezwał się – że trafił pan na zbzikowanego staruszka, który nie wie, kim pan jest, i cierpi na zaburzenia pamięci, to może pan o tym zapomnieć.

– Ach tak.

– Ile ma pan lat?

– Trzydzieści.

– Nie jest pan już chłopcem. Jest pan w tym wieku, że na pewno czegoś już pan żałuje.

– To prawda.

– I dobrze. Każdy musi mieć coś, czego żałuje. To nasz ratunek. Czasami mam wrażenie, że to jedyne, co nam zostało, jedyne, co nas motywuje do działania. Czekoladkę?

Pokręciłem głową. Mali wziął kolejną i wyjrzał przez okno. Ja również. Z góry znów leciał śnieg. Niebieskie niebo zniknęło.

– Ojciec jest na pewno z pana dumny. – Znów spojrzał w moją stronę.

– Tak. Tak mówi.

Mali ssął czekoladkę i nad czymś się zastanawiał. Potem zrobił głęboki wdech i powiedział:

– Proszę zaczynać.

Wyrównałem papiery przed sobą, wziąłem z wierzchu plik kartek – czternaście arkuszy wyciągów z rejestru spółek, sprawozdań finansowych, raportów księgowych – i obróciłem je w stronę mojego rozmówcy. Nie patrzył na nie, jego spojrzenie było utkwione we mnie.

– Sebrinski, Karmio, Stilson i Valtonen byli właścicielami spółki inwestycyjnej North Venture Finland. Kiedy mniej więcej rok temu Finn Mining znalazło się w tarapatkach z powodu wydatków związanych z otwarciem kopalni w Suomalahti, North Venture przyszła z pomocą. Finn Mining, czyli w praktyce pan, musiało się zgodzić na nowy podział udziałów. North Venture zyskała prawo decyzji, chociaż nie miała większości udziałów. To

dość skomplikowane. Podobnie jak to, że własność North Venture rozdzielono między cztery spółki inwestycyjne, których właścicielem jest spółka komandytowa. Na czele tego łańcucha ukryci są Sebrinski, Karmio, Stilson i Valtonen.

Zrobiłem przerwę. Zamachałem przed Malim kolejną kartką, a on spojrział na nią, wziął filiżankę ze spodka, napił się i popatrzył przez okno. Śnieg gęstniał.

– North Venture Finland zaczęła kierować Finn Mining, chociaż to pan był twarzą spółki.

Mali zerknął na mnie. Wcale nie ze złością albo obrazą, raczej z determinacją.

– Przynajmniej tak utrzymywano – ciągnąłem. – Mam nagranie z zebrania, które odbyło się bez pana. Wynika z niego, że to tych czterech panów podejmowało decyzje dotyczące Suomalahti. Skutki jednej z nich odczujemy za parędziesiąt lat. Zaraz do tego wrócę.

– Jak do tej pory, wszystko bez zarzutu – przyznał Mali. Przyglądał mi się z uwagą i z ożywieniem. – Wie pan, co widzę?

– Nie. Nie wiem.

– Szczęście – powiedział Mali. – Żyje pan w samym środku szczęścia, siedzi pan na nim. Ma pan wszystko, czego potrzebuje. Założę się, że jeszcze pan tego nie rozumie. Nie szkodzi. Nie jest pan wyjątkiem. Najwyraźniej boi się pan z powodu pracy, może ma pan jakieś problemy w domu. Myśli pan, że inni mają lepiej. Mogę panu coś obiecać. Kiedy w przyszłości będzie pan wspominał ten czas, uzna go pan za najlepszy okres w swoim życiu. Będzie pan wtedy na próżno zastanawiał się, dlaczego wtedy nie rozumiał pan, że był tak szczęśliwy, jak tylko jest to w życiu możliwe.

Patrzyłem na Maliego i znów brałem pod uwagę demencję. Jego uśmiech był ciepły, głos miękki, jak gęstniejący za oknami śnieg, który malował okna.

– Nie wierzy mi pan – powiedział. – Kiedyś pan uwierzy. Pod koniec życia wszyscy wierzą. Każdy wierzy w Boga. Nie ma takiego ateisty, który w chwili śmierci, w ostatnich sekundach,

miałby jeszcze czelność twierdzić, że tutaj kończy się droga. A wszystko inne to próżne gadanie.

– Wracając do Suomalahti...

– Wierzy pan w Boga?

– Nie.

– Myśli pan, że jako człowiek stanowi pan największą i najwyższą siłę we wszechświecie i poza nim, jest jego przyczyną?

– Nie.

– A takie robi pan wrażenie.

– Pan wierzy w Boga?

– Mówmy sobie na „ty”.

– Wierzysz w Boga?

– Oczywiście, każdy rozsądny człowiek wierzy.

Spoglądałem na Maliego. Rozwinął pralinę, włożył ją do ust, paperek upuścił na stół.

– No dobrze – rzuciłem, wziąłem kolejny plik kartek i przekręciłem w jego stronę. – Tutaj są wszystkie najważniejsze zdarzenia w porządku chronologicznym.

Mówiłem i jednocześnie przesuwalem palce po papierze.

– North Venture opanowuje Finn Mining. Potem czterej członkowie zarządu North Venture orientują się, że kopalni w Suomalahti w żaden sposób nie można uczynić opłacalną. W żaden legalny sposób. Podejmują decyzję, która odciąży strukturę kosztów nieudanej kopalni. Mówiąc prosto, gównem wyrzuca się do lasu. Po jakimś czasie umiera Kimmo Karmio. Potem Stilson. I tak dalej. Jedyna ocalała część tej układanki to... ty... Jeżeli wolno mi mówić na „ty”.

– Przecież sam to zaproponowałem.

– Ty zostajesz.

– Tak. – Mali uniósł brwi.

– Chcesz odzyskać spółkę.

– Naprawdę?

– Tak.

– A jeśli nie?

Zerknąłem na zewnątrz. Lekki śnieg wirował w powietrzu, jakby ktoś wytrzepywał puch z poduszki o rozmiarach nieba.

– Na stole leżą dowody. W telefonie mam wyniki próbek pobranych w Suomalahti. Wszystko wskazuje...

– Zawsze chciałeś być dziennikarzem? Wiedziałeś, że to będzie twoja praca, zawód, który chcesz wykonywać?

Poprawiłem się na fotelu.

– Miałem osiemnaście albo dziewiętnaście lat, kiedy podczas lektury pewnego artykułu zrozumiałem, że jego autor wykonał mnóstwo pracy, której nie widać. Zacząłem o tym myśleć. Jak się zdobywa takie informacje? Trzeba jeździć z miejsca na miejsce, rozmawiać z ludźmi, czytać, łączyć fakty. I pisać. To jest najważniejsze. Coś się wtedy stało. Zrozumiałem, że to jest moja praca.

– Ach tak. Powołanie. Jesteś uprzywilejowany. Na pewno to rozumiesz.

– Jak to się ma do Suomalahti i Finn Mining?

Matti Mali znów się uśmiechnął.

– Jesteś niecierpliwy. Nie szkodzi. Jeszcze się tego oduczysz. Jeszcze zobaczysz. To minie razem z młodością.

Opuścił rękę na oparcie. Oparł się porządniej na fotelu, tył głowy odchylił na zagłówek. Wyglądał, jakby przygotowywał się do lotu. Ale nic nie szumiało ani nie drżało. W domu panowała cisza jak makiem zasiał, było przyjemnie ciepło. Śnieg przykrywał nas pierzyną, jakby chciał nas odizolować od świata.

– Ja już niczego nie chcę odzyskać – odezwał się Mali. – Zresztą to i tak niemożliwe. Nawet nie wiem, czy chciałbym tego, gdyby istniała taka możliwość. Chcę naprawić mój błąd. Na tym polega różnica. Mówię o spółce. Mówię o firmie. O firmie, którą założył mój dziadek, Harald Mali. O firmie, którą kierowałem przez trzydzieści lat. O zadaniu, które marnie wypełniałem.

Patrzył na mnie bardziej skupiony niż wcześniej podczas tej rozmowy.

– Chcę zadośćuczynić – oznajmił. – Wiesz, co to znaczy?

– Tak sądzę.

– To dobrze. To dobry początek.

Czekałem.

– Chciałem zostać architektem – wyznał Mali. – Mój ojciec powiedział, że to świetne hobby. Mógłbym oglądać domy, zachwycać się budynkami... w wolnym czasie... po wykonaniu pracy. Praca oznaczała kopalnię. Albo kopalnie. Zrobiłem, jak mi kazał. Zaakceptowałem to. Nie było w tym nic złego, nie zrozum mnie źle. Mój ojciec zrobił przecież to samo. Nigdy się nie dowiedziałem, czym tak naprawdę chciał się zajmować w życiu. Nie wiem, czy czuł jakieś szczególne powołanie. Umarł, nie zostawiając żadnej odpowiedzi na najważniejsze dla mnie pytania. Dopiero później zrozumiałem, że to normalne. Że mówi się o tym przez siedemdziesiąt lat, a i tak zmarły stanowi zagadkę.

Matti Mali popatrzył na mnie.

– Teraz na pewno lepiej rozumiesz, dlaczego tutaj siedzisz i czemu ci to wszystko mówię?

– Tak – potwierdziłem.

– Poszedłem zatem na studia i zostałem inżynierem górnictwa. Studia obchodziły mnie mniej więcej tyle co zeszłoroczny śnieg. Znalazłem się w zarządzie, tak jak to zaproponował ojciec. „Zaproponował” w jego przypadku nie do końca odpowiadało tradycyjnej definicji tego słowa. Przez długi czas wszystko toczyło się tak jak zwykle. Potem dopiero zaczęły się dziać ważne rzeczy. Zaczęto dostrzegać przyszłość w górnictwie. To powinno wzbudzić moją podejrzliwość. Ale wtedy... Chcesz jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję.

Mali nalał sobie. Kawa parowała z filiżanki, podczas gdy on znów odchylił się na oparcie fotela.

– Przyszłościowa gałąź gospodarki. Pionierzy globalnego przemysłu górniczego. I takie tam. Ja, który od wielu lat w tym siedziałem i całe życie patrzyłem na glebę i na ubogą skorupę ziemską Finlandii, dziwiłem się, o czym oni mówią. Zanim się obejrzałem, jedna szóstą powierzchni kraju była już

zarezerwowana pod wydobycie. Ponieważ jestem dokładny, mogę ci powiedzieć, że w dwa tysiące trzynastym roku były to dokładnie pięćdziesiąt trzy tysiące kilometrów kwadratowych. Większość praw sprzedano za śmieszne pieniądze zagranicznym inwestorom. Nie miało to żadnego sensu, ale nikt się tym nie przejmował. Politycy odkryli na nowo koło i rozgłaszali, że kopalnie zatrudnią Finów na długie lata, przyniosą niespotykane bogactwo. Nikt nie mówił głośno, że jedna kopalnia nie zatrudnia więcej niż kilkadziesiąt osób, że walczy na granicy opłacalności, że jej założenie wymaga od państwa setek milionów na inwestycje, a na posprzątanie bałaganu po jej zamknięciu nie wystarczą żadne pieniądze podatników. Ale to akurat wiesz, prawda?

– Oczywiście.

– Wspaniale – rzucił Mali i kolejny uśmiech zniknął w mgnieniu oka. – Teraz dowiesz się, dlaczego ci to wszystko mówię. Kiedy uruchomiono Suomalahti, nie rozumiałem jeszcze tego wszystkiego. Byłem zbyt uległy. To oczywiste, że taki biznes nie może przetrwać. Jeżeli każdy uważa, że jakiś pomysł jest dobry, to na pewno tak nie jest. Trudności zaczęły się niemal od razu. Jeszcze się nie otrząsnąłem, kiedy wprowadzono pierwszych konsultantów. To była druga zapowiedź nadchodzącej klęski: pojawienie się konsultantów i nieustanny wzrost ich liczby. Są drodzy, ale to i tak nic w porównaniu z nakładami na rozkręcenie nowej kopalni. Potrzebny był kapitał. I w tym momencie pojawili się Valtonen, Stilson i spółka. Działano szybko, ponieważ tego wymagała sytuacja. Kiedy trzeba zaufać, powinno się szukać odpowiednich ludzi. Ale w tym przypadku tak nie było.

Zdawało mi się, że przy ostatnim zdaniu głos mu zadrżał. Mali zacisnął pięść i spojrział przez okno. Nic nie mówiłem. Gdy odwrócił głowę w moją stronę, ujrzałem starość wyzierającą z jego oczu.

– Straciłem kontrolę nad firmą. Nad firmą, którą powierzył mi ojciec i jego ojciec. Zarządzanie przeszło w ręce spółki

reprezentowanej przez Valtonena, Karmia, Stilsona i Sebrinskiego. To oni, tak jak obiecali, przywrócili opłacalność firmy. Tym samym zniszczyli ją. Kiedy dowiedziałem się, że nieoczyszczone ścieki trafiają prosto do rzeki, spróbowałem odzyskać firmę. Za pośrednictwem dawnych znajomości znalazłem inwestora i złożyłem całej czwórce propozycję. Pomyślałem, że kiedy odzyskam władzę w firmie, wszystkie środki poświęcę na kompensację szkód i honorowe zamknięcie kopalni. Odmówili mi. Rodzinna spółka działająca od tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku zbliżała się do najbardziej wstydlivego końca, jaki tylko można sobie wyobrazić. Przedtem miała jeszcze uczynić bandytów milionerami. Nie mogłem na to pozwolić.

W domu było tak cicho, że słyszałem leciutki szum, kiedy gorące powietrze uwalniało się z dzbanka. Mali patrzył na mnie.

– Popełniłem błąd – przyznał. – Chcę go teraz naprawić.

Na początku naszego spotkania robił wrażenie spokojnego, przyjaznego gospodarza. Teraz wyglądał jak pełen żalu, niesamowicie zmęczony starzec.

– Nagrałeś to? – spytał cicho.

– Nie.

Kiwnął głową.

– Może i lepiej.

– I tak stanie pan przed wymiarem sprawiedliwości.

– Nie o to mi chodziło.

Przyjemne ciepło zniknęło. Podłoga pod moimi nogami wiała chłodem. Oświetlenie pokoju – stojąca za mną lampa, dwie żółte lampki na parapecie – nie wystarczyły, żeby odróżnić więcej niż kontury i mgliste kształty. Wydawało mi się, że Mali siedzi dalej ode mnie niż przed chwilą. Artykuł mojego życia, po który przyszedłem, nie był już taki, jak go sobie wyobrażałem po drodze tutaj. Schyliłem się, żeby zebrać ze stołu przyniesione papiery.

– Jeżeli ci to w czymś pomoże – Mali wskazał na wydruki – mogę ci potwierdzić wszystko, co mi powiedziałeś i pokazałeś.

Zebrałem plik kartek i już miałem wstać, kiedy jego spojrzenie prześlizgnęło się za moimi plecami. Zadrżał nieznacznie. Instynktownie odwróciłem się. Zobaczyłem tylko zegar na ścianie. Popatrzyłem znów na Maliego. Wyglądało na to, że znów patrzy na zegar. Oczekałem chwilę i wstałem. Mali ocknął się i również się podniósł.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedział.

Przeszliśmy do przedpokoju. Ubierałem się, a on stał za mną na skraju smugi światła. Ruszył w tym samym momencie, kiedy ja podszedłem do drzwi. Odwróciłem się jeszcze i uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Życzę ci powodzenia we wszystkim – powiedział cicho. – Mam nadzieję, że nie popełnisz w życiu takich błędów jak ja.

Powoli puścił moją dłoń. Jeszcze raz zerknąłem w stronę salonu. Za oknem przeleciała wyjątkowo gęsta masa śniegu i uderzyła o parapet, jakby ktoś wypuścił z rąk młynek do pieprzu. Zszedłem po schodach i ruszyłem przed siebie. Chciałem jak najszybciej opuścić Kaskisaari.

10

Wracał. Padający śnieg utrudniał bieg na nartach; poruszał się powoli. Nie miało to żadnego znaczenia. Z każdym odbiciem, z każdym pchnięciem kija zostawiał za sobą przeszłość. Zrobił to, co obiecał, na co się umówił. Ostatni raz. W tym była jego wiara, jego spowiedź: taki byłem, taki nie będę. Brzmiało to bardzo prosto, ale niewielu może powiedzieć coś takiego. On mógł.

Śnieg był czysty, biały. Wiejący na otwartym morzu wiatr przyciskał do ziemi, miotał spadającym z nieba śniegiem, jakby nie mógł się nasycić. Raz za razem śnieg uderzał w jego twarz i oślepiał go. Czuł zimno i oczyszczenie.

Miłość, od której się kiedyś odsunął, znów była w jego zasięgu.

Biegł na nartach.

Nareszcie do domu.

BLOG

Janne Vuori GH

janne.vuori@gloshelsinki.fi

Twitter: @vuorijannegh

KOPALNIA, KTÓRA POGRZEBAŁA WSZYSTKO

Kopalnia w Suomalahti niebezpiecznie, po części nieodwołalnie, zatruwa środowisko. Osoby za to odpowiedzialne nie żyją. Nikt nie zyskał – autor odkrywającego tę prawdę bloga też nie.

Muszę przyznać, że kiedy po raz pierwszy usłyszałem o podejzeniach dotyczących Finn Mining SA, właściciela kopalni niklu w Suomalahti, pomyślałem, że to będzie bomba. Gorący temat, o którym marzy każdy dziennikarz. Bomba to taka wiadomość, która rozbija bank, jest na wszystkich językach. Wiele na to wskazywało. Teraz, patrząc na to, co się stało, i przewidując, jakie będą tego konsekwencje, uświadamiam sobie, że tylko po części miałem rację w kwestii wszystkiego, co naprawdę ma znaczenie. Oto czego dowiedziałem się o spółce i o sobie samym.

Kopalnię niklu w Suomalahti otwarto w 2007 roku. To jednak nie jest początek historii. Książka Mauriego Ylijoki *Droższe niż złoto. Historia Fińskiej Spółki Górniczej* (Wydawnictwo Minerały, 1994) opowiada o tym, od czego wszystko się zaczęło: prawie sto lat temu, w roku 1922, kiedy to Harald Malin, trzydziestodwuletni absolwent politechniki, potomek klanu aptekarzy, założył Fińską Spółkę Górniczą, która później przekształciła się w Finn Mining Ltd.

Prowadzenie Fińskiej Spółki Górniczej było odważnym przedsięwzięciem dla przyzwyczajonego do pracy biurowej Malina, który do zainwestowania i wsparcia firmy namówił oprócz własnej matki także przyjaciół. Głównym motorem była naturalnie chęć wzbogacenia się. Dlatego też pierwszą inwestycją była kopalnia złota w Salla, która idealnie odpowiadała naturze i oczekiwaniom założyciela spółki.

Pojawiło się o wiele więcej trudności, niż zakładał Malin. Na północy było zimno, leżało mnóstwo śniegu – w zasadzie przez cały rok z wyjątkiem krótkiego lata, które szybko zamieniało się w niekończący się jesienny deszcz. Malin, który do tej pory mieszkał i pracował wyłącznie na terenie stolicy i w najbardziej południowych regionach Finlandii, opisywał w listach i raportach, jakiego rodzaju wyzwanie stanowi prowadzenie działalności wydobywczej wśród śniegu i deszczu. Pisał, że teren kopalni znajduje się przez część czasu pod wodą, co utrudnia pracę, podobnie jak wielometrowe warstwy śniegu i bezlitosny mróz.

Napisał również o tym, co się dzieje w okolicznych rzekach i jeziorach. A właściwie, na co narzekają wściekli rybacy, wędrowcy i mieszkańcy. Ryby znikają, woda śmierdzi i robi się zielona. Albo woda robi się szara, a zieleńią ryby. Dzięki pismom Malina wiadomo, że Fińska Spółka Górnicza nie tylko rozumiała, co się dzieje, ale również działała.

Zaprzestano wypuszczać ścieki z kopalni bezpośrednio do pobliskich zbiorników wodnych. Rozpoczęto składowanie i przetwarzanie ścieków na terenie kopalni. Miało to swoją cenę i Malin to zauważył. Kopalnia złota, która początkowo przynosiła niewiele zysku, teraz wychodziła na zero. Bez zysku, ale i bez straty. Tak mijały lata. Ostatecznie – dzięki rozwojowi techniki – Malinowi udało się wyprowadzić kopalnię złota oraz Fińską Spółkę Górniczą na prostą. Potrzebował na to prawie piętnastu lat. Na fali fennofilii lat trzydziestych Malin skrócił swoje szwedzkie nazwisko do bardziej swojsko brzmiącego Mali.

W swoim czasie nazwę Fińska Spółka Górnicza przekształcono w Finn Mining. (Niektórzy pewnie tego nie pamiętają, a tym bardziej

nie rozumieją, ale w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych minionego stulecia fińskie nazwy firm trzeba było przedłużać o ich angielskie tłumaczenia albo wprowadzać do nich wymyślne terminy, które bynajmniej nie określały przynależności firmy do danego sektora rynku, nie wspominając już o dokładniejszym zakresie usług). Pomimo zmiany nazwy w Finn Mining trzymano się pewnych standardów. Spółką nadal kierował Mali. Po Haraldzie Malim kierownictwo przejął jego syn, Gerhard Mali, a potem z kolei jego syn, Matti Mali. Starano się troszczyć o wiele aspektów górnictwa. Do pewnego momentu. Ale tego książka Ylijokiego już nie zdradza.

Na początku XXI wieku Matti Mali znalazł się na rozstaju. Działalność firmy należało rozszerzyć albo zakończyć. Wybrał drogę rozwoju. Decyzja odpowiadała ówczesnej sytuacji na rynku. W Finlandii poszukiwano nowych źródeł rozwoju gospodarczego. A przynajmniej poszukiwano czegoś, o czym można by twierdzić, że w przyszłości przyniesie państwu duże zyski.

Matti Mali też dostrzegł pewne możliwości. Za cenę dwóch euro nabył prawa do prowadzenia wykopów i rozpoczął nową inwestycję. Łatwo było sprzedać politykom obietnice o potencjale zatrudnienia w nowej kopalni, ponieważ nie interesowała ich możliwość spełnienia obietnic, a jedynie to, co mogło mieć wpływ na wyniki kolejnych wyborów. Z podobną łatwością udało się zyskać zainteresowanie zagranicznych inwestorów – pieniędzy było za dużo, kredyt mógł dostać niemal każdy w dowolnym celu, a budownictwo mogło wchłaniać w nieskończoność dowolne ilości niklu. Wszyscy uczestnicy i zwolennicy projektu byli zdania, że Finlandia stanie się nowym, innowacyjnym liderem przemysłu mineralno-wydobywczego, mimo że nasza ziemia jest wyjątkowo uboga w złoża mineralne, a w porównaniu z resztą świata nie posiadamy żadnych specjalnych umiejętności ani doświadczeń w tej dziedzinie. Osoby prezentujące odmienne poglądy zaszufladkowano jako zielonych ekstremistów i czarnowidzących komunistów.

Kopalnia rozpoczęła działalność w 2007 roku i od początku okazała się bblem.

Gdyby tylko inicjatorzy jej założenia zapoznali się z początkowymi trudnościami opisanymi przez Haralda Malina, wielu rzeczy udałooby się uniknąć. W Suomalahti rozpoczęto tak zwane bioługowanie, którego wcześniej nigdy nie stosowano. Pozostanie tajemnicą, dlaczego pierwsze próby z tą metodą postanowiono przeprowadzić w najbardziej ekstremalnych warunkach. Szybko okazało się, że proces jest zbyt skomplikowany, zbyt drogi i zaskakująco nieefektywny, a przy tym w jego trakcie powstają niespotykane ilości ścieków. Na co zresztą wskazuje drugi człon nazwy tego procesu: „ługowanie”. Podobnie jak w czasach Haralda Malina, opady deszczu i śniegu na północy były obfite. Zawsze były. W Suomalahti obudzono się z ręką w nocniku.

Magazynowanie ścieków jest drogie. Finn Mining było sporo na minusie jeszcze przed okresem długich, obfitych w śnieg zim w latach 2010–2012. A już kryzys gospodarczy z roku 2008 pozbawił firmę rezerw finansowych. Z początkiem wiosny 2012 roku Matti Mali musiał powziąć decyzję, która na zawsze zadecydowała o losie spółki. Firma potrzebowała potężnego zastrzyku gotówki, a Mali działał pod presją czasu. Udziały w spółce kupiła firma North Venture Finland. Jej właścicielem były cztery spółki inwestycyjne, które z kolei należały do spółki komandytowej. Prześledzenie łańcuszka własnościowego pozwoliło ustalić faktycznych właścicieli North Venture Finland. Pokrywają się oni z czterema byłymi członkami zarządu Finn Mining Ltd.: dyrektor rozwoju Hannu Valtonen, dyrektor sprzedaży Giorgi Sebrinski, dyrektor do spraw finansów i inwestycji Kimmo Karmio i dyrektor do spraw kadr Alan Stilson. Zmiana stosunków własności sprawiła, że większość głosów przejęła North Venture Finland, a w spółce pojawił się nowy zarząd złożony z wyżej wymienionych. Matti Mali pozostał twarzą firmy, ale faktycznie nie miał żadnego wpływu na działalność spółki.

Nowy zarząd postanowił nadać firmie nowy kierunek. Całą spółkę dosłownie wywrócono do góry nogami. Wypowiedziano umowy pracownikom, przeprowadzono restrukturyzację

i postawiono na efektywność. To jednak nie wystarczyło. Główny problem pozostawał nierozwiązany od czasów Haralda Malina: wysokie koszty wynikające z powstawania i przetwarzania ścieków w kopalni. Ostatecznie koszty postanowiono zredukować. (Kliknij na *tutaj*, aby posłuchać nagrania z decyzją. Osoby uczestniczące w rozmowie to Valtonen, Sebrinski, Karmio i Stilson). Ścieki postanowiono odprowadzać bezpośrednio do okolicznych wód. Po wschodniej części terenu kopalni wykopano kanały o średnicy metra, które odprowadzały ścieki z basenów do najbliższych rzek i jezior.

Do tej pory nie udało się ustalić, o jaką ilość wypompowanych ścieków może chodzić. Jednak pomiary, których wykonanie biolog Tero Manninen przypłacił życiem, pokazują już teraz, że w grę wchodzi znaczące – częściowo nieusuwalne – zatrucie środowiska. (Kliknij na *tutaj*, jeśli chcesz poznać wyniki analiz wody w rzece Kuusijoki. Na przykład dopuszczalne normy zawartości siarczanów i rtęci przekroczone są ponad dziesięć tysięcy razy). Trudno jest na razie oszacować ilość ścieków wypuszczonych do środowiska. Wyliczenia utrudniają różne czynniki i dopiero nadchodząca wiosna i lato wykażą faktyczny stan jakości wód. Takie pomiary z całą pewnością zostaną wykonane.

Nikt jednak nie zostanie za to pociągnięty do odpowiedzialności. Żaden z członków zarządu (Valtonen, Sebrinski, Karmio i Stilson) nie żyje. Wydział kryminalny policji w Helsinkach bada okoliczności ich śmierci. Finn Mining jest już praktycznie bankrutem i tylko dni dzielą nas od oficjalnego ogłoszenia upadłości spółki. Za posprzątanie po kopalni zapłacą podatnicy. Kończy się działająca od 1922 roku Fińska Spółka Górnicza, a wraz z nią dynastia Malich. Matti Mali, który przez długi czas prowadził spółkę, podobnie jak wcześniej jego ojciec i dziad, zmarł wczoraj w domu z powodu nagłego ataku choroby. Nie zostawił po sobie spadkobierców.

Jak zapewne uważny czytelnik spostrzegł, niniejszy blog zawiera co najmniej trzy gorące tematy. Gdybym nadal był tym samym dziennikarzem, którym byłem, kiedy zaczynałem zmagania z tą

historią, rozłożyłbym zdobyty materiał na trzy osobne reportaże. Paradoksalnie, nie robię tego głównie dlatego, że cena powstania tego artykułu była zbyt wysoka, zysk zaś z całej sprawy niewielki. Tak mi się przynajmniej w tym momencie wydaje.

Biolog Tero Manninen został zabity. Podobnie jak redaktor Kari Lehtinen, który niegdyś badał losy spółki. (Jeden z najciekawszych artykułów Lehtinena *Połknięte lekarstwo – opowieść o fińskich przeciwnikach szczepionek* – znajduje się *tutaj*). Winni obu śmierci nie żyją. Posprzątanie po Suomalahti będzie się ciągnęło latami i kosztowało miliony.

A o sprawie będzie się mówiło przez parę dni, może tygodni, aż w końcu wszystko odejdzie w zapomnienie. Kiedy pojawi się kolejna wielka inwestycja w górnictwo, która zdobędzie przychyłność polityków, nikt już nie będzie pamiętał o Suomalahti.

A może?

12

– Dziękuję – powiedział Emil i napił się kawy, która zdążyła już ostygnąć. Jeszcze chwilę temu siedział sam i czekał na dźwięk dzwonnka, obserwował poranek, który właśnie jaśniał za oknem. Minuta po minucie światło słońca stawało się odrobinę cieplejsze. Również biblioteka budziła się do życia i wsysała w siebie ludzi.

Czuł się stary, ale wolny. Nie było to złe uczucie.

– Za co? – zdziwił się jego syn. Młody mężczyzna w okularach, nieco potargane włosy, koszula z kołnierzykiem wystająca spod swetra. Janne nie wiedział, że jest pierwszym od lat człowiekiem, którego Emil do siebie zaprosił, wpuścił do swojego domu.

– Przeczytałem artykuł. Dwa razy. Pewnie rozdzwoniły się telefony.

Janne zerknął na zewnątrz, zakręcił długą łyżką w kawie. Poprosił o kawę z mlekiem i ojciec mu ją przygotował.

– Bardziej niż zwykle – odparł Janne.

– I co teraz?

Wzruszył ramionami.

– Coś innego, niż robiłem do tej pory.

Emil wiedział, co syn ma na myśli.

– Na pewno rozumiesz – dodał Janne. – To nie było dla mnie łatwe.

– Już kiedyś mówiłem, że dam ci...

Syn pokręcił głową.

– Nie chcę już tego słuchać. Zresztą nie powiedziałem jeszcze wszystkiego.

– No, dobrze.

Siedzieli w ciszy. Janne napił się kawy, a potem wytarł górną wargę.

– Czasami chciałbym nie wiedzieć tego, co wiem.

Emil milczał.

– Z drugiej strony... – dodał syn. Wyglądał, jakby nie spał całą noc. Co najwyżej zdrzemnął się na kilka godzin na kanapie w pracy. Wskazywało na to pogniecione ubranie, włosy w nieładzie i niebieskie cienie pod oczami.

– Nie można mieć wszystkiego.

– Nie można.

– Ktoś inny to napisze. Szef jest na mnie wściekły. Może mnie nie wywalą, ale jeszcze przez długi czas będę musiał pisać o twerkowaniu i tym podobnych.

– O twerkowaniu? Co to takiego?

Janne spojrzał na niego.

– Nieważne. Grunt, że Pauliina i ja pogodziliśmy się. Dostałem od niej wiadomość. Pogratulowała mi artykułu. Rozumie oczywiście, co zrobiłem. Spotykamy się wieczorem.

– Mam nadzieję...

– Ale to nie zmienia faktu, że z tą... jak by to nazwać... sprawą trzeba coś zrobić. Z tym, co się stało. O czym... o czym mi mówiłeś.

Emil zakręcił kubkiem po stole. Zaraz robi się jeszcze jaśniej.

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy... czy raczej po raz pierwszy od dawna... opowiedziałeś mi, że pisanie jest ci niezbędne do życia jak tlen – przypomniał synowi. – Że rozjaśnia ci myśli.

– Czytałeś mój poranny tekst. Nie mogę...

Emil kiwnął głową.

– Jeżeli spojrzeć na to pod innym kątem, to nie trzeba tego drukować w gazecie – powiedział.

Janne popatrzył na niego i odchylił się na oparcie krzesła. Nadal czuł się niezbyt komfortowo, ale napięcie, jakie go teraz ogarnęło, było zgoła inne niż jeszcze parę sekund temu.

– Opowiedziałbyś? – spytał Janne.

– O czym tylko chcesz.

– O tym, co się stało w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku?

– O tym też.

Im więcej Emil mówił do syna, tym lżej mu było na duchu. To szczerza prawda – ciężar tajemnicy jest ogromny.

– A co potem? – dopytywał się Janne.

– Możesz o tym napisać.

– A potem?

– Zabroniłeś mi o tym mówić – powiedział Emil. – Ufam, że będziesz wiedział, jak będzie najlepiej.

Janne popatrzył na niego. W pokoju było jasno. Ojciec chciał coś powiedzieć, ale właśnie rozległ się dzwonek. Emil nikogo nie zapraszał.

– Zrobię tak, jak uznam, że będzie najlepiej.

Emil poczuł, jak przeszywa go doświadczenie ostatnich trzydziestu lat, zdobyte umiejętności wprost rozrywają go od środka; czuł neodpartą potrzebę, żeby wstać, przygotować się, sięgnąć po broń. A jednak siedział. Siedział nieruchomo, chociaż każda komórka jego ciała domagała się akcji, działania. Powstrzymał się jednak. Janne wstał i poszedł do drzwi. Wszystko działo się jak we śnie. Emilowi przypomniała się ostatnia, wolna do koszmarów, noc. Rano obudził się wypoczęty. To było cudowne uczucie.

Janne był już przy drzwiach.

Emil mógłby jeszcze zdążyć. Zmysły chciały działać wbrew jego woli. Wzrok lustrował otoczenie – szuflady w kuchni, w nich noże, różne przedmioty i urządzenia: toster, czajnik, ciężka deska do krojenia, nawet krzesło, na którym jeszcze parę sekund temu siedział Janne; ze wszystkiego można zrobić użytek. Siedział, przez jego głowę płynął strumień myśli, oczami wyobraźni widział, jak używa tych wszystkich przedmiotów. Świetnie dałby sobie radę. Kiedyś świetnie dałby sobie radę. Na tym polegała różnica, którą znów podkreślił w myślach. Usłyszał kroki.

Za nic nie złapał, wstał i zdał się na los.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedziała Leena. –
Zdążyliście już sobie porozmawiać?

Patrzył na nią, słyszał, jak Janne mówi „troszeczkę”, i widział,
jak ona się uśmiecha.

– Cześć, Emilu.

– Cześć, Leeno.

– Powinnam była się domyślić.

– Czego?

– Gdzie mieszkasz.

Patrzyli na siebie.

– To ja już sobie pójdę... – wtrącił Janne.

Emil spojrział na niego.

– Nie.

Teraz oboje, Leena i Janne, patrzyli na Emila. Wreszcie do
niego dotarło, że alarm był fałszywy. Stało się tak, jak miało być.

– To znaczy... Może wypijesz jeszcze jedną kawę – zwrócił się
do syna, a potem do Leeny. – Ty pijesz czarną, prawda?

Przyglądał się, jak ona zdejmuje płaszcz, Janne bierze go od
niej i wieszka na wieszaku, jak matka i syn siadają przy stole,
a wpadające do środka światło tworzy wokół nich coś jak rama
obrazu. Słyszał ich głosy, ale sam nie był w stanie się odezwać.
Wolał coś zrobić. Zaparzył kawę, skoncentrował się na ruchach
rąk. Kiedy kawa była gotowa, nalał ją do kubków i usiadł przy
stole.

Podziękowania

Dziękuję moim przyjaciołom z Salomonsson Agency w Sztokholmie; szczególne podziękowania składam Federicowi Ambrosiniemu za jego nieocenione wsparcie. Jestem niezmiernie szczęśliwy, że mogę go nazywać swoim agentem.

Słowa podziękowań dla przyjaciół z Londynu: Karen Sullivan i wielu innych. Karen, jesteś niesamowita!

Dziękuję również przyjaciołom z Helsinek – licznym i bardzo mi drogim. Sam bym tego nie zrobił.

Dzięki, Anu. Kocham Cię.

I na koniec Tobie, Tato. To Tobie poświęcam tę książkę.

Przypisy

* *Mysli*. Tłum. Tadeusz Boy-Żeleński.